



Hans Christian Andersen

BAŚNIE



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Hans Christian Andersen

BAŚNIE

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

Spis treści

KWIATY IDALKI.

KRASNOLUDEK.

ROPUCHA.

LEN.

MATKA.

BAK I PIŁKA.

HISTORIA ROKU.

MOTYLEK.

DZIECIĘ ELFÓW.

POLNY KWIATEK.

BRZYDKIE KACZAŃKO.

DZIEWCZYŃKA Z ZAPAŁKAMI.

CZERWONE BUCIKI.

Z JEDNEGO GNIAZDA.

SOSNA.

ANIOŁ.

SYRENA.

COŚ.

LISTEK Z NIEBA.

U KRÓLA OLCH.

WSZYSTKO NA SWOJEM MIEJSCU!

SŁOWIK.

ŚLIMAK I RÓŻA.

CIEŃ.

DZWONY.

POD STARĄ WIERZBĄ.

ŚPIEWAK: Z POD STRZECHY.

TOWARZYSZ PODRÓŻY.

KRÓLOWA ŚNIEGU.

1. O CZARODZIEJSKIM ZWIERCIADLE.

2. O JANKU I MARYSI.

3. O OGRÓDKU U STAREJ KOBIETY.

4. O KSIĘŻNICZCE I JEJ MĘŻU.

5. O MAŁEJ ROZBÓJNICZE.

6. O STARUSZCE I JEJ KUMIE.

7. O PAŁACU KRÓLOWEJ ŚNIEGU, ORAZ O WSZYSTKIM, CO SIĘ TAM
PÓŹNIEJ WYDARZYŁO.

BAŚNIE

Andersen Hans Christian

KWIATY IDALKI.

Moje śliczne kwiatki zupełnie powiędły! — zawołała Idalka zasmucona. — Wczoraj wieczorem jeszcze były takie ładne, a dziś zwiesiły główki, opuściły liście, co to ma znaczyć? Dlaczego to, Fredziu?

Ostatnie zapytanie zwróciła do studenta, który siedział na sofie. Nie darmo pytała go o to, — Fredzio wiedział wszystko. Umiał opowiadać prześliczne historie, wycinać różne figle: serduszka z tańczącymi w środku dziewczynkami, kwiaty i wspaniałe zamki, w których się otwierały drzwi i okna. Był to nielada student.

— Dlaczegoż dzisiaj te kwiaty tak zwiędły? — powtórzyła, wskazując bukiet na stoliku.

— Nie wiesz, dlaczego? — rzekł Fredzio. — Twoje kwiaty były dziś w nocy na balu i dlatego teraz pospuszczały głowy. Są zmęczone.

— Co też ty mówisz, Fredziu. Przecież kwiaty tańczyć nie umieją?

— Tak myślisz? A ja twierdzę, że tańczą prześlicznie. Prawie co noc, kiedy my śpimy, wyprawiają sobie bale i bawią się wybornie.

— A dzieci na takim balu być nie mogą?

— Owszem — odparł Alfred — bywa ich nawet zwykle dosyć dużo: pączki róż, konwalijki ledwie rozwinięte, stokrotki polne.

— I gdzie one tańczą?

— Czy pamiętasz zamek królewski, za miastem, gdzie jest ten duży ogród, pełen kwiatów? Karmiłaś tam łabędzie, czy pamiętasz? Przyplływały do ciebie i chwytały okruchy chleba, które rzucałaś do wody. Tam właśnie odbywają się zwykle te bale.

— Ach, wiem! Byłam tam właśnie wczoraj z mamą, ale nie widziałam już liści na drzewach, ani kwiatów w ogrodzie. Gdzież się podziały wszystkie? W lecie tyle ich było.

— Są teraz w zamku — odparł student. — Powinnaś wiedzieć o tem, że skoro tylko król ze swoim dworem powraca do stolicy, wszystkie kwiaty uciekają z ogrodu do zamku, gdzie bawią się wybornie. Najpiękniejsze dwie róże zasiadają wtedy na tronie i są królem i królową. Znasz kogucie grzebienie, te czerwone? One stają po obu stronach, niby szambelanowie. A reszta kwiatów rozpoczyna tańce. Śliczne fijołki udają młodych marynarzy, a hiacynty i krokusy- młode panny. Tulipany

zasiadają na fotelach, niby poważni ojcowie, a czerwone lilie, jak troskliwe mamy, uważają na wszystko i pilnują przyzwoitości i porządku.

— I nikt im nie zabrania tak się bawić w pałacu króla? — spytała Ida.

— Prawie nikt o tem nie wie, moja droga. Zdarza się czasem, że stary burgrabia, który czuwa nad zamkiem, zechce po nocy przejść się po pokojach. Ale cóż? Ma on wielki pęk kluczy u boku a skoro tylko kwiaty usłyszą brzęk kluczy, chowają się za firanki i siedzą cichutko, ostrożnie wysunawszy główki.

— Tu pachną kwiaty! — mówi do siebie burgrabia, ale jest bardzo stary i nic dojrzeć nie może.

— Ach, jak to ślicznie! — zawołała Ida, klasnąwszy w dłonie. — Mój drogi, mój drogi, czy jabym tego zobaczyć nie mogła?

— Dlaczegoż nie, Idalko? Zajrzyj tylko przez okno do zamku, skoro będziesz w ogrodzie, a zobaczysz sama to wszystko. Ja dzisiaj tak zrobiłem: żółta lilia leżała wyciągnięta na sofie, to była dama dworu.

— A kwiaty z botanicznego ogrodu czy także tam mogą przychodzić? To chyba dla nich za daleko?

— Cóż znowu, Idalko — przecież mogą fruwać. Czyś nie widziała nigdy prześlicznych motylków, żółtych, czerwonych, białych? Prawda, jakie niektóre podobne do kwiatów? Bo też to naprawdę kwiaty. Oderwały się od łodyżki i zatrzepotały w powietrzu płatkami, niby skrzydełkami. Wtedy zaczęły fruwać. A ponieważ były grzeczne, pozwolono im fruwać dzień cały, zamiast siedzieć cicho na łodyżce; tym sposobem nabrały wprawy, a płatki ich stały się naprawdę skrzydełkami. Sama to widziałaś zresztą.

— Ach, tak! ach, tak! — szeptała zdumiona Idalka.

— Może być zresztą, że kwiaty z ogrodu botanicznego nie były dotąd jeszcze nigdy w królewskim zamku i nie wiedzą, że tam się można w nocy tak dobrze zabawić. Dlatego ci coś powiem; — to się dopiero zdziwi profesor botaniki, który tu obok mieszka! Znasz go przecież? Kiedy będziesz w jego ogródku, szepnij któremu kwiatkowi o balu w królewskim zamku, on to opowie innym i wszystkie tam polecą. Pan profesor przychodzi sobie do ogrodu, a tutaj niema ani jednego kwiatka! I nie będzie wiedział, gdzie mu się podziały.

— Ale jakżeż kwiatek powtórzy to innym? Przecież kwiaty mówić wcale nie umieją!

— Nie umieją mówić — odpowiedział Fredzio — ale się doskonale porozumiewają znakami. Czy nie. widziałaś nigdy, gdy wietrzyk zawieje, jak one nachylają się ku sobie, dotykają się główkami, a wszystkie zielone listki trzepocą przytem w różne strony. Tak właśnie rozmawiają. I to wszystko jest dla nich równie zrozumiałem, jak dla nas głos i wyrazy.

— A profesor czy rozumie te ich znaki?

— Naturalnie! Razu jednego wchodzi sobie rano do ogrodu i widzi, jak wielka pokrzywa daje listkami znaki gwoździłkowi. — Ach, jakiś ty śliczny! — mówi. — Jak cię kocham! — Nie podobało się to panu profesorowi i z całej siły uderzył pokrzywę

po liściach, które zastępują jej palce. Możesz sobie wyobrazić, jak się sparzył. Od tego też czasu nie śmie jej nawet dotykać.

— Ha, ha, ha! — Ha, ha, ha! — śmiała się Idalka.

— Jak można kłaść dziecku w głowę takie rzeczy? — oburzył się stary radca, bardzo nudny, który właśnie przyszedł z wizytą i wygodnie usiadł na sofie.

Radca nie lubił Fredzia i zawsze coś mruczał pod nosem, gdy on wycinał dla Idy zabawne, śliczne figurki: człowieka, wiszącego na gałęzi, z sercem w ręku, (to był złodziej, co kradł serca), czarownicę, galopującą na miotle i niosącą męża na nosie. — Co za głupstwa! — mówił radca, który nie mógł tego znosić. — Jak można kłaść dziecku w głowę takie rzeczy! Takie fantazyje sensu żadnego nie mają.

Lecz Idalka wolała wierzyć studentowi, bo zresztą to, co mówił radca, było całkiem niezrozumiałe. Ktoby na niego zważał? A Fredzio opowiada takie zabawne historie, o których potem musi długo myśleć. Prześliczne są!

Spojrzała znów na swoje kwiatki: zwiesiły główki, gdyż były zmęczone; rozumie się, jeżeli całą noc tańczyły! Mogły być nawet chore.

Wzięła bukiet z wazonikiem i poszła do innych zabawek, ustawionych w kącie na małym stolyczku. Było ich tam bardzo dużo i na ziemi pod stolikiem i w szufladzie. Lalka Zosia spała już w swoim łóżeczku, lecz Idalka ją obudziła.

— Musisz wstać, Zosiu — rzekła — i ustąpić na tę noc łóżka kwiatkom. Są chore i potrzebują wypoczynku, a ty sobie możesz poleżeć w szufladzie.

I wyjęła z łóżeczka lalkę, która zrobiła minę bardzo niezadowoloną, ale ze złości, nie powiedziała ani słówka.

Potem ułożyła kwiaty na poduszce i okryła je kołderką.

— Teraz leżcie sobie i odpoczywajcie, a ja wam przyrządzę herbaty, żebyście się napiły i do jutra były zdrowe — powiedziała.

Zasunęła starannie firankę nad łóżkiem, aby im słońce z rana nie świeciło w oczy i odeszła na palcach.

Przez cały wieczór wciąż myślała o tem, co jej Fredzio opowiadał, a nim się położyła sama do łóżeczka, zbliżyła się cichutko do okna, na którym stały śliczne kwiaty mamy: tulipany i hiacynty, odsunęła firankę i szepnęła im z uśmiechem:

— Wiem, że będziecie na balu tej nocy! Ale kwiaty udały, że nic nie rozumieją, — żadnym listkiem nie poruszyły. Idalka wiedziała jednak, co ma o tem myśleć.

Długo dziś nie mogła zasnąć, bo wciąż myślała, jakby to było przyjemnie popatrzeć na śliczne kwiaty, tańczące w królewskim zamku. Ach, żeby to zobaczyć choć raz jeden!

— Czy też moje kwiatki naprawdę tam będą? — szepnęła cichuteńko i zasnęła.

W nocy się obudziła. Śniło jej się o kwiatkach, o Fredziu i nieznośnym radcy, który na wszystko wygadywał. W pokoju było cicho; na stoliku paliła się nocna lampka, ojciec i mama spali.

— Czy też moje kwiaty leżą jeszcze w łóżeczku Zosi? — pomyślała. — Ach, jakbym się chciała przekonać!

Podniosła się troszeczkę i spojrzała na drzwi uchylone do drugiego pokoju, — tam były jej kwiaty i wszystkie zabawki. Zaczęła nasłuchiwać i zdawało jej się, że ktoś tam ślicznie gra na fortepianie, ale tak delikatnie i cichutko, jak jeszcze nigdy dotąd nie słyszała.

— To pewno kwiaty tańczą! — szepnęła z zachwytem. — Ach mój Boże, jakbym chciała to zobaczyć!

Nie śmiała jednak podnieść się z łóżeczka, aby nie zbudzić mamy.

Może one tu przyjdą — pomyślała znowu. Ale kwiaty nie przychodziły. Muzykę słyszeć było coraz lepiej, śliczną ale cichutką.

Nakoniec Ida dłużej wytrzymać nie mogła. Wyszła pomalutku z łóżka i na palcach podeszła do drzwi uchylonych. Zajrzała. Co za widok! Ach, cóż tam zobaczyła!

Nocnej lampki nie było w sąsiednim pokoju, ale księżyc

świecił przez okno prześlicznie i było też tak jasno, jak w dzień biały.

Wszystkie tulipany i hiacynty z okna stały na środku naprzeciwko siebie, w doniczkach nie pozostał ani jeden. Pomiedzy nimi kręciło się i uwijało całe mnóstwo prześlicznych kwiatów, trzymając się Usteczkami, jak za ręce i zwracając w takt muzyki w tę lub inną stronę. Niepodobna opisać, jak to było pięknie!

Na fortepianie grała żółta lilia, którą Ida niedawno poznała w ogrodzie. Fredzio powiedział zaraz: patrz, jaka podobna do panny Karoliny. Ale wszyscy się z niego śmieli. Tymczasem żółta lilia była rzeczywiście do panny Karoliny niezmiernie podobna, szczególnie teraz, kiedy pochylała to na prawo to na lewo podłużną żółtą głowę, wybijając nią takt muzyki.

Małej Idalki nikt nie zauważył. Wtem wielki, niebieski krokus wskoczył na stolik z zabawkami, odsunął firanki od łóżeczka lalki i chore kwiaty natychmiast powstały, okazując uśmiechem i ruchami, że już odpoczęły i mają ochotę tańczyć znowu razem z innymi.

Wtem, kominiarczyk ze stłuczonym nosem, który siedział zawsze w kąciuku, wyskoczył i kłaniając się uprzejmie kwiatom, zapraszał je do tańca. Wcale nie wyglądały teraz na zmęczone, sfrunęły ze stolika i zaczęły kręcić się w kółko.

Coś upadło na podłogę. Idalka podniosła oczy — to różga karnawałowa, która widać uważała, iż zalicza się także do kwiatów. Była zresztą bardzo ładna, przybrana w kwiaty papierowe, i mogła się wszystkim podobać, choć na jednej z gałązek siedziała woskowa laleczka w kapeluszu z szerokim rondem, takim samym, jak nosił radca. Różga biegła prosto przez środek pokoju, przytupując do taktu, gdyż tańczyła mazura, Inne kwiaty nie lubiły tego tańca, ponieważ były za lekkie i nie mogły przytupywać.

Nagle woskowa lalka w kapeluszu z szerokim rondem stała się długą i grubą, zaczęła się wykręcać na swojej gałązce i krzyczeć głośno: — Jak można kłaść dziecku w głowę takie rzeczy! To fantazyja bezsensu. — I podobną była zupełnie do radcy.

Lecz papierowe kwiaty zaczęły uderzać ją po długich nogach, że skurczyć je

musiała i stać się znowu małą. Było to bardzo śmieszne. Różga wywijając wkółko coraz lepiej, a nieznośny radca musiał tańczyć z nią razem, choć się kurczył i rozciągał bezustannie w swym kapeluszu z szerokim rondem.

Nareszcie inne kwiaty wstawiły się za nim i papierowe róże przesiały uderzać go po długich nogach twardymi listkami. Najlitościwsze były chore kwiaty z łóżeczka Zosi.

W szufladzie z zabawkami dało się słyszeć pukanie. Kominiarczyk natychmiast pośpieszył na brzeg stolika, położył się na brzuchu i z całej siły zaczął wyciągać szufladkę. Udało mu się wreszcie. Zosia wysunęła głowę i zaraz się podniosła, bardzo zadziwiona.

— To tutaj bal? — spytała. — A dlaczego nikt mi o tem nie powiedział?

— Czy chcesz ze mną tańczyć? — szepnął kominiarczyk.

— Jeszcze czego! To mi tancerz! — odpowiedziała dumnie i odwróciła się plecami.

Usiadła sobie na brzegu szuflady, oczekując, aż który z kwiatów przyjdzie ją zaprosić. Ale żaden nie przychodził. Zaczęła chrząkać głośno: "Hm! hm!" To wszystko jednak na nic się nie zdało, nikt na nią nie uważał.

A kominiarczyk ze stłuczonym nosem tańczył sam i bardzo ładnie.

Widząc, że kwiaty na nią nie zważają, lalka z wielkim hałasem umyślnie spadła na podłogę. Natychmiast wszystkie otoczyły ją troskliwie, podnosząc i dopytując, czy nie zrobiła sobie jakiej krzywdy. Szczególniej kwiaty, które spały w jej łóżeczku, były uprzejme i dziękowały jej serdecznie, że na jej pościeli odpoczęły wygodnie przed balem. Wzięły ją za obie ręce i wyprowadziły na środek pokoju; tu księżyc najjaśniej świecił i najpiękniej było tańczyć. Reszta kwiatów otoczyła ich ogromnym kołem i wszyscy się kręcili tak leciuchno i ślicznie, jak prawdziwy ruch motylków.

Wtedy lalka rozweseliła się zupełnie i powiedziała kwiatom, że mogą spać w jej łóżeczku, bo jej w szufladzie zupełnie dobrze.

— Dziękujemy ci, dobra Zosiu — rzekły kwiatki — ale my już niedługo żyć będziemy. Umrzemy jutro. Powiedz Idalce, żeby pochowała nas w ogródku, obok kanarka, to obudzimy się w lecie i będziemy jeszcze piękniejsze!

— Ach, nie! — zawołała lalka. — Po co macie umierać? — I całowała je serdecznie po kolei.

Wtem otworzyły się drzwi od salonu i tańcząc, wbiegło mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Ida w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, skąd one się tu wzięły, ale odgadła zaraz: to pewno były kwiaty z królewskiego zamku!

Na czele szły dwie róże przecudowne w złotych koronach: to król i królowa. Potem śliczne, pachnące gwoździki, lewkonie kłaniały się na wszystkie strony i uśmiechały słodko. Za nimi szła muzyka: wielkie maki i piwonie wygrywały z takim zapałem na strączkach, że poczerwieniały całkiem z wysilenia. Hiacynty fioletowe i pierwiosnki dzwoniły znowu tak prześlicznie, jakby miały prawdziwe dzwonki. Cudowna to była muzyka!

Całe mnóstwo kwiatów wpłynęło z salonu i tańczyły wszystkie razem: stokrotki z fijołkami, złocienie z konwalia, rezeda z groszkiem pachnącym, bławatki, bzy, bratki, róże — wszystkie się całowały i tańczyły, że rozkosz była patrzeć.

Nakoniec księżyc pobladł i zmęczone kwiaty powiedziały sobie: Dobranoc!

Ida także cichutko powróciła do łóżeczka, wsunęła się pod kołderkę i zasnęła. Wtedy śniło jej się znowu wszystko to, co widziała.

Nazajutrz z rana pobiegła natychmiast do stolika z zabawkami zobaczyć, co robią kwiaty w łóżku Zosi. Odsunęła firankę — leżały spokojnie, ale zupełnie zwiędły. Zosia była w szufladzie, gdzie ją włożyła wczoraj, tylko okropnie zaspana.

— Czy pamiętasz, co mi miałaś dziś powiedzieć? — spytała Ida.

Ale Zosia zrobiła bardzo niemądrą minę i nie odpowiedziała ani słówka.

— Wcale nie jesteś dobrą — rzekła Ida — przecież wszystkie tańczyły z tobą!

Odwróciła się od lalki, wzięła bardzo ładne pudełko papierowe, malowane, i włożyła w nie zwiędłe kwiaty.

— Będziecie miały prześliczną trumienkę — powiedziała. — Chłopcy przyjdą po południu i pomogą mi was pochować w ogrodzie, obok kanarka, żebyście obudziły się w lecie jeszcze piękniejsze, niż teraz.

— "Chłopcy" — byli to mali kuzynkowie Idy, Janek i Stefan. Dostali właśnie od ojca bardzo piękne nowe łuki i przyszli je pokazać Idalce. Dziewczynka opowiedziała im zaraz historię zmarłych kwiatów, więc zajęli się ich pogrzebem. Obaj szli naprzód, każdy z łukiem na ramieniu, a Idalka za nimi, niosąc kwiaty w ładnym pudełku. W ogrodzie wykopali dół pod drzewem, dziewczynka pocałowała kwiaty, potem złożyli pudełeczko w ziemi i usypali nad niem niewielką mogiłę.

Na pożegnanie chłopcy wystrzelili z łuków, gdyż nie mieli armat ani innej broni.

KRASNOLUDEK.

W pewnym dużym mieście, na lichym poddaszu mieszkał prawdziwy student; prawdziwy — to znaczy, że był ubogi i kochał naukę. Na dole w tym samym domu mieszkał prawdziwy kupiec, a tu prawdziwy — znaczy, że posiadał sklep duży, pełen dobrego towaru i dom, który także był jego własnością.

U kupca też zamieszkał krasnoludek, czyli kobold, bo różnie w różnych krajach nazywają te maleńkie istotki, w dzień starannie ukrywające się przed nami, a w nocy czuwające nad naszą pracą i majątkiem, jak niewidzialne duchy opiekuńcze. Ludzie też bardzo cenią pomoc krasnoludków i starają się pozyskać ich przyjaźń przez dary, jakie dla nich zostawiają.

Złym ludziom krasnoludki pomagać nie lubią, a nawet często szkodzą, aby ich ukarać; nie mieszkają też u nich. Dlatego stały pobyt krasnoludka szczęście i zaszczyt przynosi domowi, bo zarazem świadczy o jego zacności.

Nasz krasnoludek zamieszkał u kupca, bo tu było wygodnie, ciepło i dostatnio, a każdego roku na gwiazdkę zastawiano dla niego w sklepie obok kasy na czyściutkiej serwecie całą miseczkę miodu i osełkę najlepszego, świeżutkiego masła. Stać było na to kupca, ale krasnoludek umiał cenić tę pamięć i trzymał się sklepu, sumiennie chroniąc od zniszczenia, co w nim było najdroższego.

Raz wieczorem wszedł student tylnymi drzwiami od podwórza, aby sobie kupić świecę i kawałek sera. Nie miał kogo przysłać po to, więc sam przyszedł; zabrał sprawunki, zapłacił, a kupiec i kupcowa skinęli mu życzliwie na dobranoc. Było to bardzo uprzejmie z ich strony, gdyż kupiec miał sklep własny i dom cały należał do niego, a kupcowa posiadała jeszcze dar wymowy. Pod tym względem niełatwo jej było dorównać!

Student ukłonił się też bardzo grzecznie i szedł ku drzwiom, lecz stanął i zaczął uważnie czytać kartkę papieru, w którą mu ser zawinięto. Była to kartka z bardzo starej książki, której ludzie nie powinni byli niszczyć, gdyż zawierała prawdziwą poezję.

— Mam tego więcej — odezwał się kupiec — jakaś staruszka przyniosła mi cały zeszyt tych kartek za odrobinę kawy, daj mi pan parę groszy, a oddam ci resztę.

— O tak! — zawołał student — nie mam wprawdzie pieniędzy, lecz daj mi pan te kartki zamiast sera. Wystarczy mi chleb na wieczerzę. Grzechem byłoby zniszczyć taką książkę. Jesteś pan dobrym kupcem i zacnym człowiekiem, lecz na poezyi znasz się chyba tyle, co ta stara beczka od papierów w kącie.

Było to powiedziane niezbyt grzecznie, szczególnie względem beczki, która mogła się obrazić, ale kupiec się rozśmiał i student śmiał się także — przecież to tylko żarty.

Krasnoludek jednak oburzył się, że biedny student, który nie ma kawałka sera na wieczerzę, śmie mówić podobne rzeczy człowiekowi, mającemu w sklepie śmietankowe masło i tyle nieporównanych przysmaków.

To też gdy noc nadeszła, sklep zamknięto i wszyscy spokojnie zasnęli, wyszedł krasnoludek ze swojej kryjówki, udał się do sypialnego pokoju i wziął od pani dar wymowy. We śnie go wcale nie potrzebowała, a on mógł po kolei obdarzać nim różne przedmioty, które tym sposobem równie dobrze, jak pani kupcowa, wypowiadały swoje myśli i uczucia. I to też było dobrze, iż tylko kolejno mogły się posługiwać własnością swej pani, gdyż inaczej mówiłyby wszystkie razem i byłby straszny hałas.

Najpierwej krasnoludek oddał dar wymowy beczce, w której mieściły się stare gazety.

— Czy to prawda — zapytał — że nie wiesz, co znaczy poezya?

— Jeszczebym tego nawet nie wiedziała! — odrzekła beczka. — Poezja, to jest przecież to, co tak nierówno drukują zawsze u spodu w gazetach, a niekiedy wycinają potem nożyczkami. Ale to bardzo rzadko i mogę cię zapewnić, iż więcej poezji znajduje się we mnie w tej chwili, niż w tym dumnym studencie. A przecież ja jestem tylko ubogą beczką w porównaniu z naszym panem, zamożnym kupcem!

Następnie krasnoludek oddał dar wymowy młynkowi od kawy nowego systemu. No, ten przynajmniej nie marnował czasu, kiedy mógł mówić. Potem, pożyczona tak niewinnie własność pani, udzieloną została beczce masła i kasie z pieniędzmi; wszyscy jednak podzielali zdanie beczki od papierów, widocznie miała ona dużo doświadczenia i można jej było zaufać. Bo przecież jeżeli wszyscy mówią jedno i to samo, to musimy im przyznać słusność.

— No, teraz mogę śmiało odpowiedzieć studentowi — rzekł do siebie krasnoludek i nie zwłószcząc ani chwili, wymknął się na schody, na strych prowadzące.

W lichej izdebce świeciło się jeszcze, krasnoludek zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył, że student czyta podartą książkę, którą nabył w sklepie za kawałek sera.

Ale jakaż tu jasność koło niego! Olśniewający promień tryska z kartek książki, niby pień drzewa, rozwija się w górze na tysiące gałęzi nad głową studenta, a każdy listek na nich pełen cudownego blasku, a kwiat każdy, jak śliczna żyjąca twarz dziecka, dziewicy, bohatera, a owoc — to gwiazda. I wszystko śpiewa, dzwoni jakąś pieśń nadziemską, której dźwięki płyną, jak słodka muzyka.

O takiej wspaniałości nie śniło się nawet nigdy krasnoludkowi, nie byłby uwierzył, że coś podobnego oiożna zobaczyć na świecie, a tymczasem tutaj — w ubogiej izdebce...

Patrzył i patrzył przez dziurkę od klucza, wspinając się na palce i nie mogąc pojąć ani nacieszyć się taką pięknnością.

Nakoniec światło zgasło. Może student zamknął książkę, a może mu się świeca wypaliła i poszedł spać. Krasnoludek jednakże nie odchodził od dziurki, gdyż cudowne pieśni i nadziemska muzyka brzmiały w izdebce ciągle, niby boska kołysanka dla wybranego ducha.

— Nie przeczuwałem nawet, że tu takie czary! — szepnął wreszcie maleńki.

Mógłbym się tu przenieść i zamieszkać zupełnie...

Zaczął myśleć o tem, gdyż był istotą rozważną i mądrą. Nakoniec westchnął.

— A miód! — szepnął ze smutkiem. — Do jedzenia nic tu niema.

I zszedł po schodach napowrót do kupca.

W samą porę powrócił, gdyż niewstrzemięźliwa beczka byłaby zupełnie zużyła dar wymowy pani kupcowej. Wygadała już wszystko, co się w niej mieściło, zaczynając od wierzchu, a teraz właśnie zamierzała powtórzyć jeszcze to samo na nowo, zaczynając od spodu, dla większej dokładności. Krasnoludek śpiesznie odjął jej wymowę i zwrócił pani kupcowej, w ustach której mogła wypocząć do rana.

Od tego czasu jednak cały sklep od kasy aż do najcieńszej drzazeczki tak mocno uwierzył w rozum beczki od papierów, iż wszystkie sprzęty powierzały jej swoje sekreta, otaczały szacunkiem niewypowiedzianym, a kiedy wieczorami kupiec czytał głośno wiadomości z gazet codziennych, były pewne, iż wypowiada myśli ich czcigodnej sąsiadki.

Ale krasnoludek już teraz nie słuchał ciekawie i spokojnie tych rozmów wieczornych; on — skoro tylko błysnęło światło w oknie na górze — śpieszył do dziurki od klucza, jak gdyby go kto ciągnął na łańcuchu. Tam ogarniało go dziwne uczucie wielkości i potęgi, jakby widział Boga samego, wśród burzy stąpającego po morskich bałwanach.

I zapominał, gdzie jest i co widzi, łzy płynęły mu z oczu, a serce wzbierało uczuciem dziwnie słodkim i radosnem. Jakiemże szczęściem byłoby dla niego usiąść obok studenta pod drzewem jasności i widzieć, co on widzi, i czuć, co on czuje! Lecz tego mu niewolno, on przyjął gospodę u kupca, tam jego miejsce, a tu może tylko patrzeć z daleka, przez dziurkę od klucza.

Nadeszła jesień, — w sieni było bardzo zimno, wiatr wdzierał się przez szpary i ciął krasnoludka jak ostrym nożem, — lecz on czuł ból i zimno dopiero wtedy, gdy zagasto światło w lichej izdebce, gdy ucichły pieśni, które mu zabierały całą duszę.

Hu, wtedy czuł, że zimno! Kurczył się we czworo i ostrożnie zsuwał się znowu po schodach do ciepłego swego kącika. Tutaj było przyjemnie i wygodnie, tu mógł się wyprostować, ogrzać zziębnięte nogi!

A kiedy przyszło Boże Narodzenie, w sklepie, przy kasie, na czystej serwecie, stała miseczka miodu i osetka masła. To mi kolęda — na cały rok wystarczy do spiżarni!

Kupiec był znowu górą w sercu krasnoludka.

Pewnej nocy obudził go hałas okropny: stukano w okienice bez delikatności, stróż nocny trąbił, uderzono w dzwony, rozległo się wołanie: gore! gore!

Wszyscy zerwali się ze snu strwożeni. Gore? Gdzie gore? Całe miasto w ogniu! Dom sąsiada się pali!

Pani kupcowa tak się przestraszyła, że wyjęła z uszu co prędzej kolczyki, aby schować je do kieszeni. Kupiec wybierał ważniejsze papiery, patenty i świadectwa; służąca ratowała jedwabną mantylkę, którą za ostatnie zasługi kupiła; każdy

najdroższą rzecz pragnął ocalić.

Krasnoludek poskoczył czempędzej na górę, do izdebki studenta, który stał spokojnie w otwartym oknie i patrzył na ogień, szalejący w domu sąsiada. Niech sobie patrzy, — on pochwycił książkę, która leżała otwarta na stole, schował do swojej czerwonej czapeczki i trzymał mocno oburącz na głowie.

Teraz niech reszta spłonie: skarb najdroższy uratowany i nie zginie, póki żyje opiekuńczy duch tego domostwa, mały krasnoludek. On go w niebezpieczeństwie uchronić potrafi, oho! już jest na dachu, siedzi na kominie i przyciskając mocno czerwoną czapeczkę, patrzy na dom płonący.

I tak siedział, dopóki nie ugaszono ognia. W tej chwili wiedział dobrze, co najbardziej kocha, co mu jest tutaj najdroższym na świecie, komu służy, — o, wiedział!...

Ale kiedy ogień ugaszono, powrócił do rozsądku. Tak, to bardzo piękne i bardzo drogie — ale...

— Muszę służyć im obu — rzekł nakoniec. — Zupełnie kupca porzucić nie mogę, przez wzgląd na miód i masło!

ROPUCHA.

Studnia była głęboka i na długim sznurze musiano spuszczać wiadro, aby dostało do wody; ciężko też było pełne wyciągnąć do góry i ręka zaboląła, zanim stanęło na zrębie. Woda w studni była chłodna, a przezroczysta jak kryształ, ale słońce w jej zwierciadle nie przeglądało się nigdy: żaden promyk nie dosięgał do dna studni, choć zaglądały do środka ciekawie, podziwiając zielony mech i wodorosty, którymi porastały kamienne jej ściany.

W studni mieszkała z dawna cała rodzina ropuch. Dostały się tu przed laty przypadkiem, dzięki babce, która przyjechała w wiadrze, i nie miały zamiaru powracać na ziemię. Zielone żabki, które jeszcze dawniej założyły tutaj swoje państwo, gościnnie powitały przybyszów, uznały w nich krewnych i nazwały ich gośćmi. Ale goście osiedlili się jakoś na dobre, utrzymując, że nie tak łatwo o przyjemniejsze mieszkanie na świecie, że tutaj mają zupełną swobodę, mogąc przebywać z równem bezpieczeństwem i w wodzie i na lądzie. Lądem nazywały one wilgotne i porośnięte mchem kamienie, stanowiące ściany studni.

Razu jednego babka ich, stara ropucha, dostała się przypadkiem wraz z wodą do wiadra. Nie wiedziała, co począć, kiedy ciągniono ją w górę. Nagle oślepiający blask słońca pozbawił ją prawie wzroku, uczuła ból w oczach, więc przerażona, wyskoczyła z wiadra, uderzyła o kamień i z wielkim pluskiem i hałasem wpadła znowu do wody. Przez trzy dni po tym wypadku leżała chora na ból krzyża, ale potem przysła do siebie i odzyskała zdrowie.

Rozumie się, że niewiele mogła ona opowiedzieć wnukom o tej podróży i nieznanym świecie, który się rozpoczynał poza studnią, to wiedziała jednakże, czego się domyślały zresztą wszystkie żaby, że świat inny istnieje, tam na górze. Mogłaby ona coś o nim powiedzieć, gdyby naprawdę chciała, ale nie lubiła mówić i nawet na pytania zwykle odpowiadała milczeniem.

— Gruba, niezgrabna, brzydka — mówiły o niej żabki zielone z niechęcią — z pewnością i jej dzieci będą kiedyś takie.

— Być może — odpowiedziała urażona ropucha — lecz w głowie jednej z nas mieści się klejnot niezmierniej ceny, może w mojej własnej. A z was żadna nie posiada nic takiego. Żabki zielone szeroko otworzyły oczy, słuchając o drogocennym klejnocie, ale spostrzegłszy, że młode ropuchy patrzą na nie z wielką dumą, wykrzywiły się pogardliwie i umknęły w głąb studni.

Ropuszeta tymczasem kiwała głowami i wyciągały tylne nogi na znak zadowolenia; każda myślała, że zapewne ona ma w głowie drogi klejnot i postanawiała bardzo ostrożnie obchodzić się z swoją osobą.

Przez kilka dni zaledwie ośmielały się skakać, a kar-

ki tak im zeszywniały od prostego trzymania głowy, że dłużej znieść tego nie mogły. Otoczyły więc babkę i zaczęły pytać: co to jest klejnot? Dlaczego tak drogi? I dlaczego dumne być z niego powinny?

— Klejnot — odparła babka — jest to coś tak wspaniałego, że się wcale opisać nie da. — Temu, kto go posiada, sprawia rozkosz niewymowną, w innych zaś budzi zazdrość. Zresztą nie pytajcie mnie więcej, bo nic już nie odpowiem.

— To już wiem teraz, że ja nie mam w głowie klejnotu — zawołała najmłodsza i najbrzydsza z ropuch, tak szkaradna, że trudno było patrzeć na nią. Skądby się we mnie wzięła rzecz tak droga? A jeżeli w innych ma to budzić zazdrość, to mnieby nie cieszyło. Nie chcę żadnego klejnotu, wolałabym wydostać się tam, na brzeg studni i świat zobaczyć. To musi być coś cudownego!

— Zostań, gdzie jesteś, kiedy ci tu dobrze — odrzekła stara — tu przynajmniej znasz wszystko i nie potrzebujesz niczego się obawiać. Uważaj tylko, żeby wiadro cię nie potrafiło, bo mogłoby cię zabić, a gdyby cię przypadkiem zaczerpnęli z wodą, pilnuj się dobrze, żebyś nie wypadła. Nie każdy umie tak, jak ja, zręcznie wyskoczyć, a złamać nogę niewielka przyjemność.

— Kwak, kwak! — potwierdziła mała ropucha, co znaczyło w jej języku: ach, ach, moja babciu!

Z każdym dniem jednak goręcej pragnęła wydostać się na górę; tęsknota do jasnego, nieznanego świata, który olśniewa blaskiem — jak mówiła babka — wzrastała w niej codziennie, snu ją pozbawiała, nie dawała spokoju. To też gdy dnia pewnego pełne wody wiadro zatrzymało się na minutę przy kamieniu, gdzie żabka rozmyślała, siedząc na mchu zielonym, nie zawahała się ani sekundy i wskoczyła do wody. Nie miała nawet czasu zastanowić się nad tem, co zrobiła, gdy olśnił ją blask wielki i jednocześnie prawie wyleciała z wiadra na wilgotną ziemię.

— Tfy, cóż za potwór! — zawołał parobek, który wylewał wodę.

I kopnął ropuchę butem z drewnianą podeszwą tak mocno, że ogłuszona, upadła o kilka kroków, między gęste pokrzywy.

Kiedy przyszła do siebie, ujrzała dokoła las cienkich łodyg i zielonych liści, przez które przedzierały się plamki złociste. I zrobiło jej się tak miło, jak ludziom, kiedy w cienistym lesie widzą złote słońce, przeświecające przez gęstwinę liści.

— O, tu ładniej niż w studni! — zawołała zachwycona, — Tutaj chciałabym przebyć całe życie.

I położyła się na mokrej ziemi, pod liśćmi pokrzywy. Tak przeleżała godzinę, dwie prawie. Ale ciekawość znowu budzić się zaczęła.

Co też tam dalej być może? — myślała. — Kiedy aż tutaj doszłam, muszę spróbować jeszcze zajść i trochę dalej. Czemużbym nie miała poznać całego świata?

I posuwając się szybko, jak mogła, doszła do drogi. Oblało ją słońce, gorące, jasne, kurz obsypał całą, kiedy na drugą stronę w poprzek przechodziła.

— Tutaj to prawdziwie sucho — rzekła do siebie. — Strasznie sucho. Aż dusi!

Przedostała się wreszcie na drugą stronę drogi, gdzie był rów dość głęboki i wilgotny. Nad rowem rosły niezapominajki, spirea, białe ciernie, a na płocie pięły się dzikie powoje, osypane blado-różowymi kwiaty. Motyl zleciał z kwiatka i usiadł na drugim. Ropucha pomyślała, że to kwiat oderwał się od łodygi i wzleciał do góry,

aby z wysoka lepiej świat obejrzeć. To wydawało jej się całkiem naturalne.

— O, gdybym ja tak unosić się mogła! — pomyślała z zazdrością. Kwak, co za wspaniałości! Jakże ten świat piękny!

Osiem dni szczęśliwych przeżyła ropucha w rozkosznym rowie, gdzie nie brakowało żywności, ani wygod. Dziewiątego dnia jednak powiedziała sobie: pójdźmy dalej. Wprawdzie — czyż mogła znaleźć coś na świecie piękniejszego i wspanialszego? Czegóż jej tu brakowało? — Chyba towarzyski, choćby zielonej żabki. Właśnie ostatniej nocy wydawało jej się, że wiatr, przynosi dobrze znane głosy, zwiastujące bliskość krewniaków.

— Co to za życie! — rozmyślała sobie. — Wydostać się ze studni, odpocząć w pokrzywach, przebyć taką suchą i palącą drogę, wreszcie ten rów wspaniały! Ale to nie dosyć. Dalej, naprzód! Muszę odnaleźć ropuchy, albo zielone żabki; sama natura wystarczać nie może, każdy potrzebuje towarzystwa!

I wyruszyła dalej.

Przez łąkę doszła do dużego stawu, zarośniętego trzcina i zaczęła się przechadzać dookoła. Inne żabki zauważyły ją wkrótce.

— Dzień dobry. Jak się tu pani podoba? Przepraszam, może panu? Zresztą to wszystko jedno, każdy gość mile jest u nas witany.

Zaprosiły ją zaraz na wieczorny koncert w domowym kółku, — amatorskie siły, wiele zapału, na drobiazgi trzeba być wyrozumiałym. Co się tyczy przyjęcia: staw pełen czystej wody i co sobie kto znajdzie. Jak w domu, bez ceremonii.

I znowu zabawiła ropucha dni kilka w przyjemnym towarzystwie. Potem zapragnęła iść dalej. Czuła dziwną tęsknotę do czegoś lepszego, a nieznanego.

— W drogę — rzekła sobie.

Tyle rzeczy jeszcze miała do poznania! Nad nią świeciły gwiazdy, jak złote iskierki, księżyc i słońce wyływały na niebiosa, posuwały się wyżej, wysoko, wysoko, i zniżały napowrót.

— Kto wie, czy ja i teraz jeszcze nie jestem w studni — myślała żaba — prawda, większej i piękniejszej, ale zawsze głębszej. Chciałabym się znowu wydostać tam, na górę! Och, jak tego pragnę! Jaka tęsknota pociąga mię dalej, wyżej, bez końca!

Spojrzała na błyszczący, jasny księżyc w pełni i pomyślała znowu:

— A może to jest wiadro, które się spuszcza na dół? Gdybym w nie wskoczyć mogła, gdzieby mnie wyniosło? A może słońce jest tem wielkim wiadrem?

Takie błyszczące i takie ogromne! Tam mogłybyśmy pomieścić się wszystkie. Trzeba tylko nie ominąć sposobności i uważać. Trudno to dosyć, bo oślepią blaskiem, ale kto chce coś poznać...

— O, tak mi w głowie coś świeci chwilami! Jaśniej niż klejnot, o którym mówiła nam babka. Tego nie mam z pewnością, ale co mi po nim? Nie rozumiem, jaką rozkosz sprawiać może. Ach, i nie myślę o nim wcale. Dalej, dalej w drogę, do szczęścia, do światła! Czuję w sobie wielką wiarę, chociaż i obawę razem. Co mnie znów czeka? Byle naprzód, prosto!

Posuwając się zwolna, jak każda ropucha, nasza znajoma znalazła się wreszcie na drodze, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się ludzkie mieszkania, otoczone kwiatowymi i warzywnymi ogródkami. Zatrzymała się na grządce kapusty, aby odpocząć trochę.

— Co tu stworzeń na świecie, których nie znałam dotąd! — mówiła sobie — i jaki ten świat niezmierny! A jaki piękny! Nie trzeba tylko siedzieć wciąż na jednym miejscu, kto chce go poznać.

— Jak tu zielono! — dodała wesoło, rozglądając się po główkach kapusty.

— Wiem o tem — odpowiedziała gąsienica, siedząca na młodej główce. — Mój liść jest tu największy, zasłania pół świata, ale mnie to nic nie szkodzi.

— Ko, ko, ko! zagdakały kury, zbliżając się do grzędy i obchodząc ją wkoło. Kogut szedł na czele, a wzrok miał doskonały, z daleka ujrzał grubą gąsienicę na pomarszczonym liściu i dziobnął ją zaraz tak mocno, że upadła na ziemię i wiła się z bólu. Kogut spojrzał na nią naprzód jednym okiem, następnie drugim, gdyż nie wiedział, co to ma znaczyć i co może wyniknąć z takiego kręcenia.

— To mimowolne — pomyślał na koniec i podniósł głowę, aby ją dziobnąć raz drugi. Przestraszona ropucha poskoczyła biedaczce na pomoc i znalazła się nagle przed dziobem koguta.

— A to co? — rzekł ptak zdziwiony. — Cóż za potwór Nędzne stworzenie ma widać obrońców!

I odwrócił się pogardliwie.

— Nie ma się o co dobijać — dodał jeszcze odchodząc. — Zielony jakiś okruch, — a kręci się, — jeszczeby mię w gardle drapało.

Tak mądre zdanie przekonało od razu wszystkie kury i żadna nie spojrzała nawet na gąsienicę, oddalając się w stronę przeciwną.

— A to się wykręciłam! — zaśmiał się zielony robak. — Nigdy w niebezpieczeństwie nie trzeba tracić przytomności. Wiedziałam, że ich odstraszyć potrafię.

Z zadowoleniem spojrzała na żabę, ale zaraz westchnęła.

— Cały kłopot, że teraz trudno będzie znowu na liść się dostać. Ha, cóż robić i z tem przecież dam sobie jakoś radę. Nie od parady mam głowę na karku. Ale gdzież on się podział?

— Tu jest — rzekła ropucha, ze współczuciem patrząca na słabe maleństwo. — Bardzo mi przyjemnie, że moją brzydota dopomogłam pani w tej biedzie. Kogut widocznie przestraszył się mojej osoby.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała dumnie gąsienica. — Sama się obroniłam od koguta i pomocy od nikogo nie potrzebowałam. Ale jesteś rzeczywiście tak szkaradną, że niemiło patrzeć na ciebie. Proszę cię więc, odejdz stąd i zostaw mię w spokoju. Oto mój liść! Zaraz się na niego dostanę. Dobrze mówi przysłowie, że najlepiej w domu. Każdemu najprzyjemniej u siebie. Ale muszę wejść trochę wyżej.

— O, tak, wyżej! — powtórzyła z westchnieniem ropucha. Każdy chce wyżej. I

ona czuje to wielkie pragnienie, tę tęsknotę, która mnie naprzód popycha. Tylko biedaczka w złym dzisiaj humorze. I nie można się dziwić: taki przestrasz! Wszyscy dążymy naprzód, wyżej, wyżej!...

I starała się podnieść głowę tak wysoko, jak pozwalała na to krótka, sztywna szyja.

Na dachu chaty w gnieździe zaklekotał bocian, potem zaklekotała pani bocianowa. Zaba wypukłe oczy zwróciła w tę stronę.

— Ach, ci dopiero wysoko mieszkają! — zawołała z zachwytem. — Ktoby się tam mógł dostać!

Na podwórzu przed chatą stało dwóch studentów, jeden z nich był poetą, drugi przyrodnikiem, jeden pięknymi słowy opisywał wszystko, co wzrusza, cieszy, boli, lub zachwyca, — drugi we wszystkim szukał początku i prawdy. Obaj byli dobrzy i poczciwi chłopcy, chociaż na każdą rzecz zapatrywali się odmiennie.

— Patrzno, jaka ropucha — rzekł nagle przyrodnik — pyszny egzemplarz! Mam wielką ochotę włożyć ją do spirytusu.

— Masz już dwie przecież w spirytusie — odparł poeta — pozwólże tej oddychać jeszcze czystym powietrzem i cieszyć się, że żyje.

— Kiedy taka brzydka. Prawdziwy okaz.

— Znajdziesz więcej takich. Gdybyś wiedział przynajmniej, że znajdziesz w jej głowie ten bezcenny klejnot, no, kto wie, czy wtedy sambym ci nie doradził otworzyć jej czaszkę.

— Klejnot! Ach ty poeto! Zawsze wolisz baśnie od nauki i prawdy.

— Nie — odparł poeta — prawda jest piękną, więc ją kochać muszę, ale sam powiedz, czyż to nie piękne podanie, że ropucha, ten najbrzydszy z naszych płazów, często ma w głowie klejnot niezmiernej wartości? W podaniach ludu nieraz kryje się myśl wielka i poetyczna. Czyż i ludzie tacy jak np. Ezop, nie mieli — Żaba nie słuchała więcej, nie rozumiała tej mądrej rozmowy; poskoczyła dalej, nie wiedząc nawet, że szczęśliwie uniknęła śmierci w spirytusie, i zastanowiła się nad jednym słówkiem, które ją uderzyło.

— I ci mówili także o klejnocie — rzekła do siebie — babka wie to dobrze i zna wiele rzeczy. Bardzo jest mądra, szkoda, że nic mówić nie chce. A co do mnie, cieszę się, że nie posiadam tego skarbu w głowie, mógłby mnie tylko narazić na nieprzyjemności.

W bocianiem gnieździe bocian przemawiał do dzieci, które ciekawie z góry przypatrywały się studentom.

— To są ludzie, najmądrzejsze na świecie stworzenia. Wiele rzeczy umieją, chociaż — rozważywszy, co umieją bociany, można się przekonać, że w niejednym ich przewyższamy. Mowa naprzykład. Bardzo są z niej dumni, patrzcie tylko, jak prędko ruszają ustami. A jednak — mojem zdaniem — co wart taki język, którego o dzień drogi już nikt nie rozumie? Bocian rozmówi się wszędzie z bocianem, na północy, w Egipcie, na południu, w zimnych i ciepłych krajach, wszędzie jednakowo wypowiadamy swoje myśli. To jest język!

— I latać ludzie nie mogą w powietrzu, jak my, bociany. Wprawdzie urządzili sobie jakieś linie i drogi, po których z szybkością mogą przenosić się z miejsca na miejsce, ale — po pierwsze, co to za wygoda i co za porównanie z naszym lotem? a po wtóre — ileż widziałem wypadków, roztrzaskanych pociągów, pozabijanych ludzi! Brr! aż mię mrowie po dziobie przechodzi.

— Zresztą świat bez ludzi mógłby się obejść zupełnie. My nie odczulibyśmy wcale tego braku. Byle tylko zostały żaby i robaki.

— To mi mowa! — rzekła ropucha, która wysłuchiwała jej z wielkim podziwem od początku do końca. — Bocian jest najmądrzejszą istotą na świecie. A jak wysoko mieszka. Nikogo jeszcze tak wysoko nie widziałam. I pływać może w powietrzu! — zawołała zdumiona, widząc, jak wzniósł się z gniazda z rozpostartymi skrzydłami.

Tymczasem w gnieździe pani bocianowa zaczęła opowiadać dzieciom o Egipcie, gdzie się miały udać na zimę. Mówiła im o długiej, dalekiej podróży, o rzece, która kraj cały zalewa i zostawia muł niezrównany, pełen przewybornego pokarmu. Ropucha słuchała z wielką ciekawością tych opowieści nowych, a zachwycających.

— Muszę się dostać do Egiptu — pomyślała. — Muszę poznać ten kraj cudowny! Tyle rzeczy na świecie jest jeszcze do poznania! Żeby mię tylko bocian zechciał zabrać. Takbym mu była wdzięczną. Ach, wiem, że się dostanę w ten lub inny sposób, — wszystko mi jakoś wiedzie się na świecie. Wierzę teraz, że wszystko tutaj zrobić można, jeśli się szczerze pragnie, jak ja, całym sercem. O, wolę to pragnienie moje nieskończone, które mi rozkosz sprawia, niż najdroższy klejnot.

Nie domyślała się, że to pragnienie, które ją wiecznie naprzód i wyżej pociąga, że ta tęsknota do rzeczy nieznananych, wielkich i pięknych, jest właśnie klejnotem, który jaśniał w jej głowie blaskiem siły i radości.

Nagle tuż obok siebie ujrzała bociana, który otworzył dziób, aby ją porwać.

Więc marzenie spełnione!

Dziób zamknął się mocno, wiatr zaświszczał jej w uszach, ból przeniknął ciało, ale leciała w górę, może do Egiptu, wyżej i wyżej!

Z oczu jej trysnęły promienie iskier, a z paszczy szerokiej wyrwał się krótki okrzyk.

— Kwak, ach!

I ropucha nie żyła. Z ciała uleciało życie, z oczu trysnęły iskry. Gdzież są teraz?

Zabrały je promienie słoneczne, zabrały drogi klejnot z głowy ropuchy. I gdzie go zaniósł?

Pytaj o to poety. On jeden tylko widzi i rozumie te tajemnice, on ci odpowiedzieć może. On ci odpowie w baśni. A wiesz, co odpowie?

— Szukaj go w słońcu!

Szukaj, choć blask cię olśniewa. Nie wszystko widzieć możemy oczyma — ciała naszego, ale kiedyś, kiedyś, ujrzymy może cuda, które dziś przeczuwa tylko tęsknota jakaś i pragnienie, ukryte, niby klejnot tajemniczy, w duszy człowieka.

LEN.

Lato. Szumią lasy, kołyszą się zboża, pachnąłaki kwieciste. Len zakwitł. Całe pole błękitnieje. Na zielonych łodyżkach patrzą w niebo kwiatki, drobne, błękitne, lekkie, delikatniejsze od skrzydeł motyla. Słońce je pieści, grzeje swymi promieniami, a chmury poją deszczem. I dobrze, miło zielonej roślince, jak dziecku, gdy je matka umyje, nakarmi i pocałuje.

Len był bardzo szczęśliwy.

— Mówią ludzie, że jestem piękny i wysoki — powtarzał sobie — że będzie ze mnie piękna sztuka płótna. Jak to przyjemnie. Napewno jestem najszczęśliwszy w świecie! Tak mi dobrze. Nie jestem niczem i coś ze mnie będzie. Jak słońce ładnie świeci, jaki deszczyk słodki, ożywczy, ciepły! Szczęśliwy jestem, ogromnie szczęśliwy, — najszczęśliwszy na świecie!

Usłyszały jego słowa kołki w płocie i rozśmiały się głośno.

— Co ty, dzieciaku, wiesz o szczęściu i o świecie? — zawołały. — Co ty znasz? Co widziałeś? My — to co innego, stoimy, tu tak dawno, mamy doświadczenie. Zaśpiewamy ci piosenkę, która cię wiele nauczy.

I zaczęły żalonym chórem:

Stuk — puk, stuk — puk,

Błysnęło!

Stuk — puk, stuk — puk,

Zniknęło!

I niema nic —

I niema nic!

— Tak ze wszystkim na świecie, mój kochany.

— Nie, nie, nieprawda, wcale wam nie wierzę — odpowiedział len wesoło. — Dobrze i pięknie na tym Bożym świecie, co rano sionko wstaje, takie promienne i jasne, lub z chmury deszczyk spada ożywczy, przyjemny i czuję, jak mi daje nowe siły, życie. Czuję, że rosnę, kwitnę, żem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy!

Lecz dnia pewnego przyszli ludzie i wyrwali len z korzeniami; to było bolesne. Zatopiono go w wodzie, gnieciono, dręczono, jak męczennika. Straszne rzeczy!

— Ha trudno, — zawsze dobrze być nie może — myślał z westchnieniem. — Czasem cierpieć trzeba, żeby się czegoś dowiedzieć na świecie. Będę mądrzejszy.

Mogło mu jednak zbraknąć cierpliwości, gdyż było coraz gorzej: palono go na słońcu, bito, łamano, skrobano — nie wiedział nawet, jak nazwać te męki, które znosił bez końca. Co dzień co innego. Zatknięto go nakoniec na przęślicę, a wrzeczono furczęć zaczęło i okręcać wkoło siebie długą nitkę. Biedny len w tym

chaosie myśli zebrać nie mógł.

— Byłem dawniej szczęśliwy — mówił sobie, cierpiąc, — trzeba pamiętać o tem i pocieszać się w smutku choć wspomnieniem szczęścia. Nic wiecznie trwać nie może, powinienem być zadowolonym ze swego losu. Powinienem.

I powtarzał to sobie najusilniej jeszcze wtedy, kiedy go rozciągnięto na tkackim warsztacie. Stuk — puk, stuk — puk, i z drewnianej ramy wysuwała się długa, piękna sztuka płótna. Wszystek len na nią wyszedł.

— Ależ to cudowne! — zawołał w uniesieniu radości. — Tego się nie spodziewałem! Nie byłbym wierzył nawet. Co za szczęście! Co za szczęście! Tak, tak:

Stuk — puk, błysnęło!

— Miały słuszność kołki w płocie:

Stuk — puk, stuk — puk,

Błysnęło!

— Nieskończona ich piosnka, ale zaczyna się dobrze. Jak w bajce. Czary, czary! Stuk — puk i jestem oto sztuką płótna. Dawniej nie wiedziałem nawet, co to znaczy sztuka płótna. A warto było cierpieć. Teraz dopiero naprawdę jestem najszczęśliwszą na świecie istotą! No. i wart jestem więcej, niż tam niegdyś na polu. Cóż znaczy jakaś drobna, słabiuchna roślinka, choćby z niebieskim kwiatkiem? Któż wtedy dbał o mnie? Kto mię pielęgnował? Tylko chmury pocziwe poiły mię deszczem, tylko słońko pieściło mię światłem złocistym. A teraz co innego: jestem sztuką płótna i proszę spojrzeć jaką! Mocną, długą, cienką, a co za białość! Wszyscy mię też cenią, wszyscy mi usługują i troszczą się o mnie; dziewczęta rozściełają mnie co dzień na słońcu, co wieczór polewają czystą, świeżą wodą, a co się przytem nasłucham ich pochwał! Najstarsza gospodyni powiedziała, że w całej wiosce niema piękniejszego płótna. Czyż można być szczęśliwszym na tym świecie?

Niedługo jednak trwały chwile wypoczynku, wzięto płótno do domu, pokrajano nożyczkami, kłuto igłą, przewracano i gneciono — nie było to zbyt przyjemnem, ale — zrobiono z niego dwanaście pięknych, mocnych sztuk bielizny, której nie mogę nazwać. Cały tuzin.

— Patrzcież, państwo! Więc takie było moje przeznaczenie. Teraz dopiero wiem przecie, czem jestem i na co zostałem stworzony. Być na świecie użytecznym i potrzebnym — oto prawdziwa rozkosz, to największe szczęście. Jest nas dwanaście sztuk, lecz wszystkie razem stanowimy całość, jednym jesteśmy tuzinem, jedno mamy zadanie życia. I szczęście nasze jest wielkiem, największem!

Wiele lat upłynęło — płótno się podarło.

— Wszystko się skończyć musi — powiedziały sobie wszystkie sztuki bielizny, której nie mogę nazwać. — Cóż robić. Gdyby to było w naszej mocy, służyłybyśmy

chętnie jeszcze bardzo długo. Ale sił już nie mamy.

Nie miały sił. Podarto je też na kawałki, poszarpano. Były pewne, że nadeszła ostatnia godzina ich bytu na tym świecie, gdyż wrzucono je w kocioł, gotowano — one same nawet nie wiedziały, co wyrabiano z nimi, aż ocknęły się wreszcie jako piękny, czysty, cienki i biały papier,

— A to mi niespodzianka! Cudowna, boska niespodzianka! — wołał papier uradowany. Odrodziłem się znowu i jeszcze piękniejszy, cieńszy i bielszy. Teraz będą pisać na mnie i nowej nabiorę wartości. Co za szczęście, co za szczęście niewypowiedziane!

Naprawdę wielkie szczęście spotkało nasz papier, gdyż napisano na nim rzeczy mądre i dobre. Jedna niewielka plamka atramentu nie popsuka znaczenia prześlicznych powieści i wierszy, których ludzie słuchali z zajęciem, a słuchając, stawali się rozumniejszymi i lepszymi, niż przedtem. Bo w słowach, napisanych na naszym papierze, kryło się błogosławieństwo i szczęście.

— Czyż mogłem marzyć o podobnym losie tam, na zielonym polu, patrząc w niebo kwiatkiem maleńkim niebieskim? — myślał len wzruszony. — Czyż mogłem marzyć wtedy, że będę niósł ludziom radość i wiedzę? Sam dzisiaj jeszcze dobrze tego nie rozumiem, a jednak jest to prawdą, nie złudzeniem. Bóg dobry zna me siły i wie, że sam z siebie do czynów wielkich niezdolny, a przecież wie, że prowadzi mnie coraz wyżej, do większych godności i do wyższego szczęścia. Tyle już razy myślałem, że pora skończyć piosenkę, którą śpiewały mi znajome kotki w płocie:

Stuk — puk, stuk — puk,
Zniknęło!

— Lecz nie, — przygasa tylko, by jaśniej błysnąć, życie, które Bóg wlał we mnie. I staje się coraz lepszym i pożyteczniejszym, a ja — coraz bardziej szczęśliwym. Teraz zapewne wyślą mnie w drogę daleką, dokoła świata, aby wszyscy ludzie usłyszeć mogli słowa, które na mnie napisano. Nie może być inaczej. Te prześliczne myśli bardziej mnie zdobią dzisiaj, niż błękitne kwiatki niegdyś na polu. O, szczęśliwy jestem, najszczęśliwszy na świecie!

Nie wysłano jednak w daleką drogę cennego papieru, lecz oddano go do drukarni, gdzie wszystkie myśli, które były na nim napisane, przedrukowano w książki, w setki i tysiące książek, a te rozbiegły się zaraz po świecie, gdyż tym sposobem więcej mogły przynieść ludziom przyjemności i pożytku, niż jeden podróżujący bez końca rękopis.

— Tak rzeczywiście jest daleko lepiej i rozsądniej — pomyślał papier. — Ze mi to wcześniej do głowy nie przyszło! Zostanę sobie w domu i będą mnie tutaj szanowali, niby starego pradziadka tych wszystkich pięknych książek. W drodze mógłby spotkać mnie jaki wypadek i nie objechałbym ziemi dokoła. A przecież jestem czymś godnym szacunku i wielkiego poszanowania: na mnie spoczywały oczy tego, który pisał te mądre wyrazy; każdy wyraz spływał na mnie prosto z jego

myśli i serca. O, jestem szczęśliwy!

Tymczasem zwinięto papier w grubą rolkę i wrzucono do skrzyni, pełnej przeróżnych szpargałów.

— Po pracy należy mi się odpoczynek — pomyślał papier — bardzo mi tu dobrze. Mogę przynajmniej pomyśleć o sobie, zastanowić się nad tem, co zawieram. Teraz dopiero zacznam rozumieć i coraz lepiej pojmować to wszystko, co napisano na mnie. A znać samego siebie, — to pierwszy krok do mądrości. Ciekawym bardzo, co się jeszcze ze mną stanie? Naturalnie, że pójdę dalej i stanę się znowu czemś lepszym; wszystko postępuje naprzód i wszystko doskonali się na świecie, tego już mię nauczyło doświadczenie.

Znowu czas jakiś upłynął, nim otwarto starą skrzynię, wyjęto z niej wszystkie papiery i złożono na kominku, ażeby je spalić. Miały one niegdyś wielką wartość i dlatego ludzie nie chcieli sprzedać ich handlarzom do owijania masła albo cukru. Niech lepiej spłoną w ogniu.

Dzieci obstały kominek gromadką: chcą patrzeć, jak się papier palić będzie, — to tak wesoło, ładnie; — płomień wzbija się w górę, migoce, przygasa i bucha znowu; a potem iskierki złociste, jak błyskawice, jak węże, ślizgają się po zwęglonych, czarnych szkieletach papieru. Wysypały się nagle gdzieś ze środka, niby dzieci ze szkoły, biegną, gasną, nikną; — a teraz jeszcze jedna, — to pan nauczyciel, — ha, ha, ha, nauczyciel!

Dzieci klaszczą w ręce, śmieją się wesoło, skaczą dokoła kominka.

Rolka starego papieru od razu stanęła w ogniu. — Ach! — krzyknęła słabym głosem — i płomień ogarnął ją nagle, gwałtownie i buchnął w górę. — Ach! — jęknęła jeszcze po raz ostatni, lecz w tej samej chwili wstęgi ogniste strzeliły wysoko, tak wysoko, jak nigdy nie sięgały drobne, błękitne kwiatki, a płomień gorący zajaśniał i zaświecił takim blaskiem, jakim nie świeciło nigdy piękne, białe płótno. Na jedno mgnienie oka, wszystkie napisane na papierze literki stały się czerwone, jak gdyby przemawiały ognistemi słowy, — potem zagasty z trzaskiem.

— Wznoszę się ku słońcu! — zabrzmiały wśród płomieni jakby setki głosów, w jeden chór zespolonych i przez czarny komin iskry i płomień wzlatywały szybko, wyżej, wyżej, ku niebu.

Wzlatywały istotki lżejsze od płomienia, mniejsze od iskry, niewidzialne dla oka ludzi, a liczniejsze, niżli kwiatki błękitne na polu, które niegdyś uśmiechały się do słońca. Krążyły one chwilę nad ogniskiem, a gdzie leciuchnem ciałem dotknęły popiołu, tryskał snop iskier. Dzieci klaskały w dłonie i śpiewały, skacząc:

Stuk — puk, stuk — puk.

Błysnęło!

Stuk — puk. stuk — puk,

Zniknęło!

I niema nic!

I niema nic!

Lecz niewidzialne, leciuchne istotki, lżejsze od płomienia, a mniejsze od iskry, zaprzeczyły wesoło:

— Nieprawda, nieprawda! Piosnka źle się kończy. Nic nie gaśnie, nic nie ginie na tym świecie, i to cud najpiękniejszy! My o tem wiemy, myśmy to poznały i teraz dopiero jesteśmy szczęśliwe, najszcześniejsze!

— Wyżej, wyżej, ku niebu, kto wie, co nas czeka! Ale dzieci słów tych usłyszeć nie mogły, i nie byłyby zrozumiały ich znaczenia, choćby słyszały nawet.

MATKA.

Przy kolebce chorego dziecka siedziała matka bardzo niespokojna o swoje ukochane maleństwo. Ze smutkiem patrzyła na bladą twarzyczkę i zamknięte oczy dzieciny, z niepokojem śledziła jego ciężki oddech, to znów zwracała oczy łez pełne ku niebu.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Był to ubogi staruszek, otulony derką, jaką okrywają konie, gdyż na świecie mróz był potężny, a wiatr ostry siekł potwarzy jakby nożem.

Dziecię zasnęło właśnie, a że staruszek drżał z zimna, więc poczciwa kobieta prędko zagrzała piwa, aby ubogi miał się czem rozgrzać choć trochę. Usiadł on obok kołyski dziecięcia i patrzył na nie długo i uważnie, matka usiadła także z drugiej strony i gładziła chudą, maleńką rączynę.

— Prawda, że ono wyzdrowieje? — rzekła. — Jak ci się zdaje? Przecież Bóg jest dobry, więc mi go nie odbierze?

Staruszek skinął głową jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział. Po twarzy kobiety łzy spływały powoli, pochyliła głowę i zasnęła...

Przez trzy dni i trzy noce czuwała przy dziecku, a teraz zasnęła na jedną chwileczkę. Zbudziła się natychmiast przestraszona, drżąc z zimna.

— Co to jest? — zapytała, oglądając się na wszystkie strony. Staruszek zniknął i dziecka nie było w kołysce: zabrał je z sobą.

Stary zegar w kącie odezwał się głuchym mruzeniem, ciężka waga osunęła się do samej ziemi i — bum! upadła. Stary zegar stanął.

Biedna matka z krzykiem wybiegła z pokoju, wołając dziecka swego.

Ale nikogo nie było w ulicy, tylko śnieg biały, miękki.

Pod ścianą jednak siedziała kobieta w długiej, żałobnej sukni.

— Nie wołaj nadaremnie — rzekła cichym głosem. — Śmierć była w twoim domu, widziałam, jak wychodziła stamtąd z małym dzieckiem; zabrała je; biegnie ona prędzej od wiatru i burzy, a co raz weźmie, tego nie zwraca już nigdy.

— Powiedz mi tylko, którą drogą poszła — pyta nieszczęsna matka. — Powiedz tylko, w którą stronę, a ja ją znajdę!

— Wiem, w którą stronę poszła — odparła czarno ubrana kobieta — mogę ci wskazać jej drogę, ale musisz mi przedtem zaśpiewać wszystkie te śliczne piosenki, które śpiewałaś co dzień przy kolebce swego dziecięcia. Polubiłam je bardzo; jestem ciemną nocą i przychodziłam tu co wieczór słuchać śpiewu twojego; słuchałam do rana i patrzyłam na łzy twoje, gdy śpiewałaś.

— Zaśpiewam ci je wszystkie, wszystkie, co do jednej, lecz teraz nie zatrzymuj mię, o nocy ciemna! — Pozwól mi śpieszyć, pozwól biedz za dzieckiem.

Lecz noc siedziała cicha i milcząca.

Wtedy biedna matka załamała ręce i zaczęła śpiewać, płacząc. Płynęły śliczne pieśni, ale łez płynęło więcej! W końcu noc rzekła:

— Idźże teraz na prawo, aż do jodłowego lasu, tam zniknęła śmierć z twą dzieciną.

I kobieta pobiegła. Las był ciemny, ale ścieżkę widzieć było można, więc śpieszyła. W głębi lasu jednakże drogi się krzyżowały, rozchodziły w strony przeciwne i biedna nie wiedziała, którą obrać. Wtem spojrzała na krzak cierniowy, na którym zamiast liści i kwiatów, wisiały sople zmarzniętego szronu.

— Czy nie widziałeś, w którą stronę poszła śmierć z mojem dzieckiem? — zapytała matka.

— Widziałem — szepnął krzak — nie powiem ci jednakże, dopóki mię nie ogrzejesz na swej piersi. Przemarzłem aż do rdzenia, w lód się zmienię za chwilę.

Nie namyślając się, biedna kobieta przycisnęła do piersi nagi krzak cierniowy. Ze zranionego ciała krople krwi spływać zaczęły, krople krwi cieplej. Lecz z nagich gałązek wystrzeliły listeczki, potem pączki białe i krzak cierniowy zakwitł pośród zimy, tak gorącem było serce biednej matki.

Wtedy wskazał jej drogę, którą śmierć poszła z jej dzieckiem.

I biegła znowu, a biegła tak długo, aż niezmierne jezioro zagrodziło jej drogę. Nie było na niem łodzi ani statku. Cienka powłoka lodu mostu zastąpić nie mogła, ale nie pozwalała przepłynąć na stronę przeciwną. Co tu począć? Matka dostać się tam musi, bo tam jej dziecię!

Upadła na ziemię i zaczęła pić wodę. Wypić jezioro całe? Czyż człowiek podoła? Ale ona myślała, że cud stać się może?

— Nie, tego nie dokażesz — rzekło jej jezioro — zgódźmy się lepiej coś na to poradzić. Ja lubię bardzo perły, na dnie mam skarb cały, lecz twoje oczy piękniejsze od wszystkich; takich czystych i jasnych pereł nikt nie widział. Oddaj mi je. Za to cię zaniosę do ogrodu śmierci; znajdziesz tam wszelkie kwiaty i rośliny, a każda z nich — to życie człowieka.

— Czegóżbym nie oddała, aby ocalić dziecko — rzekła biedna kobieta. — Wyplaczę oczy moje, byłeś mi zaniósł do straszego ogrodu śmierci.

I płakała tak bardzo, że jasne jej oczy wypłynęły i wpadły do wodnej otchłani; a wówczas fale podniosły ją lekko i płynęła, bujając się na nich łagodnie aż do przeciwnego brzegu. Tu wznosił się gmach dziwny: niby zamek, niby ogród, pełen gór i przepaści.

Nieszczęśliwa matka jednak widzieć go nie mogła, gdyż zostawiła oczy na dnie głębokiego, zielonego jeziora.

— Gdzież mam teraz szukać śmierci, która zabrała mi dziecko? — zawołała głosem żalosnym.

— Nie powróciła jeszcze — odparła jej stara, siwa niewiasta, która czuwała tutaj nad kwitnącemi roślinami. — Ale skąd się tu wzięłaś, żyjąca istoto? Kto ci pokazał drogę, kto cię przywiódł?

— Bóg dobry mię tu przywiódł. On jest miłosierny i ulitował się nad sercem matki, i ty się ulitujesz. Powiedz mi, gdzie dziecko moje?

— Tego nie wiem — odpowiedziała staruszka — nie znam go przecież, atynie masz oczu, więc jakże je poznać możesz? Wiele drzew i kwiatów tej nocy powiędło i śmierć nadleci wkrótce, aby je z tego ogrodu usunąć. Zapewne między niemi jest i dziecko twoje. Wiesz przecie, że każdy człowiek ma swoje drzewo albo kwiatek drobny w ogrodzie śmierci; rośliny te z pozoru nie różnią się niczem od zwykłych roślin ziemskich, ale w każdej z nich bije serce. Może rozpoznasz bicie serca swego dziecka? Ale co mi dasz za to, jeżeli ci powiem, jak należy dalej postąpić?

— Nic nie mam — rzekła matka — ale gdybyś chciała, na koniec świata poszłabym dla ciebie.

— Co mi po tem, moja droga? — Nie mam tam interesu. Oddaj mi lepiej swoje czarne włosy. Ja ci dam za to moje siwe, więc tak wiele nie stracisz.

— Tylko to? Ach, najchętniej! — Iz radosnym pośpiechem oddała biedna matka swe czarne warkocze, a wzamian otrzymała siwe włosy starej kobiety.

Następnie weszły razem do ogrodu śmierci, gdzie rośło mnóstwo krzewów różnorodnych, drzew, kwiatów polnych, wodnych, ogrodowych, silnych, wspaniałych, zdrowych i bladych, wędnących. Tu delikatne i wonne hiacynty pod szklanemi kloszami, tam czerstwe piwonie; do łodyg lilii wodnych czepiały się raki, wysmukłe palmy wysoko wznosiły pyszne korony, dalej dęby, sosny i słabiuchne mietliczki, tymianek drobny; gwoździki i ciernie, grzyby, mchy i paprocie, mnogość i różnaitość nieprzebrana.

A najlichsza trawka miała imię swoje, każda była życiem człowieka, w każdej biło serce, dopóki żył człowiek, do którego należała. Były tu wielkie drzewa w maleńkich doniczkach, które rozsadzały siłą swych korzeni, i były wątłe kwiatki w ziemi tłustej, mchem otulone, dzwonami nakryte szklanemi. Jedne rosły na lodzie, inne na spiekłej ziemi, inne czepiały się po nagich skałach.

Matka szła pochylona, przykładając ucho do najmniejszej roślinki, nasłuchując długo, z trwogą ogromną; wreszcie wśród milionów, milionów serc — poznała uderzenia serca najdroższej swej dzieciny.

— To ono! — zawołała, osłaniając ręką drobny bławatek, który zwiesił główkę, poblady i znużony.

— Nie dotykaj kwiatka! — rzekła staruszka — stań tylko przy nim i czekaj, aż śmierć powróci ze świata. Nadbiegnie lada chwila, wtedy jej nie pozwól wyrwać roślinki z ziemi, ale zagroź, że powyrywasz wszystkie inne kwiaty. Tego się będzie bała, gdyż jest odpowiedzialną przed Panem Bogiem za ich życie i niewolno jej zniszczyć żadnego, dopóki nie otrzyma na to pozwolenia.

Wtem przebiegł mroźny powiew po ogrodzie i niewidoma zgadła, że to śmierć powraca.

— Skąd się tu wzięłaś? — spytała zdziwiona. — Jak mogłaś znaleźć drogę i przybyć tak prędko, prędzej ode mnie?

— Jestem matką — odpowiedziała nieszczęśliwa. Śmierć wyciągnęła do

blawatka długą, kościstą rękę, lecz matka osłoniła go obu dłońmi, starając się nie dotknąć żadnego Usteczka. Wtedy śmierć dmuchnęła chłodem na jej ręce i opadły bezwładne, jak dwie skorupki lodowe.

— Mnie nie zwyciężysz — rzekła.

— Bóg cię zwyciężyć może.

— Pełnię tylko Jego woję. Jestem Bożym ogrodnikiem i pielęgnuję tutaj Jego kwiaty, dopóki każe; a potem przesadam je stąd do piękniejszego, rajskiego ogrodu, w dalekim, nieznanym kraju. Nie mogę ci powiedzieć jednak, co się tam z nimi dzieje.

— Oddaj mi dziecko moje! — zawołała matka. Oddaj mi je natychmiast! — I z jękiem upadła i płakała głośno, boleśnie.

Nagle podniosła się i pochwyciła dwa piękne kwiaty, które rosły blisko.

— Oddaj mi dziecko moje! — powtórzyła — bo wyrwę i poniszczę — te rośliny! Zniszczę wszystkie kwiaty twoje, jeżeli mię doprowadzisz do rozpacz!

— Nie dotykaj ich — zawołała śmierć poważnie. — Tak nieszczęśliwą jesteś i tak cierpisz, a chcesz inne matki podobnie nieszczęśliwymi zrobić!

— Inne matki! — szepnęła z przestachem kobieta i odsunęła się zaraz od kwiatów.

— Masz tutaj swoje oczy — mówiła śmierć dalej — wyjęłam je z jeziora, nie wiedząc, że należą do ciebie. Weź je. Piękniejsze są teraz, niż były; weź je i spojrzysz w tę studnię głęboką. Tam zobaczysz, coś chciała uczynić, wbrew woli Bożej.

W głębokiej studni widać było obraz życia ludzkiego, — jeden jasny i szczęśliwy, błogostawiony przez Boga i ludzi, pełen radości cichej; — drugi pełen nędzy, boleści, udręczenia.

— Którego z kwiatów jest ten jasny obraz? — pytała matka — Którego ten straszny?

— Tego ci powiedzieć nie mogę — wiedz jednak, że jeden z nich jest przyszłością twego dziecka.

Wtedy nieszczęsna matka załamała rękę.

— Który? — pytała. — O, powiedz mi, który! Ocal niewinne dziecię! Ja nie chcę, aby ono w życiu tak cierpiało! Zanieś je lepiej do raj, do Boga! Zapomnij o łzach moich, ocal moje dziecię! Śmierć popatrzała na nią.

— Więc czegoś chcesz? — szepnęła. — Czy mam ci oddać dziecię, czy zanieść je do kraju nieznanego, dalekiego?

Wtedy upadła matka na kolana i modliła się płacząc, ze wzniesionymi ku niebu rękami:

— Nie słuchaj mię, o Boże! Ja nie wiem, co dobre, ja nie wiem, czego pragnę! Niech się stanie wola Twoja! Niech się stanie na wieki wola Twoja!

I uleciała śmierć z duszą dziecięcia w kraj daleki, nieznanym...

BAK I PIŁKA.

Bak i piłka leżały w drewnianym pudełku z innymi zabawkami. Bak rzekł do piłki:

— Czy nie chciałabyś się ze mną "ożenić, " ponieważ i tak mieszkamy razem w tym pudełku?

Ale piłka, która była oszyta safianem, nie raczyła mu nawet odpowiedzieć.

Nazajutrz chłopczyk, właściciel zabawek, obejrzał zepsutego trochę baka, usiadł na ziemi, wyjął pudełko z farbami, pomalował go żółto i czerwono, umocował lepiej sztyfcik mosiężny pośrodku i bak błyszczał jak złoto, kiedy go nakręcił i puścił na podłodze.

— Spójrz na mnie! — rzekł bak do piłki. — Czy widzisz, jak wspaniale wyglądam? Cóż ty na to? Możebyśmy się dziś ożenili, albo choć zaręczyli? Pomyśl, czy można dobrać lepszą parę: ty skaczesz, a ja tańczę! Jesteśmy dla siebie stworzeni i szczęśliwszych małżonków nie znajdziesz na całym świecie!

— Tak myślisz? — odpowiedziała dumnie piłka. —

A czy wiesz, do kogo mówisz? Zrobiono mię z safianowych pantofli pana radcy. Takich miałam rodziców! A wewnątrz mam korek hiszpański!

— A mój krążek jest mahoniowy — odparł bak — i sam burmistrz mię wytoczył na swojej amatorskiej tokarni. Nie dotknęła mię ręka rzemieślnika, pochodzę z najlepszego domu w całym mieście.

— Czy ci tylko można wierzyć? — zauważyła piłka wahająco.

— Bodajby mi pękł sznurek! Bodajbym się więcej nie ruszył z tego miejsca, jeżeli kłamię!

— Pięknie umiesz się bronić — rzekła piłka — ale nie mogę. Doprawdy, nie mogę! Jestem prawie zaręczona z jaskółką. Ile razy podlecę w ogrodzie w powietrze, zawsze wysuwa małą główkę z gniazdka i pyta: "Czy się zgadzasz?" Zgodziłam się w głębi hiszpańskiego korka i uważam to za dane słowo. Więc widzisz, że nie mogę. Ale ci przyrzekam, zawsze pamiętać o tobie.

— To mi wiele pomoże! — mruknął bak urażony i odtąd nie rozmawiali z sobą więcej.

Pewnego dnia chłopczyk wziął piłkę z pudełka. Bak widział, jak wysoko wleciała w powietrze, jak ptak prawdziwy; w końcu zniknęła mu z oczu gdzieś w górze. Potem spadła na dół, ale ile razy dotknęła ziemi, wlatywała znowu, niewiadomo, czy z tęsknoty do jaskółki, czy dlatego, że miała hiszpański korek wewnątrz.

Dziewiąty raz jednakże podrzucona, piłka wleciała niezmiernie wysoko i nie wróciła więcej. Chłopczyk szukał jej długo, nareszcie zaprzestał.

— Wiem ja dobrze, gdzie ona! — szepnął bak z westchnieniem. — Dostała się napewno do gniazda jaskółki, pobrali się i są szczęśliwi!

Im więcej myślał o tem, tem więcej żałował, że stracił piłkę, którą kochał coraz bardziej. Kochał właśnie dlatego, że jej dostać nie mógł. Pogardziła nim, taka lekka, taka piękna, z safianowych pantofli pana radcy!

Zdrów był jednak z tą miłością i kręcił się szybko, ile razy puszczone go na mocnym sznurku; tylko piłka w marzeniach wydawała mu się coraz piękniejszą.

Kilka lat upłynęło mu w takiej tęsknocie — zestarzał się. Wtedy pozłocono mu krążek i był znowu lak piękny, że sobie trudno wyobrazić. Tańczył wybornie, brzęczał głośno i wesoło — wszyscy go podziwiali.

Lecz raz sznurek się zerwał, bąk podskoczył w górę — i zniknął.

Szukano go dokoła, zaglądano nawet do piwnicy — nadaremnie.

Gdzież się schował?

Nikt nie zgadł, że wpadł do śmietnika, gdzie leżał między głąbami kapusty i starym gruzem, który wyrzucono z rynny.

— No, pięknie się ubrałem! — mruknął z niezadowoleniem. — Leżeć pomiędzy podobną hołotą! Za parę dni będę wygląda!, jak ona; obedną ze mnie złoto — straszne rzeczy!

To mówiąc, spojrzął zezem na głąb kapuściany z szeroką szczerbą w boku i na jakiś dziwny, kulisty przedmiot, przypominający zwiędłe, przegniłe jabłko. Ale nie było to jabłko, tylko stara piłka, która przez długi czas leżała w rynnie, skurczyła się i zgniła od wilgoci.

— Dzięki Bogu, że przecież jest tu ktoś, z kim można porozmawiać przyzwoicie — rzekła piłka, przyjaźnie patrząc na złocony krążek. Jestem właściwie zrobiona z safianu, piękne rączki mię szły, — wewnątrz mam hiszpański korek, choć to dziś trudno poznać. Byłam niegdyś prawie zaręczona z jaskółką, ale wpadłam do rynny i przez pięć lat cierpiałam tam okropne męki. Pięć lat dla młodej piłki to bardzo długi przeciąg czasu!

Bąk nic nie odpowiadał, leżał teraz cichuteńko i myślał o swojej miłości. Tak, nie mógł wątpić, to ona, ta sama, jego ukochana piłka! Ale któżby ją poznał dzisiaj?

Wtem służąca ze śmieciami przyszła do śmietnika i spostrzegła złocony krążek.

— Bąk, bąk się znalazł! — zawołała głośno i wyjęła go z pośród niewłaściwego otoczenia.

Na piłkę nie zwróciła najmniejszej uwagi, a co gorsza, bąk wierny przestał odtąd myśleć o niej i nie wspominał nigdy o swojej miłości. Trudno być stałym, jeśli ukochana przeleży pięć lat w rynnie i cierpi tam okropne męki. A do spotkania w śmietniku lepiej się zawsze nie przyznawać.

HISTORIA ROKU.

Był styczeń. Od rana srożyła się straszna zadymka, śnieg pędził przez ulice całymi chmurami, sywał z dachów, uderzał w szyby, bił przechodniów po twarzy, tworzył zasy, to znowu wirował w powietrzu, wichrem kręcony. Ludzie biegli skuleni, śpiesząc niesłychanie, mrużąc oczy, wpadając na siebie co chwila i ostrożnie rozchodząc się w strony przeciwne, aby nie upaść od zdradzieckich, silnych porywów wiatru. Powozy i konie wyglądały, jakby cukrem posypane, lokaje odwracali się bokiem do wiatru, stangreci wyteżali siły i uwagę, aby kogo nie przejechać, choć konie posuwały się bardzo powoli, tonąc w głębokich zaspach.

Prawdziwa burza śnieżna.

Uspokoila się wreszcie pod wieczór, odmieciono ścieżki pod ścianami domów, ale tak wąskie, że jeśli na której spotkało się dwóch ludzi, to stali dość długo naprzeciw siebie, gdyż żaden z nich nie miał odwagi wstąpić w śnieg głęboki.

Wieczór był już pogodny, ani cienia wiatru, niebo czyste, jakby kto wymiół obłoki, usypane gwiazdami, które świeciły tak jasno, jak gdyby je wyczyszczono świeżo podczas burzy. Mróz ścinał śnieg, który skrzypiał pod nogami. Nad ranem był tak twardy i ścięty lodową skorupą, że wróble bezpiecznie mogły skakać po nim, szukając pożywienia, którego nie było.

Marzły też biedne ptaki.

— Pi, pi! — odezwał się jeden żałośnie — to mi piękny Rok Nowy! Stary był daleko lepszy i mógł sobie zostać jeszcze. Ten mi się wcale nie podoba i mam prawo chyba na niego narzekać.

— Tak, tak — potwierdził drugi — ludzie narobili tyle hałasu, witając go aż wystrzałami! Nie wiedzieli sami, co robić z radości, że sobie stary poszedł. Ja cieszyłem się także razem z nimi. bo myślałem, że zaraz nastąpią dni ciepłe, — a tymczasem nic z tego! Zimniej jeszcze, niż było. Ludzie widocznie pomylili się w rachunku.

— Naturalnie — pisnął trzeci, stary, mądry wróbel, nieco siwy na czubku. — Ludzie myślą się bardzo często. Zrobili sobie coś takiego, co nazywają kalendarzem i zdaje im się, że cały świat będzie stosował się do ich wynalazku. A świat ma swoje prawa. Kiedy nadejdzie Wiosna, wtedy się zacznie Rok Nowy; tego nikt nie odmieni i ja też tak czas liczę.

— Ale kiedyż ta Wiosna przyjdzie? — dopytywały inne.

— Przyjdzie ona, kiedy bociany powrócą; napewno czasu określić nie można, a szczególnie tu w mieście, — tu o tem nikt nic nie wie, — na wsi lepiej się znają na tych rzeczach. Może lepiej tam się udać i poczekać na nią? Zawsze ona tam bliżej.

— Bardzo to pięknie — pisnął inny wróbel, który skakał dokoła, ćwierkając coś sobie, ale dotąd nie odzywał się wyraźnie. — Bardzo to piękny pomysł — powtórzył — i może dowiecie się tam czegoś pocieszającego, ale ja nie polecę. Mam tutaj w mieście wiele dogodności, którychbym nie znalazł na wsi. Niedaleko naprzykład

mieszkają tu ludzie, którzy sobie wymyślili bardzo rozsądną zabawkę: zawiesili na murze kilka doniczek od kwiatów w ten sposób, że wielki otwór przylega do ściany, a tylko mały w denku zwrócony jest na świat. Przez ten mały otworek można się dostać do środka i mieć bezpieczne schronienie przed śniegiem. Gdzież na wsi znajdę podobne mieszkanie? Tutaj bardzo nam dobrze i wygodnie z dziećmi, a chociaż wiem, że ludzie nie zrobili tego dla nas, tylko dla własnej przyjemności, pochwalić ich za to muszę. Sypią nam też czasem okruszyny chleba, gdyż przyjemnie im patrzeć, jak kręcimy się i zajadamy. To wszystko są ważne rzeczy i nie można ich porzucać lekkomyślnie, to też pewną jestem, że mój mąż zostanie w mieście, więc naturalnie i my zostaniemy.

— A my lecimy na wieś, dowiedzieć się czegoś o Wiośnie — zaszczebiotało chórem kilka młodych wróbli i odleciały zaraz.

Na wsi mróz był większy, a wiatr ostry i przenikliwy pędził białe tumany przez pola śnieżyste. Drogą na wozie jechał kmieć w kozuchu i baraniej czapce, bijąc się po ramionach, aby rozgrzać ręce w grubych, ciepłych rękawicach; bał spokojnie leżał obok; chude konie biegły w kłębach ciepłej pary. Śnieg skrzypiał pod kołami, a wróble skakały za wozem, zziębnięte i zmęczone.

— Pi, pi! kiedyż tam przyjdzie znowu Wiosna? Pi, pi! tak długo już na nią czekamy!

— Długo, długo! — powtórzył jakiś głos przeciągle, który zdawał się płynąć z poblizkiego wzgórze, podobnego do góry śnieżnej.

Może to było echo, a może głos starca, siedzącego na wzgórzu mimo wichru i zamieci; w białej odzieży, cały śniegiem osypany, zdawał się białym królem, który z tronu wysokiego patrzy na państwo swoje. Białe włosy spadały mu aż na ramiona, biała broda pierś zaściłaniała i tylko jasne oczy świeciły jak gwiazdy lodowe.

— Co to za starzec? — świergotały wróble.

— Ja wiem! Ja wiem! — zakrakał stary kruk na płocie, ptak niezmiernie rozumny, który też nie gardził i najdrobniejszym ptaszkiem, bo wiedział, że wszystkie równe są w oczach Boga. — Ja go znam — odpowiedział też wróblom — to Zima. To staruszek Rok przeszedł, który nie umarł wcale, chociaż tak napisano w kalendarzu, ale jako opiekun młodej Wiosny, oczekuje tu na nią. Hu! co za mróz. Zimno wam, dzieciaki?

— O zimno! Ale wszyscy świadczcie teraz, że miałem słusność, mówiąc, iż kalendarz, to wymysł ludzi, którzy chcą rządzić Naturą, a naprawdę sami o niczym nie wiedzą. My się z nią lepiej znamy, my, jej dzieci.

Upłynął tydzień, drugi, trzy tygodnie. Żadnej zmiany. Staw wielki, zamarznięty, patrzył w niebo martwą źrenicą; w powietrzu unosiły się mgły wilgotne, zimne; ciemne chmury wron, bez krakania, milczące, przeciągały ponad białą ziemią. Wszystko spać się zdawało.

Wtem błysnął promień słońca, przeniknął po jeziorze, które zajaśniało, niby żywe srebro; białość pól pociemniała, wierzchołki pagórków wysunęły się ciekawie z pod śniegu. Lecz biała postać starca pozostała wyczekująca na najwyższym

wzgórzu, z oczyma zwróconymi w stronę południową. I patrząc tam, nie widział, jak kobierzec Zimy zniknął nieznacznie, cieniał, tonął w ziemi, aż tu i owdzie ukazały się miejsca zielone, na których zaroilo się zaraz od wróbli.

— Kiwit! kiwit! — Czy to Wiosna już przybywa?

— Wiosna! — powtórzyło długie, długie echo, a wiatr niósł je daleko, przez łąki i pola, przez lasy ciemne, pełne mchów zielonych, które garbiły się na starych drzewach.

Nagle z południa, w jasnych blaskach słońca ukazały się dwa pierwsze bociany; niosły na skrzydłach dwoje ślicznych dzieci: chłopczyka i dziewczynkę. Stały na łące, a dzieci zeskoczyły z nich leciuchno i tuląc się do matki-ziemi, ucałowały ją na powitanie.

Potem szły dalej, wzięwszy się za ręce, a gdzie stąpiły ich nóżki maleńkie, kwiat wyrastał z pod śniegu. Pełne uśmiechów, biegły wesoło do wzgórza, gdzie siedział biały starzec, i radośnie rzuciły się ku niemu.

Ale w tej samej chwili gęsta mgła wilgotna zakryła wszystko; nic widać nie było. — Wtem zahuczał gwałtownie wiatr potężny, uderzył czołem w ciężki płaszcz mgły szarej, rozerwał go, poszarpał. Zajaśniało słońce ciepłe i jasne; z wysokiego wzgórza zniknął starzec, Rok Stary, dwoje ślicznych dzieci zajęło jego miejsce.

— To mi Rok Nowy! — zaśpiewały wróble. — To prawdziwy Rok Nowy! Ten nam zapłaci za wszystkie przykrości, jakie wycierpiałyśmy pod rządami Zimy! To Rok Nowy!

Wszystko dokoła stroiło się i zieleniło; gdzie zwróciły się oczy ślicznych dzieci, tryskały pączki zielone z gałązek, podnosiła się trawka zielona ku górze, zieleniały pola uprawne. Dziewczynka rozśmiała się i drobniutką rączką rzuciła pierwszą garść kwiatów na ziemię; miała ich tyle na lekkiej sukience! Sypała hojnie pełnymi rączkami, a wciąż ich miała mnóstwo nieprzebrane; podniosła się nakoniec i obłoki kwiatów rzuciła precz, daleko, na grusze, jabłonie i drzewa owocowe, które stanęły białe, jak pod śniegiem, nawet ich listków zielonych widać nie było.

Dzieci klaskały w ręce. Całe stada ptasząt unosiły się ponad ich główkami, a wszystkie szczebiotały: Wiosna! Wiosna! Wiosna! Ślicznie było na świecie. Z chat powychodziły siwe staruszki, zgarbione, pomarszczone i prostowały się na ciepłym słońcu i wygrzewały się w jego promieniach i z rozkoszą patrzyły na pola i łąki, na żółte kwiatki, rozsiane tak hojnie, jak za dni ich młodości. Wszystko jak było dawniej, piękne, świeże, nowe; — błogostawiona Wiosna!

Las ciemny jeszcze, pączki tylko na gałęziach, ale duch życia i tu już przeniknął, pachnie w powietrzu. Niebieskie fijołki wysuwają kępami swoje wonne główki z zielonego ukrycia, a dalej primulki, konwalia biała, zawilec gajowy, sasanki, każde źdźbło trawy pełne sił i soków.

Para dzieci na wzgórzu rośnie także szybko, śmiejąc się i śpiewając; płyną daleko wesołe ich głosy.

Ciepły, łagodny deszczyk spadł na ziemię, ożywia na niej wszystko; każda kropelka to błogostawieństwo; wiele ich pada i na głowy dzieci, ale nie czują tego,

bo łzy deszczu na ich twarzy mieszają się ze łzami szczęścia. Dzieci złączyły usta pocałunkiem i las zazielenił się w tej samej chwili.

Dzieci wstały z pagórka, wypoczęły i wyrosły, jakie duże! To już para narzeczonych. Ujęli się za ręce i jak do ślubu idą, strojni w kwiaty, wśród kwiatów. Las rozwiesił nad nimi zielone sklepienie, na cichej ścieżce tylko promienie słoneczne i plamy cienia igrają z wietrzykiem. Jaki rozkoszny zapach młodych liści, jakie powietrze czyste i orzeźwiające! Pośród sitowia szemrze po kamieniach strumyk przejrzysty; jak wąż błyszczący łuską, tak on odbija słoneczne promienie, gdy się wychyli z gąszcza i przemyka szybko po jaśniejszej polanie.

Wszystko żyje, drga życiem, wszystko się rozwija, rośnie, rozlewa wonie, jak uśmiechy szczęścia, i czuje w sobie nieśmiertelność.

Skowronek dzwoni wysoko nad polem, kukułka woła głośno, zlewają się w cudowną harmonię radosne głosy wilgi, czyżyka, kosa, pliszki malej. Wiosna, Wiosna! Wierzba tylko nie zdjęta z pączków rękawiczek z ciepłej, białej bawełny; bardzo jest przezorna, ale to nudne!

Upłynęły dni, tygodnie...

Coraz cieplej; gorące prądy płyną przez łąki i pola, żółkną zboża. Na cichych jeziorach rozpostarły się szerokie liście wodnych lilii, pod którymi szukają cienia drobne rybki podczas skwarne południa. I cisza. Tylko brzęczenie owadów, wytrwale pracujących koło kwiatów; tylko blask, upał.

Na skraju lasu, skąd widok rozległy na chaty wiejskie, kąpiące się w słońcu, na sady i ogrody, girlandy róż świeżych jak rumieniec dziewczęcia, na owocowe drzewa i wiśnie czerwone, soczyste, ciężkie wśród zielonych liści, — na skraju lasu siedziała niewiasta. Piękna jest, młoda; znamy ją — to ona przybyła tak niedawno jako dziecię małe, — sypała kwiaty. Teraz wzrok jej śmiały zdaje się mierzyć czarne, ciężkie chmury, które się wznoszą z trzech stron coraz wyżej, wyżej, jak skały, jak góry olbrzymie. Niby wezbrane, czarne, skamieniałe morze schylają się nad lasem i ku niemu płyną.

W lesie umilkło wszystko jak przez czary; wietrzyk nawet swawolny poruszyć się nie śmie, siedzi gdzieś przyczajony; żaden listek nie drgnie, ucichły świegotliwe ptaki. Cisza, cisza. W całej naturze cisza i oczekiwanie, pełne skupionej, milczącej powagi.

A ludzie śpieszą. Na drogach, na ścieżkach pełno jezdnych i pieszych, każdy pod dach dąży, szuka schronienia.

Rozjaśniło się nagle, jakby słońce pękło i błysnął płomień straszliwy, niszczący, oślepiający wszystko — i znowu ciemność, tylko grom potężny ozwał się groźnie, głucho!

Woda strumieniem spływa z niebiosów na ziemię, światło i ciemność, cisza i grom znowu! Kwitnąca trzcina chwieje się na ciemnym błocie, jak rozbujane morze, las tonie w ulewie, mgle, smugach deszczu; światło i ciemność co chwila; cisza i gromy, niby skał łamanie.

Trawy i zboża przylgnęły do ziemi, jakby przybite, iakby się już nigdy podnieść

nie miały po straszliwej klęsce.

Lecz oto strugi wody zmieniają się w krople, błysnęło słońce, niebo uśmiecha się znowu, na każdym listku perły i dyamenty, ptaki śpiewają, rybki wyglądają z wody, mkną w różne strony z podwójną szybkością, brzęczą komary nad wilgotną łąką.

Nad brzegiem morza, na wielkim kamieniu usiadło Lato, silny, dorodny mężczyzna, o mokrych włosach po świeżej kąpeli. Woda spływa z niego, lecz słońce go grzeje; czuje się odmłodzony, pełen siły. I cały świat dokoła czuje się młodym i silnym, bogatym, pięknym, pełnym darów Bożych.

Piękne, gorące Lato!

Słodki zapach płynie z pola koniczyny, miodowy zapach; roje pszczoł brzęczących uwijają się nad nim, gromadzą zbiory. Koląca jeżyna kamień ofiarny oplótła zielenią, kamień obmyty deszczem i słońcem oblany. Tu pszczoł królowa śpieszy ze swym rojem złożyć ofiarę z wosku i miodu słodkiego. Lato przyjmuje ją wdzięcznie wraz z żoną, oni lepiej od ludzi pojmują Naturę i więcej widzą.

Błysnęły złote gwiazdy na wieczornem niebie, zajaśniał promieniami złoty krzyż na szczycie wieży kościelnej; jasny księżyc świeci między wieczorną zorzą a jutrzenką: to Lato!

Upłynęły dni znowu, upłynęły tygodnie.

Jasne sierpy żniwiarzy błysnęły na polach, w sadach gałęzie drzew gną się ku ziemi pod ciężarem owocu, chmiel rozwiesza bogato swe kiście pachnące, pod liśćmi leszczyny kryją się gniazda orzechów.

Tu zasiadł mąż i żona, już nie dzieci i nie młodzieńcy, silni, piękni, dojrzały ludzie. Patrzą na świat dokoła, rozmawiają.

— Jakież bogactwo wszędzie! — szepnęła kobieta. — Błogosławieństwo Boże! Dostatnio, miło, dobrze, a jednak — a jednak — ja sama nie wiem, czemu tęsknię do — spoczynku, do spokoju — do ciszy. Nie umiem określić dobrze tego dziwnego pragnienia!... Patrz, tam orzą znowu! Ludziom nigdy nie dosyć, zawsze pożądają więcej! — Patrz, bociany idą z daleka za pługiem, ptaki egipskie, które nas przyniosły tu jako dzieci! Czy pamiętasz tę chwilę? Nasze przybycie tutaj? Przynieśliśmy blask słońca, zieloność i kwiaty; i wszystko było lakie strojne, świeże. Dziś pociemniało, wiatr rozmiata liście, zczerniały lasy, utraciły barwy, nie zdołają ich w tym kraju złociste owoce!

— Chcesz złota i purpury? — zapytało Lato i wyciągnęło ramię ku polom i lasom. A w tejże chwili bogactwo barw nowych okryło wszystkie drzewa; krzaki róż zajaśniały głogiem purpurowym, winnice się okryły złotem i szkarłatem, z drzew kasztanowych spadał deszcz ciemnych owoców, w lasach zakwitły powtórnie fijołki.

Ale Królowa Roku była blada i milcząca.

— Zimno! — szepnęła. — Wiatr chłodny. — Nocami pada mgła wilgotna! Zimno mi, tęskno — do naszej ojczyzny!..

I smutnemi oczyma żegnała bociany, lecące na południe, żegnała każdego i smutnie ku nim wyciągała rękę.

Odleciały. Na drzewach, dachach domów gniazda puste; w jednym wyrasta wysoki kłos żyta, w innym rzepak kwitnący. Wróble krążą ponad niemi.

— Pi, pi! A gdzież to państwo gospodarze? Niewygodnie im tutaj? Wiatr za chłodny? Więc kraj ten opuścili? Szczęśliwej podróży!

Las zmienia barwy: żółknie i ciemnieje, liść spada suchym deszczem, wiatr jesienny świszcze, porywa resztę.

Późna jesień. Królowa Roku spoczywa znużona na posianiu z mchu i siana, smutnie patrzy w gwiazdy. Mąż stoi przy niej. Wiatr ostry przemknął pomiędzy drzewami i zabrał chmurę liści; na gałązce obnażonej usiadł motyl, może ostatni motyl tego roku.

Upłynęły dni i tygodnie.

Mgła wilgotna i chłodna owijała ziemię mokrą chustą, wiatr niósł lodowe igły, noce stały się długie, ponure. Pan, władca roku, sam stanął wśród pola; biały włos mu opada na ramiona, ale on nie wie o tem, myśli, że to płatki śniegu, które z chmur spadają i cienką warstwą okryły już pola.

Dzwon z kościołka ogłosił wieczór wigilijny.

— Oto dzwon Narodzenia — szepnął do siebie Król Roku. — Za chwilę mój następcza przyjdzie na świat, a ja będę mógł odejść, tak jak żona moja. Na spoczynek ku jasnym gwiazdom!

Pod zieloną sosną, na której śnieg leżał, w głębi lasu stał anioł z białymi skrzydłami i zwiastował młodemu drzewkom wesołą nowinę.

— Radość ludziom i ptakom i drzewom zielonym i wszelkiej żyjącej na ziemi istocie! — wyrzekł starzec na wzgórzu, skąd panował wzrokiem nad całą okolicą. — Dla mnie wybiła godzina spoczynku — nowy Król i Królowa otrzymują berło, władzę nad światem.

— Władza przy tobie jeszcze — odpowiedział Anioł — ona, a nie spoczynek jeszcze twym udziałem! Czuwaj, aby śnieg, leżąc na ziemi, ogrzewał młode zasiewy. Spełniaj obowiązek już nie jako władca, ale jako podwładny! Ucz się żyć nie dla siebie, o sobie zapomnij! Godzina wyzwolenia dla ciebie wybije, kiedy się Wiosna zjawi.

— Kiedyż ona przyjdzie? — zapytała Zima.

— Gdy bociany powrócą.

Na wysokim pagórku siedzi starzec pochylony, w białej odzieży; długie białe włosy spadają mu na plecy, biała broda piersi osłania. Ciężar przeżytych dni spoczął na barkach jego i przygniótł je mocno, lecz władza jego potężna jak wichur, co burzę niesie śnieżną, jak lodu okowy.

Siedzi na wzgórzu przygarbiony, cichy i patrzy na południe, jak jego poprzednik. Śnieg skrzypi, a lód trzeszczy pod nogami, łyżwy rysują błyszczącą powierzchnię zamarzonego jeziora. Kruki i wrony tworzą plamy czarne na białym śniegu — i cisza. Zima ścisnęła pięść i lód grubieje, łączy mocno ląd z lądem.

Wtem z miasta przyleciało stado wróbli i zobaczywszy starca, zapytały:

— Kto to?

A kruk na płocie, ten sam albo inny, lecz zupełnie podobny, odpowiedział znowu:

— To Zima, to Rok stary, nie umarł on wcale, chociaż tak napisano w kalendarzu, lecz oczekuje tu na młoda Wiosnę, której jest opiekunem.

— A kiedyż ona przyjdzie? — dopytywały wróble. — I my czekamy na nią, bo z nią zaczną się lepsze czasy, lepsze panowanie. Stary już do niczego.

Starzec w zadumie patrzył na las poczerniały, ogołocoony z liści, na gałęzie nagie, ale kształtne i silne, pnące się ku górze, i głowa zwolna na pierś mu opadła. A nad lasem zawisła mgła zimna, lodowa i powoli spuszczała się ku ziemi.

Tymczasem stary władca śnił o dniach młodości, o dniach poczucia siły i dniach szczęścia; a nazajutrz o świcie las stał jak marzenie, biały i czysty, strojny brylantami szronu, uroczy niby zaklęte królestwo.

To sen zimowy.

Słońce Otrząśnie biały szron z gałęzi.

— A kiedy przyjdzie Wiosna? — świegotały wróble.

— Wiosna! — powtórzyło echo od pagórka. — Wiosna! — rozległo się w lasach bezlistnych. — Wiosna! — mknęło przez pola daleko, bez końca.

Słońce błysnęło cieplej, śnieg pociemniał, ścieniał, ptaki zaświergotały: — Wiosna! Wiosna! Wiosna!

Wysoko od południa leci pierwszy bocian, drugi tuż za nim; na szerokich skrzydłach niosą dwoje dzieci. Zatrzymały się na szerokiej łące, — dzieci witają ziemię pocałunkiem, a potem śpieszą do białego starca. Mgła zasłoniła wszystko, czy wraz z nią wiatr uniósł i sędziwego władcę, który siedział na pagórku? Śladu po nim nie pozostało.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — szczebiotały wróble. — Wszystko to bardzo pięknie, lecz zupełnie nie podług kalendarza, który wszystko przekręca.

MOTYLEK.

Motyl chciał wybrać sobie piękną żonę, więc naturalnie, zwrócił się do kwiatów.

W ogrodzie było ich pełno. Spojrzał ciekawym wzrokiem i zauważył zaraz, iż każdy stoi na swojej łądyżce skromnie i prosto, jak młoda panienka. Wszystkie zresztą były ładne i podobały mu się, więc wybór trudny. Co tu robić?

Nie lubił się zastanawiać i rozważać długo, to takie nudne rzeczy! Uciekał zawsze od wszystkiego, co było podobnem do pracy, i teraz postanowił się wyręczyć.

Udał się do "Margaritki" która — jak wiadomo — jest dobrą wróżką, złożył pocałunek na każdym płatkku jej białej korony, bo z natury był czuły i serdeczny, — potem przemówił:

— Najdroższa, najmądrzejsza pani Margaritko, — wiem, że nikt nie dorówna ci w mądrości, że umiesz przepowiadać przyszłość. Bądź więc tak dobrą i powiedz mi, który kwiatek mam wziąć za żonę? Nie chciałbym się oświadczać nadaremnie, ty wiesz, który mię kocha, więc za twoją radą pójdę bez namysłu.

Ale Margaritka nic mu nie odpowiedziała. Była obrażona, że ją nazwał "panią, " kiedy też należała do młodych pań; przecież to powinien zauważyć! Przytem tylko starsze panie całuje się w płatki korony, na znak uszanowania, ale z pańkami tak postępować jest nieprzyzwoicie.

Więc nie odpowiedziała.

Motyl zapytał raz drugi i trzeci, — napróżno. Bardzo go to zadziwiło, ale że bał się nudów i kazania, więc odleciał, nie przepraszając. I sam da sobie radę.

Był to piękny dzień wiosny. Bieluchne konwalie i śliczne dzwonki tylko co się rozwinęły. Motyl przypatrywał im się z każdej strony.

— Bardzo ładne, śliczne! — mówił do siebie — jasne i niewinne, ale — podlotki, pensyonarki, — wolałbym coś poważniejszego.

Lilie zwabiły go czystym kielichem, ale były za duże i trochę za sztywne; fljotki niepozorne i sentymentalne; kwiat lipy pospolity i bezbarwny, a przytem krewni, krewni! Zbyt liczna rodzina nie należy do rzeczy pożądaných. Kwiat jabłoni jest piękny, przypomina różę, ale bardzo nietrwały; dziś jest, — jutro niema, lada wietrzyk go zdmuchnie, — któż się żeni na dzień jeden?

Groszek to co innego, bardzo miłe kwiatki! Takie młode gosposie, a jednakże pełne wdzięku; — powab i cnota razem, nic lepszego nie znajdzie! — Postanowił się oświadczyć.

Wtem, tuż około wybranego kwiatka, na zielonym strączku spostrzegł jakieś płatki pokurczone, żółte.

— Co to jest? — zapytał.

— To moja siostra starsza — odpowiedział kwiatek.

— Aha! — zawołał motyl i uciekł co prędzej, gdyż nie chciał, aby jego przyszła

żona podobną była do zwiędłego groszku. Poprosto się przestraszył.

Na płocie piął się powój, ale piękne kwiaty tylko przez kilka godzin w dniu stały otwarte, a potem się skręcały, jak sznureczki. Zresztą dokoła pełno różnych kwiatów, lecz wybór trudny: każdemu można coś zarzucić.

Ułynęła wiosna, kończyło się lato, motyl nie wybrał sobie dotąd żony.

Jesień w nowe barwy przybrała ogrody, otworzyła nowe pączki, kwiaty okazałe, nie lękające się wiatru i chłodu. Lecz nie miały zapachu.

A motyl teraz właśnie przekładał nad wszystko przyjemny zapach; on mu przypominał wiosnę. Astry i georginie były piękne, ale nie miały w sobie uroku młodości, ani rozkosznej woni.

Wtedy postanowił zwrócić się do mięty, która rośla nisko przy ziemi.

Nie miała ona kwiatów, ale sama kwiatem była pachnącym od końca łodyżki do każdego listka. Jakiż kwiat najpiękniejszy równać się z nią może?

— Tę wybiorę — postanowił motyl nieodmiennie.. Zbliżył się i oświadczył jej swoje zamiary.

Ale mięta stała sztywna, niewzruszona, długo milczała, wkońcu rzekła:

— Chcesz przyjaźni, to dobrze. Ale na tem koniec.

Jestem stara i ty także, po co mamy z siebie robić pośmiewisko? W naszym wieku przyjaźń wystarczyć powinna.

I tak został motyl na koszu i nie znalazł żony. Sam sobie winien, po co wybierał tak długo.

Nadeszły zimna, deszcze, ani sposób pokazać się na świecie w letniej sukni. Na szczęście motyl dostał się przypadkiem do ciepłego pokoju, gdzie było jak w lecie. "Tutaj żyć można!"

Rozprostował skrzydła i podleciał w górę, prosto do okna. Życie przecież niepodobna w kącie, trzeba mieć trochę światła i swobody, a przytem choć mały kwiatek.

Ale dzieci pochwyciły go natychmiast, obejrzały na wszystkie strony z podziwem i uznaniem, a następnie przekłuły śpilką i umieściły w pudełku, między innymi okazami.

— No, teraz siedzę jak kwiat na łodyżce — rzekł do siebie — nie jest to bardzo przyjemnie, ale mi przypomina stan małżeński. Kto się ożeni, musi także osiąść na jednym miejscu.

I tem się pocieszył.

— Nieszczególna pociecha — zauważyły złośliwie rośliny doniczkowe.

Motyl jednak nie zważał na nie, za wiele przebywały z ludźmi i to im przewróciło w głowie.

DZIECIĘ ELFÓW.

Pewna dobra kobieta bardzo pragnęła mieć maleńkie dziecko, ale nie wiedziała, skądby je wziąć? Poszła więc do czarownicy i rzekła:

— Takbym chciała mieć malutkie dziecko, powiedz mi, co tu zrobić, ażebym je miała.

— O! to nietrudno — odpowiedziała czarownica — mogę ci doskonale poradzić. Masz tu ziarno jęczmienia, — ale to nie jest takie zwyczajne ziarno, które sieją w polu, albo sypią kurom na pokarm; zasadź je starannie w doniczce od kwiatów, a zobaczysz, co z tego będzie.

— Dziękuję — rzekła poczciwa kobieta i zapłaciła jędzy dziesięć groszy, bo tyle to ziarenko kosztowało.

Po powrocie do domu, zasadziła je starannie w doniczce od kwiatów i zaraz pokazała się mała roślinka, okryta się pięknymi listkami, a w środku wyrósł kwiat jakiś złoto-purpurowy, podobny do tulipana, tylko zamknięty jak pączek.

— Cóż za prześliczny kwiat! — rzekła kobieta i tak była zachwycona, że całowała złote i czerwone płatki. W tej samej chwili jednak kwiat z wielkim łoskotem otworzył się i w środku na zielonem dnie kielicha, gdzie zwykle mieści się słupek kwiatowy, stała sobie prześliczna, maleńka dziewczynka.

Nazwali ją Odrobinką, gdyż była maluchna, jak młoda pszczołka, tylko daleko zgrabniejsza.

Kobieta wzięła zaraz łupinkę orzecha, ażeby w niej urządzić kolebkę dla swego dzieciątka; fijołkowe płatki posłużyły na sienniczek, a jeden płatek róży na kołderkę.

W nocy Odrobinka spała wybornie, a w dzień się bawiła na stole. Dobra kobieta postawiła na nim talerz z wodą, otoczony wiankiem kwiatów, których łodyżki były zanurzone w wodzie; listek tulipanu zastępował łódkę, dwa pręciki kwiatowe stanowiły wiosła i Odrobinka pływała sobie po talerzu od jednego brzegu do drugiego. Ślicznie to wyglądało!

Umiała także śpiewać i tak ładnie, że nie można tego opisać.

Jednego razu w nocy, kiedy Odrobinka spała sobie spokojnie w kołysce na stole, przez wybitą szybę wskoczyła do pokoju ropucha. Szkaradne to było stworzenie: ciężkie, grube, mokre — i bardzo ciekawe. Zaraz zauważyła Odrobinkę, śpiącą pod różanym płatkiem.

— Hm, hm, — mruknęła — bardzo ładna żona dla mojego synka.

I razem z kołyską zabrała dziecinę, wyskoczyła do ogrodu i zaniosiła ją do swego mieszkania.

Znajdowało się ono w czarnem, gęstem błocie nad strumieniem. Syn ropuchy brzydszym był jeszcze od matki, chociaż bardzo do niej podobny. — Koak, koak, brekekex! — tyle tylko umiał powiedzieć, gdy ujrzał Odrobinkę.

— Nie mów tak głośno — szepnęła mu matka — obudzisz ją i może nam uciec, bo jest lekka jak puszek łabędzi. Trzeba ją przenieść na liść wodnej lilii, aż na środek strumyka, tam będzie jak na wyspie. A tymczasem przygotuję dla was mieszkanie w głębi błota.

Po powierzchni strumienia pływały zielone, okrągłe liście wodnych lilii, ropucha wybrała największy, który zarazem leżał najdalej od brzegu, i na nim umieściła łupinę orzecha ze śpiącą Odrobinką.

Kiedy dziewczynka zbudziła się rano i zobaczyła, gdzie jest, zaczęła płakać. Wkoło była woda głęboka, ani sposób dostać się z listka do brzegu.

A ropucha tymczasem urządzała w głębi błota mieszkanie dla młodej pary. Przyzdobiła ciemną i szkaradną jamkę trzcina i wodnemi roślinami, ażeby się synowej podobała, potem popłynęła wraz z synem do listka, aby przenieść kolebkę panny młodej.

Ujrawszy Odrobinkę, ukłoniła jej się w wodzie bardzo głęboko i rzekła chrapliwym głosem:

— Oto mój syn, mościa panno; zamierza ożenić się z tobą i właśnie urządzamy wam wspaniałe mieszkanie w głębi błota.

— Koak, koak, brekke-ke-kex — powiedział syn ropuchy.

Zabrali piękną kołyseczkę i odpłynęli znowu, a Odrobinka usiadła na liściu i płakała okropnie, bo nie chciała mieszkać u brzydkiej ropuchy i być żoną jej syna.

Małe rybki, co pływały w wodzie koło listka, słyszały całą przemowę ropuchy, a teraz im przykro było słuchać płaczu dziecka. Więc wychyliły główki nad powierzchnię wody, aby zobaczyć młodą narzeczoną; ale na widok prześlicznej dziewczynki, tak im się jej żal zrobiło, że postanowiły ją obronić.

— Nie bój się — powiedziały — nie dostanie cię brzydka ropucha.

Zebrały się wszystkie razem dokoła łodyżki, na której się trzymał listek i przegryzły go ostrymi ząbkami. Listek popłynął z prądem strumyka daleko i ropucha już go dogonić nie mogła.

Odrobinka cieszyła się bardzo z tej podróży, wszystko bawiło ją niezmiernie: mijała wsie i miasta, łąki, pola, lasy, a ptaki na gałązkach przyglądały jej się i śpiewały wesoło:

— Patrzcie, patrzcie tylko, jaka prześliczna dziewczynka! A jaka malusieńka!

Odrobinka uśmiechała się do nich nawzajem, ale listek płynął dalej, aż do innego kraju.

Prześliczny biały motyl usiadł na listku lilii, aby się lepiej przyjrzeć maleńkiej dziewczynce. Słońce świeciło ślicznie, woda błyszcząca jak srebro, wszystko jej się podobało. Zdjęła swój pasek i przywiązała nim motyla do Usteczka. Teraz popłynęła! jeszcze prędzej.

Wtem — och, jak się przelękała! Chrabąszcz ogromny porwał ją z listka i uniósł het, wysoko, na drzewo!

Najbardziej jej żal było pięknego motyla, którego przywiązała do Usteczka: jeśli

się nie urwie, umrze chyba z głodu.

Ale niedobry chrabąszcz nie troszczył się o to. Posadził ją wysoko na wygodnym liściu, przyniósł jej miodu z kwiatów i powiedział, że jest bardzo, bardzo ładna, chociaż niepodobna wcale do chrabąszcza.

Wkrótce zaczęły schodzić się inne chrabąszcze, mieszkające w pobliżu, aby zobaczyć Odrobinkę. Gospodarz sadzał gości na najpiękniejszych liściach.

— Ach, jakaż ona biedna, ma tylko dwie nogi! — zawołała jedna młoda chrabąszczówna.

— A rożków wcale niema — dorzuciła druga.

— A jaka cienka w pasie! — Fe, podobna do człowieka!

— Szkaradna! — zdecydowały wszystkie razem. Naprawdę Odrobinka była bardzo ładna i taką sięwydała chrabąszczowi, który porwał ją z listka lillii, ale gdy wszyscy zaczęli ją ganić, uwierzył też, że jest brzydka i już chciał jej się pozbyć. Zaniósł ją więc na łąkę i posadził na polnym kwiatku, żeby tylko nie mieć jej w domu i żeby sąsiedzi nie śmieli się z jego gustu.

Odrobinka płakała bardzo, że jest taką brzydką, iż chrabąszcz nawet nie chce patrzeć na nią, ale cóż miała robić? Przecież naprawdę była bardzo ładną.

Całe lato przeżyła maleńka dziewczynka sama jedna w wielkim lesie; z trawy uplotła sobie wygodne łóżeczko i zawiesiła je pod listkiem koniczyny, dla ochrony od deszczu. Żywiła się sokiem kwiatów, a piła rosę, która stała kropelkami co rano na trawie, liściach i kwiatkach.

Tak upłynęło jej lato i jesień, ale nadeszła zima, długa, mroźna zima. Wesołe ptaszki odleciały sobie do ciepłych krajów, kwiaty powiędły, drzewa stały nagie, ogołoczone z liści, nawet listek koniczyny, pod którym uczepiła swe łóżeczko, zwiędł, skurczył się i opadł. Zimno jej też było strasznie, bo sukienki zupełnie się na niej podarły, a sama była taka maleńka i drobna. Zmarznie chyba.

Wkrótce i śnieg zaczął padać, a każdy płatek śniegu znaczył dla niej tyle, co dla nas pełna taczka, bo przecież była tylko Odrobinką. Otuliła się w suchy listek, ale ten pękł zaraz i znowu drżała z zimna.

Tuż koło lasu rozciągało się pole rozległe, niegdyś zbożem okryte; teraz zboże zżęto od dawna i z pod śniegu wyglądały tylko nagie, suche źdźbła twardej słomy. Dla takiego maleństwa stanowiły one las prawdziwy; dziewczynka przesuwiała się pomiędzy niemi, drząc z zimna, potykając się o grudki ziemi, lub zapadając w śnieg, niewiele grubszy od kożuszka na śmietance.

Nakoniec doszła do mieszkania bogatej myszy polnej, która miała tu pod ziemią swoją norkę. Ciepło tam było i bardzo wygodnie: izba obszerna, kuchnia i spiżarnia, pełna zboża.

Odrobinka stanęła we drzwiach jak żebraczek i cieniutkim głosikiem poprosiła o ziarno żyta lub jęczmienia, gdyż od dwóch dni nic nie jadła.

— Biedne stworzenie — rzekła myszka litościwie — chodźże do ciepłej izby, zjemy razem podwieczorek.

Maleńka dziewczynka podobała jej się bardzo, to też powiedziała do niej przed wieczorem:

— Możesz zostać u mnie przez zimę, tylko musisz mi za to utrzymywać porządek i czystość w mieszkaniu, a w chwilach wolnych opowiadać ciekawe historie, które niezmiernie lubię.

Odrobinka naturalnie zgodziła się z największą chęcią i tym sposobem miała zapewniony dobry byt przez całą zimę.

— Będziemy mieli dzisiaj odwiedziny — rzekła mysz dnia pewnego — co tydzień odwiedza mię bogaty sąsiad. Ho, ho, to pan! Mieszkanie ma większe ode mnie, — co za salony! A chodzi w aksamitnym futrze. Gdyby się z tobą ożenił, zrobiłabyś los, moja droga. Tylko że ślepy jest, nic nie widzi. Musisz mu opowiedzieć najpiękniejszą ze swoich bajek.

Odrobinka nie troszczyła się jednakże o to, czy się podoba sąsiadowi, który był zwyczajnym kretem.

Zjawił się wkrótce w swoim aksamitnym futrze, a mysz polna przyjęła go bardzo uprzejmie. Był niezmiernie bogaty i bardzo uczony; mieszkanie miał ogromne, dwadzieścia razy większe od norki polnej myszy i mógł mówić o wszystkim. Nie lubił tylko słońca i kwiatów, których nie widział nigdy; złe też miał o nich zdanie.

Odrobinka śpiewała piosnkę o chrabąszczu, a potem o chłopczyku, co grał na fujarce, i kret się w niej zakochał. Nie mógł zapomnieć jej głosu i myślał, jakby to było przyjemnie mieć żonę, któraby mu tak śpiewała. Ale nic o tem wszystkim nie powiedział, gdyż był bardzo przezorny.

Niedawno zbudował sobie właśnie nowy korytarz od swojego domu do mieszkania myszy i pozwolił obu damom spacerować po nim do woli. Ostrzegał tylko, żeby się nie przestraszyły martwego ptaka, który tam leży na środku. Musiał niedawno umrzeć, bo jest jeszcze cały, z dziobem, z piórkami, — i pochowano go w tem samym miejscu, gdzie kret przekopał swój korytarz.

Zaraz nawet zapragnął pokazać to wszystko gościnnej gospodyni i miłej śpiewaczce, wziął więc w pyszczek kawałek spróchniałego drzewa i szedł naprzód, oświecając im posępną drogę. Kiedy doszli do miejsca, gdzie leżał ptak martwy, podniósł nos w górę i odrzucił ziemię; przez otwór, który powstał tym sposobem, wpadł blady promyk słońca i oświetlił leżącą na ziemi jaskółkę. Biedactwo przytuliło do boków skrzydełka, nóżki skurczyło i schowało w piórka, główkę przechyliło gdzieś na bok, że nawet widać jej prawie nie było, i leżało sztywne, bez życia. Widocznie mróz ją zabił.

Odrobince okropnie żal się zrobiło ptaszyny; wszystkie ptaszki lubiła bardzo za to, że w lecie tak ślicznie śpiewają. Ale kret był innego zdania.

— Teraz już śpiewać nie będzie — rzekł, trącając ją nogą pogardliwie — nędza to straszna urodzić się ptakiem. Dzięki Bogu, z moich dzieci żadne nim nie będzie. Cóż posiada takie stworzenie oprócz swego "kiwit! kiwit!" bez wartości? Przyjdzie zima i z głodu umiera.

— Bardzo rozsądne słowa — potwierdziła mysz poważnie. — I cóż ptakowi z tego śpiewu i świergotu, kiedy nadejdzie zima? Marznie i głód cierpi. To nic wesołego.

Odrobinka nie wyrzekła ani słowa, ale kiedy się tamci odwrócili, pochyliła się nad jaskółką, odgarnęła piórka i ucałowała ją w zamknięte oczy.

— Może to ona w lecie tak ślicznie śpiewała nad moim listkiem koniczyny? — pomyślała sobie w duszy. — I tyle jej zawdzięczam przyjemności! Biedna, biedna ptaszyna!

Kret tymczasem zatknął znowu otwór ziemią i odprowadził damy do mieszkania.

Ale w nocy Odrobinka wcale nie mogła zasnąć: ciągle myślała o nieżywym ptaszku, jakby czuł jeszcze zimno. Podniosła się na koniec, uplotła cichutko ciepły dywanik z siana, wymknęła się na korytarz i okryła nim jaskółkę. Przyniosła jeszcze potem suchych kwiatków, które znalazła w norce, i podesała je z boków ptaszкови aby mu cieplej było i wygodniej.

— Zegnam cię, piękny ptaszku! — rzekła ze łzami w oczach. — Dziękuję ci za wszystkie prześliczne piosenki, których słuchałam w lecie, kiedy drzewa były zielone, a kochane słońko tak jasno i ciepło świeciło. Och, zegnam cię!

I z płaczem przytuliła główkę do martwego ciała zmarzniętej jaskółki, — lecz w tej samej chwili podniosła się przestraszona: ptaszek żył jeszcze! Uczuła leciuchne bicie jego serca. Skostniał widać i zdrętwiał od chłodu, a teraz pod wpływem ciepła przychodził do siebie.

Gdy w jesieni jaskółki odlatują do ciepłych krajów, zdarza się, iż niektóre słabsze lub zbyt młode, nie mogą lecieć z niemi, sił nie mają. Zostają więc, ale padają od chłodu zeszywniałe na ziemię, śnieg je okrywa potem i umierają.

Odrobinka drżała ze wzruszenia i strachu. Co ona pocznie teraz z-takim wielkim ptakiem! Jak mu poradzi? A ratować go trzeba!

Nabrała jednak niedługo odwagi.

— Co tylko mogę, zrobię dla niej — rzekła — podzielę się tem wszystkim, co dostałam od litościwej myszy. Ach, żebym tylko mogła ją ocalić!

Pobiegła znów do norki i przyniosła cały pęk suchych kwiatków, miękkich niby wata, otuliła ptaszynę, jak mogła najlepiej i przykryła ją liściem miętowym, który jej samej dotąd służył za kołderkę.

Następnej nocy wymknęła się znowu. Jaskółka już ożyła, ale była jeszcze bardzo osłabiona; z trudem otworzyła na chwilę powieki i spojrzała na Odrobinę, która stała z kawałkiem spróchniałego drzewa, bo nie miała innej latarki.

— Dziękuję ci, śliczne dziecię — rzekła słabym głosem. — Tak się tutaj ogrzałam! Wkrótce powrócą mi siły i wylecę znowu na jasne, ciepłe słońko.

— Och! — szepnęła Odrobinka — niema teraz stonka jasnego! Zimno na świecie, śnieg okropny pada, nikt tam wyżyć nie może. Zostań więc lepiej w tem ciepłym łóżeczku, a ja pielęgnować cię będę, ile mi tylko sił stanie.

Przyniosła jaskółce wody na suchym listeczku, ptaszek się napił i opowiedział jej, jak to się stało, że z innymi do ciepłych krajów nie odleciał. Skrzydełko miał zranione o cierni ostrej, więc latać dobrze nie mógł. Potem przyszło zimno, nie mógł znaleźć pożywienia i upadł zmęczony na ziemię. A co się dalej stało nie pamiętał, — nie wiedział, jakim sposobem dostał się pod ziemię.

Przez całą zimę dziewczynka troskliwie opiekowała się biedną jaskółką, lecz musiała ukrywać swój dobry uczynek przed kretem i myszą polną, którzy nie lubili ptaszka.

Kiedy wróciła wiosna i ciepłe słońce zaświeciło znowu, jaskółka pożegnała Odrobinkę, która otworzyła jej otwór w sklepieniu, starannie zatkany przez kreta. Natychmiast jasne i ciepłe promienie wśliznęły się do środka i rozweseliły posępne podziemie.

— Leć ze mną — rzekła serdecznie jaskółka. — Usiądź na mnie, a zaniosę cię daleko, do zielonego gaju. Tam żyć będziemy razem i będzie nam przyjemnie i wesoło.

— Nie mogę — odpowiedziała Odrobinka — byłoby bardzo smutno myszy polnej, gdybym ją tak porzuciła.

— Więc bądź zdrowa, kochana, dobra Odrobinko! — zaszczębiotała wesoło jaskółka i przez słoneczny otwór wleciała ku górze i zniknęła w ciepłym blasku.

Dziewczynka została sama i długo patrzyła za nią ze łzami w oczach. Tak polubiła ptaszka!

— Kiwit, kiwit! — rozległo się znów nad otworem ale cień tylko przemknął i zniknął natychmiast.

Smutno teraz było maleńkiej. Mysz jej nie pozwalała oddalać się z norki, a dokoła rośło zboże takie, gęste i tak wysokie, że dla Odrobinki stanowiło las prawdziwy, w którym nie widać jasnego słończka. Tęskniła więc do światła i do słońca.

— Winszuję ci, moja droga — rzekła dnia pewnego stara mysz z zadowoleniem — kret oświadczył się o twoją rękę i będziesz panią, co się zowie. Wielkie to szczęście dla takiej ubogiej dziewczyny! Trzeba tylko niezwłocznie zająć się wyprawą, bo do takiego domu musisz wejść zaopatrzona w bieliznę i wszelkie ubranie.

I zasiadła Odrobinka do wrzeciona, a mysz najęła jeszcze cztery duże pająki, ażeby przędły dla niej dniem i nocą. Poczciwie się zajęła losem ubogiej sieroty.

Kret odwiedzał je każdego wieczora i codziennie narzekał na palące słońce. Ono to zamieniało ziemię w pył i kamień, a ludzie byli temu radzi i nazywali latem tę nieznośną porę roku. Ale lato przeminie, przyjdzie jesień chłodna i wtedy dopiero wyprawiają wesele. Teraz o tem myśleć niewarto.

Dziewczynka okropnie się bała tej jesieni, bo nie miała ochoty zostać żoną kreta. Taki nudny, niezgrabny, ślepy; nie lubi słońca, kwiatów!

Co dzień o wschodzie i zachodzie słońca stawiała przed norką myszy i z tęsknotą patrzyła w górę, gdzie szumiały kłosa, jak las gęstego zboża. A ile razy

wietrzyk je rozdzielił tak, że mogła zobaczyć kawałek błękitu, ogarniał ją żal niezmierny i myślała o szczęśliwej i wesołej jaskółce. Jak ona buja swobodnie, daleko!

Żeby ją znów zobaczyć choć na chwilę! Ale zapewne nigdy jej więcej nie spotka...

Jesień nadeszła wreszcie i wyprawa była gotowa.

— Za cztery tygodnie wesele — powiedziała mysz polna z radością.

Wtedy Odrobinka rozplakała się na dobre i przyznała się myszy, że nie chce być żoną takiego nudnego kreta.

Mysz rozgniewała się strasznie.

— A to co za głupota! — zawołała. — Słyszał kto coś podobnego! Radzę ci po dobremu, wybij sobie z głowy taki śmieszny upór, bo cię sama ukąszę białymi ząbkami. Także grymasy! Taki bogacz, uczony, o wszystkim mówić może! A futro aksamitne? Sama królowa nie ma podobnego. Kuchnia, piwnica pełne. Dziękuj Bogu za takie szczęście!

Nastąpił dzień wesela. Kret przyszedł po narzeczoną, aby ją zabrać do siebie. Odtąd będzie mieszkała głęboko pod ziemią i nie zobaczy nigdy więcej słońca, bo kret go znieść nie może. Biedna dziewczyna pochyliła główkę i wyszła raz ostatni pożegnać świat Boży.

— Żegnaj mi, słonko złote! — zawołała i wyciągnęła rączki. — Żegnaj słonko miłe!

Z jednej strony światło dziwnie przeglądało przez las żółtych słomek, więc poszła w tę stronę kilka kroków i ujrzała, że zboże tu już zżęto i krótkie źdźbła tylko wyglądały z ziemi. Ale słońce przyświecało za to bez przeszkody i widać było wszystko dookoła.

— Żegnaj mi, żegnaj, słonko! — powtarzała. Objęła mały, czerwony kwiatusek i szeptała ze łzami:

— Pozdrów ode mnie jaskółkę, może zobaczysz ją kiedy. Pożegnaj ją ode mnie.

— Kiwit! kiwit! — rozległo się tuż nad jej główką. Podniosła oczy: jaskółka krążyła tuż nad nią.

Ucieszyła się bardzo, spostrzegłszy dziewczynkę i natychmiast usiadła przy niej. A Odrobinka zaczęła jej mówić, że ma zostać żoną szkaradnego kreta i mieszkać odtąd głęboko pod ziemią, gdzie słońce nigdy, nigdy nie dochodzi.

Przy tych słowach rozplakała się serdecznie.

— Nie płacz — rzekła jaskółka. — Zima już nadchodzi i wybieram się w podróż do cieplejszych krajów; leć ze mną. Usiądziesz mi na grzbiecie pomiędzy skrzydłami i uciekniemy obie od brzydkiego kreta i jego ciemnego mieszkania. Uciekniemy daleko, za góry, za morza, gdzie słońce jaśniej, cieplej jeszcze świeci, gdzie kwitną cudne kwiaty. Leć ze mną. Tyś mi ocaliła życie, gdy leżałam zziębnięta w ciemnym lochu, jabym cię chciała ocalić od kreta.

— Dobrze, polecę z tobą — rzekła Odrobinka. Jaskółka przytuliła się do ziemi,

dziewczynka weszła na nią i przywiązała się paskiem do najmocniejszych piórek. Potem ptaszek wleciał w powietrze i płynął ponad lasami, morzami, wznosił się ponad góry, wiecznym okryte śniegiem. Tam było zimno, lecz dziewczynka skryła się pod skrzydło ptaszka i tylko małą główkę wysunęła, aby widzieć te cuda, jakich pełno na świecie Bożym.

Doleciały nakoniec do cieplejszych, krajów. Tutaj słońce świeciło jaśniej i goręcej, niebo było wyższe i dziwnie błękitne, a po rowach i płotach rosły najpiękniejsze, zielone i granatowe winogrona. W lasach było pełno cytryn i pomarańcz, w powietrzu zapach kwiatów; prześliczne dzieci biegały po drodze, goniąc się z motylami.

Ale jaskółka leciała wciąż dalej, gdzie jeszcze piękniej było, jeszcze cieplej.

Zatrzymała się wreszcie nad dużym, błękitnym jeziorem, otoczonym drzewami zielonemi, wśród których widać było biały pałac marmurowy. Wino oplatało wysokie kolumny wkoło pałacu, a w górze pod dachem kryły się gniazda jaskółek.

— Oto mój dom — rzekł ptaszek. — Ale nie wypada, abyśmy mieszkały razem. Zresztą niema potrzeby. Gniazdko nie urządzone odpowiednio, byłoby ci w niem ciasno, niewygodnie i za wysoko. Wybierz sobie lepiej który z tych wspaniałych kwiatów, co tu rosną na klombach, a od razu tam cię zaniosę i będzie ci dobrze, jak w raj.

Odrobinka klasnęła w dłonie.

— Ach, to będzie prześlicznie!

I wybrała wielki kwiat biały, rosnący między odłamami skruszonej przez czas kolumny. Jaskółka podfrunęła i posadziła dziewczynkę na błyszczącym, zielonym listku. Odrobinka natychmiast chciała wejść do kwiatka, aby wypocząć po długiej podróży, lecz jakże się przestraszyła i zdziwiła, kiedy ujrzała wewnątrz małego człowieka, podobnego do siebie, tylko w złocistej koronie i zprzejrzystymi skrzydłami u ramion. Ciało jego było także przezroczyste, jak gdyby z najpiękniejszego kryształu, oczy jak dwie iskierki, a strój tak wspaniały, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie widziała.

Był to duch tego kwiatu, elf maleńki. Każdy kwiatek w tym kraju miał takiego ducha, który w nim mieszkał; w jednych chłopcy, w innych dziewczynki; ale ten był królem elfów.

— Ach, jaki on prześliczny! — szepnęła Odrobinka do jaskółki.

Maleńki król przestraszył się wielkiego ptaka, lecz gdy ujrzął śliczną dziewczynkę, tak się ucieszył, że zapomniał zupełnie o strachu. Zdjął natychmiast z głowy swą złotą koronę, podał ją Odrobince i zapytał, czy chce być jego żoną, królową wszystkich kwiatów?

To przecież co innego niż szkaradny syn ropuchy, lub kret w aksamitnym futrze?

— Ach, czy ja jestem warta? — szepnęła zawstydzona Odrobinka.

— Jesteś warta, bo jesteś dobrą, śliczną dziecią, inaczej nie pokochałby cię ten ptaszek wielki i nie przyniósł aż tu na skrzydłach. Kto umiał zdobyć przyjaźń

jaskółki, ten godzień zostać królową elfów.

Cóż to było za szczęście!

Ze wszystkich kwiatów wyfruwały lekkie, przejrzyste duchy, pojedynczo lub parami i śpieszyły złożyć królowej życzenia i cudne dary. Najbardziej ucieszyła ją jednakże para przezroczystych skrzydeł wielkiej muchy; zaraz je przywiązano do ramion dziewczeczki i mogła, jak inne elfy, przelatywać z kwiatka na kwiatek. Cieszyła się tem niezmiernie.

A jaskółka usiadła na swoim gniazdeczku i śpiewała jej pieśń weselną. Śpiewała jak najpiękniej, lecz smutno jej było, że się musi rozstać z Odrobinką.

— Nie będziesz się nazywała odtąd Odrobinką — przemówił mąż do królowej — nie podoba mi się to imię. Będziesz nazywała się Mają.

Przez całe lato jaskółka cieszyła się wielkiem szczęściem młodej pary, i śpiewała jej cudne piosnki, lecz przyszedł na nią czas odlotu.

— Bądź szczęśliwa! Bądź zdrowa! — powtarzała smutnie, wybierając się w podróż daleką.

I przyleciała z powrotem do Danii, do swego gniazdka nad oknem człowieka, który wam opowiedział tę bajeczkę.

— Kiwit! kiwit! — zawołała.

I stąd znamy całą historię.

POLNY KWIATEK.

Posłuchajcie bajeczki!

Niedaleko od gościńca, za zieloną łączką, stał drewniany dworek wiejski pośród dużego ogrodu, otoczonego zielonemi sztachetami. Dworek wyglądał bardzo ładnie wśród zieleni, na ogrodowych grządkach kwitły najpiękniejsze kwiaty, a na łączce, nad rowem, między najbujniejszą, ciemno-zieloną trawą zakwitł polny kwiatek — o złocistym środku i śnieżno-białych płatkach gwiazdzistej korony. Ciepłe, ożywcze słońce zlewało nań promienie równie szczodre, jak na kwiaty ogrodowe, więc skromna roślina nie czuła się bynajmniej pokrzywdzoną; nie myślała też o tem, że jej nikt nie widzi w trawie nad rowem, że jest nędznym kwiatkiem, pogardzonym od ludzi — nie, — polny kwiatek był zadowolony ze swego losu, odwracał ku słońcu złocistą główkę, patrzył w nie z miłością, z wielką rozkoszą pił światło i ciepło i słuchał śpiewu skowronka, wysoko unoszącego się pod obłokami.

Szczęśliwym był kwiatek polny, — tak jasno, uroczyście i pięknie dokoła, chyba to święto wielkie, — myślał sobie. A tymczasem był to zwykły poniedziałek i wiejskie dzieci uczyły się w szkółce, głośno powtarzając za nauczycielem wyrazy i całe zdania. I polny kwiatek uczył się prawd wielkich o Bogu i Jego dobroci od słońca, od błękitu powietrza, od trawy zielonej, od wszystkiego, co otaczało go dokoła. I wdzięczny był małemu skowronkowi, że to wszystko tak pięknie wyśpiewał tam w górze, co on czuł tylko niejasno, w milczeniu. Spojrzył na ptaszka z nieśmiałym podziwem i ogromną miłością: on tam buja wysoko, swobodny, rozgłośny, umie wyrazić, co czuje! W sercu polnego kwiatka nie było zazdrości, tylko wielka cześć dla skowronka.

— Bóg jest dobrym dla wszystkich — myślał sobie — pozwala mi widzieć te cuda i słyszeć pieśni niebiańskiego ptaka, — słońce ogrzewa mię i poi światłem, wiatr pieści i całuje. Jakież to hojne dary!

W ogródku za sztachetami było wiele kwiatów pięknych, wspaniałych i dumnych, a te pyszniły się najbardziej, które najmniej miały zapachu. Piwonie nadymały się, jak mogły, i stroszyły jaskrawe płatki swoich koron, aby się wydać większemi niż róże. Nie od wielkości jednak zależy wartość rośliny. Różnobarwne tulipany stały wysokie, sztywne i wyprostowane, połyskując wyniośle złotem i purpurą. Rozumie się, iż w stronę łąki żaden z nich nie raczył spojrzeć, a polnym kwiatkiem pogardały z duszy, ale on patrzył na nie z podziwem, z zachwytem.

— Jakież one piękne! — myślał sobie znowu. — To dla nich pewno śpiewa tam w górze skowronek; ach, pewno dla nich zniża się teraz ku ziemi, chce zobaczyć je z bliska. Jak to dobrze, że wyrosłem niedaleko i mogę im się przyjrzeć, a dzięki im zobaczyć miłego skowronka! O, Bóg jest dobry!

Wtem — kiwit! kiwit! — i maleńki, szary ptaszek usiadł na łące, na zielonej trawie, tuż obok polnego kwiatka! Cóż to była za radość! Kwiatek prawie stracił przytomność.

A skowronek skakał po trawie dokoła i szczebiotał, szczebiotał: — Jak tu

ślicznie, jak miękko, jak zielono. A to co za kwiatuszek ze złotem serduszkim, w srebrzystej sukni? Podobasz mi się, kwiatku, bardzo jesteś ładny.

Niepodobna wypowiedzieć, jak szczęśliwym był wtedy kwiatek. Ptaszek go dotknął swoim małym dzióbkiem, zaśpiewał mu coś słodko, zaświergotał i znów uleciał w błękitne niebiosa.

Upłynęło zapewne z pół godziny, zanim kwiatek ochłonął wreszcie ze wzruszenia i nieśmiało spojrzął na kwiaty w ogrodzie: one przecież musiały widzieć jego szczęście, co mówią na to? Czy cieszą się z nim razem?

Lecz tulipany stały sztywne i wyprostowane, dumne jak pierwej, a piwonie pogardliwie odwróciły się w stronę przeciwną. Całe szczęście, że nie mogły nic powiedzieć, byłby się biedny kwiatek nasłuchiwał rzeczy nieprzyjemnych. Tymczasem spostrzegł tylko, iż są w złym humorze i było mu to przykro.

Na ścieżce w ogródku ukazała się dziewczynka, — miała w ręku nóż ostry i ścinała nim dumne tulipany jeden po drugim, składając je następnie do fartuszka.

Polny kwiatek aż zbladł z przerażenia.

— To okropne! — szepnął sobie w głębi duszy. — Otóż i po nich! Takie piękne kwiaty! Co za szczęście, że ja nie rosnę w ogrodzie, że jestem mały i ukryty w trawie.

Dziewczynka z tulipanami zniknęła od dawna, a on jeszcze zapomnieć nie mógł o ich smutnym losie. A zarazem był wdzięczny Bogu, że go nie uczynił wielkim i wspaniałym. Nakoniec, gdy słońce zaszło, stulił białe płatki i zasnął cicho, marząc aż do świtu o skowronku, słońcu, błękitnie i piękności świata.

Nazajutrz obudził się kwiatek szczęśliwy i wyprostował swoje białe płatki, kąpał je w świetle, w czystym i ciepłym powietrzu. Wtem usłyszał głos znany, śliczny głos skowronka, lecz czemu dzisiaj smutny? I skąd płynie? Nie z góry, niema w obłokach wdzięcznego śpiewaka, — w ciasnej klatce zamknięty, wisi w otwartym oknie i śpiewa, płacze głosem. Śpiewa o swobodzie, o dniach szczęścia, kiedy unosił się w górę wolny, wesoły i patrzył na pola, młodem zbożem okryte, śpiewa o kwiecistych łąkach i złotych niwach, które wiatr kołysze, o pięknym, pięknym świecie.

O, nic dziwnego, że smutno było skowronkowi, on na to z wysokości już patrzeć nie może.

Słyszając to, kwiatek posmutniał zupełnie, — zapomniał o słończku, o błękitnym niebie, miłym wietrzyku i trawce zielonej, o niczem myśleć nie mógł, tylko o skowron-

ku. — Biedny, o, biedny ptaszek! I jak mu dopomóż? Jak mu osłodzić dolę?

Nic, nic nie mógł wymyślić kwiatek polny i było mu tak smutno, jak więźniowi w klatce.

Tymczasem wyszło z ogrodu dwóch chłopców, z których jeden miał w ręku duży nóż błyszczący, podobny do tego, którym dziewczynka wczoraj ścięła tulipany. Zatrzymali się niedaleko rowu i zaczęli rozmawiać:

— Tutaj jest bardzo piękny kawałek murawy dla skowronka — rzekł jeden i

pochylił się, aby wyciąć nożem czworokątny zielony kobierczyk. Polny kwiatek stał zdziwiony w pośrodku tego kwadratu.

— Wyrwij ten kwiatek — odezwał się drugi. Zadrżał kwiatek: ma umrzeć? On żyć teraz pragnie, żeby razem z murawą dostać się do klatki uwięzionego ptaszka.

— Nie trzeba — odparł pierwszy — bardzo tu z nim ładnie, niechaj sobie zostanie.

I został kwiatek polny wśród zielonej trawy, którą wysłano klatkę niewolnika.

Biedny ptaszek uskarżał się ciągle na krzywdę, wołał, aby mu zwrócono swobodę, bił skrzydełkami o żelazne pręty ozdobnej klatki. Kwiatek patrzył na to, lecz mówić nie mógł, nie umiał pocieszać przyjaciela.

Tak pół dnia upłynęło.

— Wody tutaj niema — zaczął się skarżyć ptaszek. — Ani kropli wody! Wszyscy sobie poszli i nie zostawili mi nawet czystej wody na ochłodę. W gardle mi zaschło, czuję ogień w piersi, brak mi powietrza, oddychać nie mogę, — duszno, — umieram. O, jak smutno żegnać ciepłe i jasne słońce, świeżą trawkę i cały świat ten piękny i szczęśliwy, który Bóg stworzył! Niedobrzy są ludzie!

Usiadł na spodzie klatki, na murawie, aby ochłodzić trochę rozpalone ciało na świeżej, wilgotnej trawce. Wtem spostrzegł polny kwiatek. Uśmiechnął się do niego i gorącym dzióbkiem dotknął srebrzystych i chłodnych płateczków.

— I ty uschniesz w niewoli, biedaku — rzekł smutnie. — Ciebie i ten mały kawałek murawy dano mi za świat cały odebrany. Ale czyż mi zastąpisz, ty kwiateczku mały, wszystkie łąki pachnące? Patrząc na ciebie, widzę tylko coraz lepiej, jak wiele miałem, jak wiele straciłem!

— Ach, żebym mógł go pocieszyć choć słówkiem — myślał kwiat polny — ale nie mógł nawet poruszyć żadnym płatkem swej korony. Tylko zapachem silniejszym niż zwykle, wyrażał najserdeczniejsze współczucie. Zauważył to ptaszek i chociaż dręczony pragnieniem, skubał zieloną trawkę i łamał wilgotne ździebełka, nie dotknął kwiatka.

Wieczór się zbliżył, ale nikt nie przyszedł, nikt nie podał kropli wody skowronkowi. To też osłabł zupełnie, skrzydełka jego drgnęły kilka razy, wyprostował sztywne nóżki, jeszcze ostatni raz chciał się odezwać, lecz z gardziółka wybiegło tylko kilka słabych i smutnych dźwięków, — potem zamknął oczki, główka opadła na miękką murawę, a serce bić przestało. Ptaszek nie żył.

Polny kwiatek pochylił nad nim złotą główkę, nie stulił białych płatków, jak wczoraj wieczorem, lecz je zwiesił bezwładnie, żałośnie ku ziemi.

Na drugi dzień dopiero wbiegli do pokoju chłopcy, a zobaczywszy nieżywego ptaszka, głośno płakać zaczęli.

Potem wyprawili mu pogrzeb wspaniały: w pięknym czerwonym pudełku złożyli go w ziemi, w ogrodzie i grób ozdobili pięknymi kwiatami. Za życia zapomniano o nim, cierpieć musiał głód i nędzę, lecz po śmierci oddawano mu królewskie hołdy, a mogiłę jego oblewano łzami.

Polny kwiatek wraz z kawałkiem pożółkłej murawy wyrzucono na drogę. Nikt nie pomyślał o nim, nie pamiętał, nie troszczył się o tego, który przez całe życie kochał boskiego śpiewaka, a w godzinie śmierci osładzał mu ostatnie chwile.

BRZYDKIE KACZĄTKO.

Prześlicznie było na wsi. Lato gorące, pogodne, żółte zboża na polach, owies jeszcze zielony, na łąkach wielkie stogi pachnącego siana, a bociany przechadzają się powoli, na wysokich, czerwonych nogach i klekocą po egipsku, bo takim językiem nauczyły się mówić od matek. Dokoła wielkie lasy, cieniste, szumiące, a w nich głębokie i ciche jeziora. Prześlicznie i cudownie było na wsi.

Na pochyłości wzgórza jasne słońce oświetlało stary zamek z wieżycami i gankami, otoczony murem i szeroką wstęgą wolno płynącej wody. Z muru zwieszały się pnące rośliny, a wielkie liście łopianu schylały się aż do wody. I było pod nimi cicho i ciemno, jak w cienistym lesie.

Pod jednym z takich liści młoda kaczka usłała sobie gniazdo i siedziała na jajach. Nudziło jej się bardzo, bo żadna z sąsiadek nie miała chęci w tak piękną pogodę rozmawiać z nią o tem, co słyszeć na świecie. Każda wołała pływać po przejrzystej wodzie, pluskać się i osuszać na ciepłym słoneczku, a ona tylko jedna, jak przykuta siedzi w cieniu na gnieździe.

Skończyło się wreszcie to jej udęczenie, jajka zaczęły pękać i główka pisklęcia co chwila wysuwała się z innej skorupki, oznajmiając ciekawym głosem, że żyje.

— Pip, pip! — wołały wszystkie.

— Kwa, kwa — odpowiedziała im poważnie matka, a maleństwa zaczęły jej głos naśladować, opowiadając sobie, co widzą dokoła i rozglądając się na wszystkie strony.

Matka pozwalała im mówić i patrzeć, ile im się podoba, bo kolor zielony bardzo zdrowy na oczy.

— Ach, jaki ten świat duży! — wołały kaczęta, wydobywając się z ciasnej skorupy i prostując z przyjemnością nóżki i skrzydełka.

— Nie myślcie, że to cały świat widać z tego gniazda — rzekła matka — ho, ho! ciągnie on się ogromnie daleko, jeszcze za tym ogrodem, za łąką proboszcza, het, het! Ale nigdy tam nie byłam. — Czyście już wszystkie wyszły ze skorupki? — spytała, wstając. — Jeszcze nie! Największe ani myśli pęknąć. Ciekawam bardzo, jak długo będę na niem tu pokutowała! Przyznam się, że mam tego już zupełnie dosyć!

I usiadła z gniewem na upartem jajku.

— A cóż tam słyszeć u was, kochana sąsiadko? — spytała stara kaczka, która wybrała się wreszcie w odwiedziny do młodej matki.

— Z jednym jajkiem mam kłopot, — ani myśli pęknąć — a tak jestem zmęczona. Ale inne dzieci ślicznie się wykluły, zdrowe, żwawe, żółciutkie, aż przyjemnie patrzeć; ładniejszych kacząt w życiu nie widziałam.

— Pokażno mi to jajko, które pęknąć nie chce — rzekła sąsiadka. — Ho, ho! takie duże! To indycze jajko. Znam się na tem, bo mi się niegdyś zdarzyło

wysiedzieć takie. Niema z tego pociechy: wody się obawia, pływać nie umie. Namęczyłam się i namartwiłam nad niem, wszystko napróżno, — niczego nauczyć nie można. Pokażno jeszcze jajko. Tak, tak, to indycze. Zostaw je i zajmij się lepiej swojemi. Czas puścić dzieciaki na wodę.

— Nie — odparła kaczką — posiedzę jeszcze; tak długo siedziałam, wytrwam parę dni dłużej.

— Jak chcesz, moja kochana.

I siedziała kaczką cierpliwie, aż pękło i wielkie jaje.

— Pip! pip! — odezwało się pisklę i prędko wydostawać się zaczęło ze skorupki. Było bardzo duże i brzydkie; kaczką patrzyła na nie z ciekawością i uwagą.

— Ogromne pisklę — rzekła wreszcie — i do żadnego z moich niepodobne. Czyżby to rzeczywiście było indycze jajko? No, o tem się przekonamy: musi iść do wody, choćbym je miała wciągnąć za łeb własnym dziobem!

Nazajutrz była prześliczna pogoda, gładka powierzchnia wody błyszcząca jak lustro i prawie zapraszała do pływania. Kaczką z całą rodziną wybrała się do kąpieli i na dalszą wycieczkę. Plusk! — i skoczyła w wodę. — Kwa, kwa! — zawołała i dzieci zaczęły skakać za nią jedno po drugim; na chwilę kryły się w wodzie z łebkami, lecz zaraz wyplływały, poruszały zgrabnie i szybko nóżkami i radziły sobie tak dobrze, że przyjemnie było popatrzeć.

Brzydkie kaczątko pływało z innemi.

— To nie indycze — rzekła do siebie kaczką — umie pływać i jak jeszcze! Może najlepiej ze wszystkich. Jak prosto się trzyma, a jak doskonale przebiera nogami. To moje własne dziecko. Nie jest ono nawet tak brzydkie, jeśli się dobrze przypatrzeć, tylko za duże trochę, — no, bardzo za duże.

— Kwa, kwa! — odezwała się znów głośno — za inną dzieci, muszę was w świat wprowadzić, przedstawić na kaczym dworze; tylko trzymajcie się koło mnie blisko, żeby was kto nie zdeptał; a najbardziej strzeżcie się kota.

Przeplłynawszy kawałek drogi, kaczki wyszły znów na ląd i dostały się na kacze podwórze. Hałas tu był niesłychany, gdyż dwie rodziny kłóciły się zapamiętale o główkę węgorka, którą tymczasem w zamieszaniu kot rozbójnik pochwycił.

— Tak to bywa na świecie — rzekła kaczką, i obtarła dziób o piasek, gdyż sama miała apetyt na główkę.

— A teraz naprzód, — równo poruszać nogami, a tej pięknej kaczkę ukłóńcie się grzecznie, tak, głową; to bardzo znakomita osoba; jest Hiszpanką i dlatego taka tłusta. Widzicie na jej nodze ten czerwony znaczek? To największe odznaczenie, jakie kaczkę od ludzi spotkać może: oznacza ono, że niewolno jej wyrządzić żadnej krzywdy, więc też wszyscy ją szanują. — No, dalej, dalej, nogi rozstawiać szeroko, nie do środka; kaczką dobrze wychowana powinna umieć chodzić. Patrzcie zresztą na mnie. A teraz się ukłóńcie i powiedzcie: kwa, kwa!

Kaczątką wypełniły rozkaz matki. Inne kaczki otoczyły je dokoła i przypatrywały się nowym przybyszom.

— Jeszcze nas widać mało! — rzekła wreszcie jedna — niedługo miejsca dla wszystkich zabraknie. Ach, pfe! a cóż to znowu? Patrzcie tylko, patrzcie, jak to kaczę wygląda? Nie mogę znieść widoku takiego brzydactwa.

Podbiegła do brzydkiego kaczęcia i ze złością uszczypnęła je z całej siły w szyję.

— Daj mu pokój! — zawołała gniewnie matka, — przecież nikomu nic złego nie robi.

— Ale jest takie wielkie i takie dziwaczne, że nie można patrzeć na nie. Po co takie stworzenie między nami? Każdy ma prawo dać mu poznać, co sobie o niem myśli.

— Ładne masz dzieci — rzekła stara kaczka z czerwonym strzępkim na nodze — można ci powinszować. To duże tylko jakoś ci się nie udało. Czy nie możnaby go trochę przerobić?

— Zdaje mi się, że nie można, proszę jaśnie pani — odrzekła kaczka skromnie. — Nie jest ono ładne, ale posłuszne, dobre i doskonale pływa, mogę powiedzieć nawet, że najlepiej ze wszystkich. Mam nadzieję, że wyrośnie z tej brzydoty i będzie mniejsze z czasem. Za długo siedziało w jajku i dlatego takie niezgrabne.

Dziobnęła je po szyi, wyprostowała piórka, pogładziła, — niewiele to jednak pomogło.

— To kaczor — rzekła jeszcze — więc da sobie radę, zwłaszcza, że będzie silny.

— Inne dzieci bardzo ładne, bardzo ładne. No, możecie już odejść, bądźcie tu jak u siebie, moje małe, a jeśli wam się zdarzy znaleźć główkę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I kaczęta były jak u siebie w domu.

Tylko jedno brzydkie kaczę popychano, szczypano, odpędzano, a znęcały się nad niem nietylko kaczki, ale nawet kury. — Za duże jest — powtarzali wszyscy bez wyjątku, a stary indyk, który przyszedł na świat z ostrogami i wyobrażał sobie, że jest królem, nastroszył wszystkie pióra niby żagle, aż mu się końce skrzydeł po kamieniach darły, poczerwieniał na szyi, głowie, aż po oczy i patrzył na nie z groźnym oburzeniem. Biedne kaczątko samo nie wiedziało, czy ma przed nim uciekać, czy zostać na miejscu. Było mu bardzo smutno, że jest takim brzydkim, lecz cóż na to poradzi?

Tak upłynął dzień pierwszy, a następne były jeszcze coraz gorsze. Brzydkie kaczątko zewsząd odpędzano, nawet własne rodzeństwo stroniło od niego i życzyło mu nieraz, żeby je kot porwał. Matka zaczęła wstydzić go się także:

— Idźże sobie ode mnie? — powtarzała coraz częściej. — Czego się przy mnie płaczesz?

Kaczki je biły, kury je dziobały, nawet dziewczyna, która jeść ptactwu dawała, odtrącała je nogą.

Uciekło wreszcie i przedostało się przez płot na drugą stronę, w krzaki. Gdy upadło na ziemię, przestraszone ptaszki frunęły i uciekły.

— To dlatego, że jestem takie brzydkie — pomyślało biedne kaczę i zamknęło oczy, aby nic nie widzieć chociaż przez jedną chwilę. Lecz skoro odpoczęło, zerwało się znowu i biegło dalej, dalej, aż do wielkiego błota, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Tutaj noc przepędziło.

Nazajutrz dzikie kaczki zaczęły mu się przypatrywać: — Coś ty za jeden? — pytały zdziwione. A kaczątko kłaniało się na wszystkie strony, jak umiało i mogło.

— Jesteś potwornie brzydkie — rzekły dzikie kaczki — ale coż nam do tego? Bylebyś nie zechciał żenić się w naszej rodzinie, nic nam do twej urody.

Rozumie się, że biedne pisklę nie myślało o małżeństwie, chodziło mu tylko o to, aby się mogło przespać w gęstej trzcinie i napić wody z błota.

Tego mu nie broniły dzikie kaczki i przebyło dni parę w tem cichem ukryciu.

Razu pewnego z sąsiedniego stawu przyleciały dwa gąsiorzy, jeszcze bardzo młode, gdyż niedawno wykluły się z jajek, ale właśnie dlatego dość zarozumiałe. Popatrzyły one na kaczę ciekawie, a jeden się odezwał:

— Jesteś tak brzydki, kochany kolego, że nie potrzebujemy obawiać się ciebie, więc jeśli zechcesz, możesz lecieć z nami na nasze błoto. Tam dopiero życie! Nie brak i młodych, ślicznych, białych gąsek, a jakie wszystkie wesołe, rozmowne, jak pięknie śpiewać umieją! Mój drogi, zakochasz się z pewnością i choć jesteś tak brzydki, kto wie, czy się której nie spodobasz.

— A ja myślę — zaczął drugi —

Wtem — pif! paf! i obaj dorodni młodzieńcy padli nieżywi w błoto, które się zaczerwieniło od krwi rozlanej. — Pif, paf! rozległo się znowu, — pif, paf! — i całe stada dzikich gęsi uniosły się w powietrze ponad trzcinę. Ale teraz dopiero zaczęła się strzelanina! Było to wielkie polowanie: strzelcy otoczyli błoto, niektórzy nawet siedzieli na drzewach, rosnących na wybrzeżu. Smugi dymu rozciągały się nad wodą i zasłaniały wszystko. Plusk, plusk! i psy myśliwskie zaczęły przebiegać wśród trzciny chwytając nieszczęśliwych zbiegów. Sądny dzień!

Biedne kaczę odwróciło głowę, aby z wielkiego strachu schować ją pod skrzydło, ale w tej samej chwili ujrzało przed sobą straszliwą paszczę z wiszącym językiem i oczy, niby dwa ognie złośliwe. Pies rzucił się na kaczę, zęby mu błysnęły, wtem — plusk, plusk! poszedł sobie w inną stronę.

— O, dzięki Bogu, że jestem tak brzydkie! — zawołało kaczątko. — Pies mię nawet tknąć nie chciał.

I zamknawszy oczy, leżało cichutko, przytulone do trzciny, pośród huku wystrzałów, duszącego dymu i świszczącego śrótu, który śmierć roznosił.

Późno uciszyło się na krwawym stawie, lecz wystraszone kaczę jeszcze przez kilka godzin nie śmiało ruszyć się z miejsca. Nakoniec cisza je uspokoiła, podniosło głowę, otworzyło oczy, a nie widząc nikogo, zaczęło uciekać, ile mu sił starczyło, dalej, dalej, dalej!

W drodze zaskoczyła je okropna burza. Pioruny biły, deszcz lał strumieniami, a wichur miotał biednym pisklęciem, jak listkiem. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziało i zdawało mu się, że to koniec świata.

Co począć? Gdzie się schronić?

Wieczór już zapadł, brzydkie kaczę upadało ze znużenia, kiedy ujrzało wreszcie małą chatkę. Była ona tak stara, nędzna, pochylona, iż dlatego tylko stała, że nie wiedziała, w którą stronę się przewrócić. Kaczę przytuliło się do ściany chatki, ale wiatr je uderzał z taką gwałtownością, iż wydawało się, że lada chwila je zabije.

Więc ma tu zginąć?

Wtem spostrzegło, że drzwi chaty wisiały tylko na jednej zawiasie, skutkiem czego pod spodem utworzyła się szpara, przez którą można było wsunąć się do środka. Uczyniło to śpiesznie, choć z niemałym trudem.

W chatce mieszkała stara kobiecina z kotem i kurą. Kot umiał mrużyć, wyginać grzbiet w pałąk, a nawet sypać iskry trzaskające, lecz na to trzeba było pod włos go pogłaskać. Staruszka go kochała i nazywała wnukiem.

Kura znosiła jajka, a że miała nogi nadzwyczaj krótkie, staruszka ją przezwała swoją córką Krótkonóżką.

Z rana zauważono zaraz obecność kaczkę i kura zagdakała, a kot zaczął mrużyć.

— Co to jest? — rzekła stara, — patrząc na nowego gościa.

Wzrok miała bardzo słaby, więc wydało jej się, że to jest duża kaczkę, która się przybłąkała podczas burzy.

— A to szczęśliwie! — rzekła — będziemy mieć teraz i kacze jaja. Żeby tylko nie był kaczor! Ha, trzeba się przekonać, poczekajmy.

Minęło trzy tygodnie, a kaczych jaj niema. Staruszka już przestała się spodziewać. Kot był w tej chatce panem, kura panią i oni tu rządzą. "My i ten świat" — mówili, — co miało oznaczać, że się uważają za coś lepszego od świata. Kaczę chciało wyrazić inne zdanie pod tym względem, lecz kura się rozgniewała.

— Umiesz znosić jajka? — rzekła.

— Nie.

— No, to się nie odzywaj, z łaski swojej.

— Umiesz mrużyć, grzbiet wyginać, iskry sypać? — zapytał kot z kolei.

— Nie.

— No, to siedź cicho, kiedy mówią rozumniejsi od ciebie.

I kaczątko usiadło w kącie, smutne i zawstydzone.

Wtem przez drzwi otwarte wpadła smuga światła, wiatr przyniósł zapach wody, trzciny, tataraku i kaczę opanowała taka chęć pływania, że zwierzyło się z tem kurze.

A to co? — rzekła kura. — Nic nie robisz i dlatego takie ci głupstwa przychodzą do głowy. Noś jajka, albo mruż sobie, a zaraz wywietrzeją ci fantazje.

— Kiedy to tak przyjemnie — zapewniało kaczę — zanurzać się, wypływać, pluskać w czystej wodzie, a potem skryć się głęboko i widzieć, jak woda się zamyka nad głową!

— O tak, to wielka rozkosz! — zaśmiała się kura. — Zupełnie zwaryowałaś, moja droga. Zapytaj kota — przecież mądrzejszego stworzenia niema na świecie? — zapytaj, czy lubi pływać albo zanurzać się w wodzie? O sobie już nie mówię, ale możesz spytać i naszej pani. Żyje tak długo na świecie i jest bardzo rozumna. Nie znam rozumniejszej nad nią. Więc zapytaj, czy to przyjemnie zanurzać się z głową w wodzie! Czy ma ochotę pływać?

— Nie rozumiecie mię — rzekło kaczątko.

— My ciebie nie rozumiemy? Doprawdy? Więc któż cię może zrozumieć? Czy sobie nie wyobrażasz czasem, ty głuptasie, żeś mądrzejszy od kota, albo od naszej pani? O sobie już nie mówię. Nie bądź tak zarozumiałem, moje dziecko, i dziękuj Bogu za te dobrodziejstwa, które ci tu wyświadczone. Mieszkasz sobie w ciepłej izbie i masz towarzystwo, w którym mógłbyś skorzystać bardzo wiele. Ale na to trzeba słuchać i rozważać, a nie bajać bez sensu. Powiem ci otwarcie, że niezbyt przyjemnie żyć z tobą pod jednym dachem. Możesz mi wierzyć. Zresztą mówię ci o tem przez życzliwość. Przyjaciel ma obowiązek mówić prawdę w oczy, chociażby przykrą była. Radzę ci też szczerze: naucz się znosić jajka, albo mruczeć, albo sypać iskry. Inaczej nic z ciebie nie będzie.

— Pójdę sobie w świat chyba — rzekło kaczę.

— Otwarta droga, nikt cię tu nie zatrzymuje.

I poszło sobie kaczę. Pływało po wodzie, pluskało, zanurzało się głęboko, ale zawsze było samo — inne pływające ptaki unikały go z powodu brzydoty.

Tymczasem nastąpiła jesień. Liście na drzewach pożółkły, ściemniały i zaczęły opadać; wiatr kręcił je w powietrzu i niósł gdzieś daleko, aby porzucić znowu. Powietrze stawało się chłodne, wilgotne, ciężkie chmury przesuwają się nisko po niebie, niosąc deszcze i śniegi, zasłaniając słońce. Wrony krakały z zimna. Dreszcz przebiega na samą myśl o takim czasie.

I brzydkiemu kaczącemu było coraz gorzej. Chłodno, głodno i nikogo, ktoby polubił je szczerze. Bo takie brzydkie! A nietylko brzydkie, lecz takie duże i takie odmienne od wszystkich, wszystkich ptaków. Do nikogo, do nikogo niepodobne.

A każdy szuka podobnych do siebie.

Razu jednego pływało po wodzie. Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo było czerwone, niby w ogniu. Wtem z poza lasu podniosło się stado wielkich, wspaniałych ptaków. Podobnie pięknych kaczę nie widziało dotąd: leciały niby chmurki śnieżno-białe, spokojne, wdzięczne i majestatyczne. Były to odlatujące łabędzie. Nagle wydały ton długi, przeciągły, taki dziwny! Poruszyły spokojnie silnymi skrzydłami i wzniosły się wysoko, aż pod chmury i płynęły tak dalej, dalej, w nieskończoność. Łabędzie opuszczały kraj chłodny przed zimą i śpieszyły za słońcem, tam, gdzie ono świeci jasno i ciepło, gdzie błękitne wody nie zamarzają nigdy. Kaczę patrzyło za niemi z zachwytem, z nieopisanem uczuciem tęsknoty, a gdy znikwały, wydało krzyk silny i przenikliwy, aż samo się przestraszyło swego głosu.

I zaczęło się kręcić w kółko jak szalone, wyciągając szyję i podnosząc krótkie,

niezgrabne skrzydła. O, co to za męka! Nigdy nie zapomni tych wspaniałych ptaków i nigdy ich nie ujrzy! Zniknęły, zniknęły!

Z rozpaczy zanurzyło się do dna samego, a kiedy wypłynęło znowu na powierzchnię, nie wiedziało, co się z niem dzieje. Ptaki, królewskie ptaki, piękne ptaki! Nie wiedziało, jak się one nazywają, ani dokąd lecą, a jednak pragnęło złączyć się z nimi i lecieć tak samo, daleko i wysoko, razem z nimi!

Było to śmieszne i głupie pragnienie, bo jakim prawem ono, takie brzydkie, które się cieszyć powinno, gdy kaczkę chcą z niem przestawać...

— Ale tamte ptaki!...

Nadeszła zima surowa i mroźna. Zamarzły wody. Na małym kawałku, który wolnym został, musiało kaczkę pływać bezustannie, aby uchronić go od zamarznięcia. Mimo to przestrzeń wolna zmniejszała się po każdej nocy. Bo co dzień zimniej było, mróz się wzmagał, lód trzaskał dookoła i na maleńkim otworze, który pozostał jeszcze, kaczątko bez odpoczynku poruszać musiało nóżkami, ażeby nie przymarznąć. Lecz i to nie pomogło: zmęczone, ustało, a wówczas lód uwięził je, jak w kleszczach.

Zobaczył to nazajutrz z rana jakiś wieśniak, rozbił lód butem z drewnianą podeszwą, a ptaka zabrał do siebie, do chaty.

Kaczkę w ciepłe przyszło do siebie i dzieci zaraz chciały się z niem bawić; ale ono myślało, że mu chcą zrobić co złego i zaczęło uciekać, przewróciło garnek z mlekiem, i rozlało je na podłogę. Gospodyni z rozpaczy załamała ręce, chciała złapać szkodnika, aby go ukarać, — przestraszone kaczkę wpadło w kubek z wodą, potem w naczynie z mąką, wytarło się o sadze w okopconym piecu. Gospodyni krzyczała i goniła za niem, dzieci ze śmiechem przewracały się jedno przez drugie, kaczkę skakało po półkach, po garnkach, podfrowało aż do pułapu, wreszcie przez drzwi otwarte wypadło do sieni, a stamtąd na dwór.

Można wyobrazić sobie, jak wyglądało. Umęczone, mokre, powalane sadzami, w nastroszonych piórach, a przytem upadające ze znużenia. Lecz nie myślało o tem; ostatnim wysiłkiem dostało się pomiędzy krzaki, rosnące niedaleko, i jak nieżywe przykucnęło w śniegu.

Za smutno byłoby opisywać wam to wszystko, co nieszczęśliwe kaczkę wycierpiało podczas mroźnej i długiej zimy. Głód, chłód, ani ciepłego schronienia, ani żywności, ani przyjaciela.

Leżało pośród trzciny, kiedy słońce znowu zaczęło jaśniej i cieplej przyświecać. Zanuciły skowronki, powracała wiosna!

I kaczątko odżyło; z każdym dniem powracały mu stracone siły, aż rozpostarło skrzydła jakieś wielkie, jakby nieswoje, zaszumiło niemi i poleciało wysoko, daleko, prowadzone jakąś tęsknotą nieznaną, do świata, do wszystkiego, co na nim jest piękne.

I nie spoczęło, aż na wielkim stawie, w dużym ogrodzie, gdzie ptaki śpiewały wesoło, drzewa jaśniały świeżą zielonością, biała czeremcha rozlewała zapach i zwieszała tak nisko swe cienkie gałązki, iż zanurzały się w wodzie

przejrzystej. Ślicznie tu było, — każda trawka, kwiatek, każdy listek na drzewie zdawał się śpiewać radośnie: Wiosna powraca, Wiosna, Wiosna, Wiosna!

Wtem z poza gęstych krzaków naprzeciwko wypłynęły trzy wielkie, wspaniałe łabędzie. Rozpostarły białe skrzydła niby żagle i płynęły lekko po błękitnej wodzie, z szyją wygiętą wdzięcznie i wzniesioną głową, spokojne, dumne i majestatyczne.

Na ten widok dziwny smutek i tęsknota ogarnęły biedne kaczę. Oto królewskie ptaki, które raz widziało i ukochało tak silnie od razu.

— Popłynę do nich — pomyślało nagle — niech mię zabiją za moje zuchwalstwo, że śmiem zbliżyć się do nich, ja, tak potwornie brzydkie. Niech mię zabiją! Wszystko mi już jedno. Lepiej być zabitym przez te cudne ptaki, które kochać muszę, niż szczypanym przez kaczkę, dziobanym przez kury, potrącanym i odpychanym przez wszystkie zwierzęta i ludzi. O, lepiej, lepiej umrzeć!

I popłynęło naprzeciw łabędzi, które, ujrawszy przybysza, potężnie zaszumiały skrzydłami i skierowały się prosto ku niemu.

— Zabijcie mię! — zawołało brzydkie kaczę — i pochyliło głowę, oczekując śmierci.

Ale cóż to? Cóż widzi w zwierciadlanej fali? Wszakże to jego obraz? Jego własny! Jego! To już nie brudnoszare, brzydkie i niezgrabne kaczę, to łabędź biały! Kaczę stało się łabędziem!

Chociaż się urodziło pomiędzy kaczkami, lecz z łabędziego jaja, więc i ono także łabędziem stać się musiało na koniec!

W tej jednej chwili zapomniało nagle o nędzy, o cierpieniach, czuło się tylko szczęśliwe niezmiernie i po raz pierwszy radośnie witało świat piękny, życie i braci łabędzi, które pływały wkoło, oglądając towarzysza i pieśczośliwie głaszcząc go dziobami.

Kilkoro dzieci wbiegło do ogrodu i zaczęły z brzegu rzucać w wodę bułki i smaczne ziarna. Wtem jeden chłopczyk zawołał:

— Nowy łabędź nam przybył! Nowy łabędź!

Inne dzieci także zaczęły klaskać w ręce i skakać, powtarzając:

— Łabędź nam przybył! Łabędź! Jaki śliczny! Najpiękniejszy, najpiękniejszy!

I rzucały ciastka i bułkę dowody, sprowadziły rodziców i wszyscy przyznali, że nowy łabędź był najpiękniejszym ze wszystkich.

Stare łabędzie pokłoniły mu się z dobrocią i uznaniem.

Wtedy zawstydzony i wzruszony razem, ukrył głowę pod skrzydło, nie wiedząc, co począć. Czuł się tak bardzo, tak bardzo szczęśliwym! Myślał o tem, jak niedawno i jak długo cierpiał z powodu swej strasznej brzydoty, jak nie miał nikogo, ktoby chciał być jego bratem, przyjacielem, a teraz — bratem jest ptaków królewskich, jak one piękny, może najpiękniejszy! Świat cały zdaje się śpiewać pochwały jego piękności, czeremcha przesyła mu słodki zapach, słońce promienie złote, woda go pieści dotknięciem, przyjaźnie odbija jego obraz. O, jak miłem jest życie!

Rozpostarł skrzydła, które zaszumiały głośno, podniósł do góry szyję

wdzięcznym ruchem i z głębi serca zawołał radośnie:

— Nie marzyłem o takim szczęściu, — nie marzyłem!

DZIEWCZYKA Z ZAPAŁKAMI.

Mimno było, śnieg padał, ściemniało się coraz bardziej, wieczór się zbliżał, ostatni dzień roku skończy się niezadługo.

Zima. Przez ulice zasypane śniegiem, w zmroku idzie dziewczynka, bosa, z gołą głową, i coś niesie w fartuszkach. Dlaczego bosa? To cała historia. Kano miała pantofle, stare i zniszczone, za duże na nią, stare pantofle matki, — ale je pogubiła. Dwa powozy nadjeżdżały właśnie z stron przeciwnych, a ona chciała prędko przebiec przez ulicę; biegła co sił, słyszała straszny tentent kopyt, turkot kół, tuż, tuż za nią — ach, uciekła przecież, ale boso. Jeden pantofel tak zginął, że go nie mogła znaleźć wśród ciemności, a drugi porwał jakiś chłopiec i ze śmiechem uciekł daleko.

Więc szła bosa biedna dziewczynka po śniegu, a nogi jej zsiniały i poczerwieniały. Jedną ręką ścisnęła czerwony fartuszek, w którym niosła kilkanaście paczek zapalek na sprzedaż, a w drugiej ręce miała jedną paczkę i tę podsuwała nieśmiało przechodniom, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Ale nikt po nią nie sięgnął, nikt dzisiaj nic nie kupił jeszcze od dziewczynki, nie miała ani grosika zarobku.

Drżała z zimna i głodu, idąc z wolna przez ulice, podobniejsza do cienia niż do żywego dziecka. Białe płatki śniegu osiadały na jej długich, jasnych włosach, które ciepłym płaszczem osłaniały plecy i szyję dziewczynki. Ładnie jej było w tym złocistym płaszczu ze srebrzystymi gwiazdami nad czołem, lecz nie myślała o tym. Więcej zajmował ją przyjemny zapach pieczonej gęsi, który co chwila uderzał jej głodem zaostrome powonienie. Ludzie żegnali stary rok wesoło, a ona taka głodna i zziębnięta...

Usiadła wreszcie, — tak była zmęczona, że nie mogła iść dalej. Usiadła w kąciaku między dwoma domami, z których jeden więcej występował na środek ulicy. Ciemno tu było, więc nikt jej nie widział, zresztą tak się skuliła, skryła pod spódniczkę zziębnięte nogi, ażeby je rozgrzać, ale jakże się rozgrzać na śniegu i mrozie? A do domu wrócić nie miała odwagi: nie sprzedała ani jednego pudełka, jakże wracać bez pieniędzy? Ojciec czy ojczym obiłby ją pewno, a zresztą czyż tam cieplej? Wiatr mroźny świszcze przez otwory w dachu, choć zatkali największe słomą i gałganami. Niema po co wracać do domu.

Zziębnięte ręce skostniały jej prawie, nie ma siły utrzymać w nich paczki zapalek. A gdyby zapaliła jedną dla rozgrzania? Tylko jedną zapalekę.

Na wspomnienie ciepła już nie ma siły oprzeć się pokusie. Jedna zapaleka tylko. Wyjmuje ostrożnie, pst! i płonie! Cóż za wesołe światło, jasne i ciepłe, ach, jak grzeje w ręce! Cudowny płomyk!

Wydało jej się nagle, że siedzi przed ciepłym, żelaznym piecem na świecących nóżkach, z mosiężnymi drzwiczkami. Ach, jak ciepło! Jak grzeje duży, jasny płomień, — jak wesoło się pali! Wyciągnęła nóżki z pod cienkiej sukienki, aby je ogrzać także, lecz w tej samej chwili — zapaleka zgasła; — zniknął piec żelazny i

wesołe ognisko, a w ręku dziewczyny pozostał tylko maleńki kawałek spalonego drewnienka.

Dziewczynka zapaliła drugą bez namysłu. Jasne światełko padło na mur szary, który w tym miejscu stał się przezroczystym, niby muszlin cieniutki. I ujrzała w głębi duży, jasny pokój, stół nakryty czystym, bielutkim obrusem, na nim talerze, szklanki, a na samym środku ogromna gęś pieczona na półmisku, pachnąca, nadziewana jabłkami, śliwkami. Gęś poruszyła się nagle, zeskoczyła na ziemię z nożem i widelcem w zarumienionej piersi i zaczęła posuwać się w stronę dziewczynki...

Wtem zapałka znów zgasła i zamiast ciepłego pokoju, dziecko miało przed sobą mur szary, wilgotny i ciemny. Śpiesznie zapaliła trzecią. Płomyk strzelił w górę, zamigotał i rozprysnął się na wszystkie strony, iskrząc w powietrzu niby świece na choince. Ach, choinka! Tuż przed nią stoi wspaniała, wielka, jaśniejąca światłami, piękniejsza i strojniejsza od tej, którą widziała przez szklane podwoje w mieszkaniu bogatego kupca. Ileż świeczek! Tysiące! Takie ciepłe, jasne. Dziewczynka wyciągnęła ku nim obie rączki, — a wtem zapałka zgasła. Ale maleńkie iskierki unosiły się w górę, coraz wyżej, wyżej i zajaśniały między gwiazdami na niebie. Och, jedna spadła i smuga ognista zagasała za nią.

— Ktoś umarł — cicho szepnęła dziewczynka, bo słyszała od babki, którą kochała bardzo, a która na nieszczęście już dawno umarła, — że kiedy gwiazda spada, to dusza człowieka odlatuje z ziemi do nieba.

Znów zapłonęła zapałka i w świetle, które zajaśniało, dziewczynka ujrzała tę najdroższą babunię, całą jaśniejącą ciepłym, łagodnym blaskiem. Staruszka z miłością patrzyła na wnuczkę, uśmiechała się do niej.

— O babciu, weź mię z sobą! — zawołało dziecko. — O, weź mię, babciu! Ja wiem, że ty znikniesz, skoro zapałka zgaśnie, jak zniknął piec ciepły, gęś i choinka. O, nie znikaj, babciu!

Drżącą z pośpiechu i mrozu rączyną zapaliła dziewczynka całe pudełko od razu, tak bardzo chciała zatrzymać babunię. I buchnął jasny płomień, jaśniejszy od słońca, i babka nigdy tak piękną nie była, tak promienną i jaśniejącą. Uśmiechnęła się znowu do małej dziewczynki i wzięła ją na ręce. Teraz podniosły się obie wysoko, coraz wyżej, ku gwiazdom, ku światom wspaniałym, gdzie niema głodu chłodu ani trwogi, aż przed tron Boga.

Nazajutrz w kąci pod murem ujrzano zmarznięte ciało ubogiej dziewczynki. Na twarzy miała uśmiech, w ręku spalone pudełko zapałek. Dzień noworoczny powitał ją blaskiem jasnego słońca, ludzie ze współczuciem patrzyli na drobne biedactwo.

— Chciała się ogrzać — rzekł ktoś, pokazując na spalone zapałki.

Nikt się nie domyślił, co widziała przed śmiercią w świetle tych kilku drewnienek i w jakim blasku wstąpiła do nieba w objęciach zmarłej babki.

CZERWONE BUCIKI.

Była sobie mała dziewczynka, bardzo uboga i ładna, nazywała się Karasia. W lecie chodziła boso, a na zimę miała duże drewniane saboty. Ale w tych było jej zimno, o zimno! Aż małe nożyny stawały się całkiem czerwone.

Pocziwa szewcowa ulitowała się nad nią i ze starej czerwonej chustki uszyła jej pantofelki. Były brzydkie i niezgrabne, ale z dobrego serca pochodziły i dziewczynka ucieszyła się niezmiernie.

Właśnie iść miała za pogrzebem matki, kiedy szewcowa przyniosła jej ten podarunek; włożyła je natychmiast na bosa nożyny i szła tak ucieszona, iż zapomniała zupełnie, że w ubogiej trumnie spoczywa jej matka.

Jakaś niemłoda pani jechała powozem i zdjęła ją litość nad biedną dziewczynką. Rzekła więc do proboszcza:

— Zabiorę tę małą, chcę się nią opiekować.

Zrobiła to przez dobroć, lecz Karusia pewną była, że tak ją zachwyciły czerwone trzewiczki. I później tak myślała, chociaż dobra pani powiedziała, że są szkaradne i kazała je spalić.

Odtąd Karusia była zawsze czysto i porządnie ubrana, uczyła się czytać, szyć i wszystkiego, co jest dziewczynce potrzebne, a ludzie mówili o niej, że jest ładną.

Lecz Karusia wierzyła temu, co jej mówiło zwierciadło, a ono jej szeptało co chwila zdradziecko: — Jesteś piękną, prześliczną, najpiękniejszą w świecie!

Raz przyjechała do miasta królowa z małą córeczką i stanęły w zamku. Ciekawi ludzie zbiegali się zewsząd, żeby zobaczyć i królowę i królowną, ale najwięcej po to, żeby się przekonać, jak obie są ubrane. I Karusi o to najwięcej chodziło, to też nie wiedziała, co robić z radości, gdy ujrzała na ganku młodziuchną królowną, bez korony i berła, lecz w białej sukience i czerwonych bucikach.

Cóż na świecie równać się może z czerwonymi bucikami!

Karusia marzyła o nich bez ustanku. Wyrosła wreszcie, stając się panią. Zbliżał się dla niej dzień niezmiernie uroczysty, kiedy miała przystąpić do pierwszej komunii. Ksiądz tłumaczył jej długo święte obowiązki względem Boga i bliźnich, które od tej chwili spełniać powinna chętnie i świadomie; — dobra pani ucałowała ją jak matka. Dostała nową suknię i poszły obydwie do sklepu szewca po buciki.

Karusi aż się w głowie zakręciło, gdy ujrzała w szklanych szafach dookoła tyle bucików zgrabnych, świecących, prześlicznych. Dobra pani nie mogła doznawać tej przyjemności, gdyż była już wiekową i słabo widziała. A pośrodku stało para najpiękniejszych pantofelków z czerwonej skórki, takich, jak miała królowna. Szewc zrobił je także dla jakiejś księżniczki, ale były za małe.

— Czy to lakierki? — zapytała dobra pani. — Tak się świecą!

— Nie lakierki — odpowiedziała Karusia. — Na moją nogę doskonałe!

I dobra pani kupiła śliczne pantofelki, nic nie wiedząc, że są czerwone, gdyż nie

byłaby nigdy pozwoliła w takim dniu uroczystym ubrać się Karusi w czerwone pantofelki do kościoła.

Kiedy szła, wszyscy ludzie patrzyli na jej małe nóżki i cieszyło ją to niewypowiedzianie. W kościele o niczem innym też myśleć nie mogła, zdawało jej się nawet, że wykute twarze na nagrobkach w przedsionku patrzą na jej nogi, że o nich tylko śpiewają na chórze, że dlatego jest dzisiaj cała uroczystość i całe święto. Święto czerwonych bucików!

Po południu dobra pani dowiedziała się od ludzi, że Karusia była w czerwonych bucikach w kościele i gniewała się o to bardzo. Tłomaczyła dziewczynce, jak jest lekkomyślną i zapowiedziała, żeby odtąd nigdy nie ważyła się w nie ubrać do kościoła.

Następnej niedzieli poszły znów na nabożeństwo. Karusia przedtem oglądała długo czarne buciki, następnie czerwone, i znowu czarne, w końcu — włożyła czerwone.

Dzień był prześliczny, ale trochę kurzu, to też zanim doszły do bramy cmentarza, trzewiki były dobrze zapyłone. W bramie stał jakiś staruszek o kuli z długą rudą brodą i spytał z ukłonem, czy może dobrej pani oczyścić buciki? Karusia podstawiła zaraz swoją nóżkę, ale starzec spojrzął na nią jakoś dziwnie i mocno potrząsnął głową:

— Piękne pantofelki do tańca! — powiedział. — No, siedźcie mocno!

I uderzył je ręką po podeszwie.

Dobra pani za tą posługę wsunęła ubogiemu w rękę parę groszy i nie wiedząc o niczem, weszła do kościoła z wychowanką.

Znowu ludzie patrzyli na maleńkie nóżki i czerwone buciki, patrzyły na nie wszystkie twarze świętych i sam ksiądz przed ołtarzem. Karusia sama patrzyła co chwila na końce swoich nóg i nie mogła się modlić, ani myśleć o niczem innym, nie słyszała nawet, co się dokoła niej dzieje.

Bo w sercu miała tylko czerwone buciki.

Skończyło się nareszcie nabożeństwo, wszyscy wyszli z kościoła, powóz dobrej pani oczekiwał na nią i wsiadła zaraz, gdyż czuła się trochę zmęczoną. Karusia chciała wsiąść także, lecz żołnierz o szczudle z rudą brodą, spojrzął na jej pantofelki i zawołał:

— Patrzcie, jakie ładne buciki do tańca!

I Karusia już nie mogła się powstrzymać i musiała tańczyć zaraz przed kościołem, choć jej wstyd było ludzi. Nogi podnosiły się same i tańczyły bez końca, aż woźnica zszedł z kozła, złapał tańczącą Karusię i zaniósł do powozu. Dobra pani czempredzej zdjęła jej buciki i dopiero wtedy nogi uspokoiły się zupełnie.

Odtąd zamknięto w szafie czerwone buciki, lecz Karusia często do nich zaglądała i nie mogła nigdy dosyć się napatrzeć.

Tymczasem dobra pani zachorowała ciężko i mówili doktorzy, że już wyzdrowieć nie może. Potrzebowała jednak troskliwej opieki, a nie miała nikogo z

krewnych. Ale miała Karasię, którą wychowała przecież od dziecka jak matka rodzona, więc mogła się spodziewać, że ta wychowanka odwdzięczy jej się teraz.

W tym samym czasie przypadał bal w mieście, na który już od dawna Karasia była zaproszoną. Czyż miała się wyrzec zabawy? A czerwone buciki?

Poszła do zamkniętej szafki, wyjęła pantofelki, oglądała je długo, przymierzyła wreszcie i już zdjąć nie miała siły. Ubrała się prędyutko i wybiegła z domu, nie myśląc o obowiązku i o chorej, poczciwej swojej opiekunce.

Tańczyć tylko, tańczyć, tańczyć w czerwonych bucikach!

Lecz źle jej się powiodło: już nie miała swojej woli, nogi jej nie słuchały. Gdy chciała na prawo, buciki zawracały ją na lewo, do drzwi, ze schodów, prosto na ulicę; — tańcząc, biegła przez miasto, aż do ciemnego lasu i tu tańczyła jeszcze bez końca, bez końca!

W lesie ciemno, ponuro, a wrócić nie może. Coś zajaśniało pomiędzy drzewami — czy to księżyc? Nie to ubogi staruszek na szczudle, z rudą brodą, stoi oparty o drzewo, patrzy na nią i kiwa głową.

— Co za prześliczne buciki do tańca!

Teraz Karasia przelękała się już nie na żarty, chciała zdjąć pantofelki, ale — ani sposób: przyrosnięte do nogi!

Zerwała pończochy, a buciki zostały i nie mogła przestać tańczyć ani na minutę.

Przebiegła las, tańcząc, potem pola, łąki; tańczyła w dzień i w nocy, podczas burzy i upału, ale w nocy najgorzej było.

Zmęczyła się już strasznie, nogi ją bolały, a tutaj ani chwili wypoczynku. Schroniła się na cmentarz, lecz i tu tańczyć musi pomiędzy grobami; chce usiąść na którym, — napróżno, nadaremnie! Ach, choćby w kościele chwilę wypoczynku!

Ale we drzwiach świątyni ujrzała białego anioła, ze skrzydłami u ramion i mieczem w prawicy, jak anioł we drzwiach raj.

— Idź sobie tańczyć — rzekł jej głosem smutnym — skoro nic niema dla ciebie na świecie oprócz zabawy i stroju! Idź tańczyć — dodał groźnie — skoro nie pamiętasz...

Dalej nie słyszała, gdyż czerwone buciki uniosły ją tymczasem z przed kościoła na drogę, het, przez pola, dalej, dalej, dalej, jak wiatr, kręcący się w kółko bez końca.

Wtem usłyszała smutny śpiew i dzwony: ze znanego jej domu wynoszono trumnę, obsypaną kwiatami. Dobra pani już nie żyła!

Wtedy Karusia pojęła, dlaczego anioł Boży nie wpuścił jej dziś do kościoła. Była przeklętą, przeklętą, przeklętą! Sam Pan Bóg ją odtrącił od swojego progu.

Ale tańczyć musiała. Tańczyć w dzień i w nocy, po ostrych cierniach i twardych kamieniach, które jej nogi krwawiły boleśnie.

Ach, wypoczynku!

Wtem ujrzała domek, stojący na uboczu w ciemnym lesie. Zapewne kat tu mieszkał.

Zapukała w okno.

— Wyjdź, wyjdź do mnie! — wołała. Ja wejść nie mogę do ciebie, muszę tu tańczyć, tańczyć bez wytchnienia.

— Nie wiesz chyba, kto jestem — odpowiedział jej głos z chaty — że pukasz do mnie. Ja ścinam ludziom głowy, jeśli zasługują na to; czy słyszysz, jak mój topór zadzwonił na ścianie?

— Nie ścinaj mi głowy — rzekła ze smutkiem Karusia — bo chcę pierwiej odpokutować za grzechy, ale utnij mi nogi, żebym nie tańczyła więcej, utnij razem z czerwonymi bucikami.

I kat uciął jej nogi razem z czerwonymi bucikami, które nie zatrzymały się ani na chwilę, ale tańczyły dalej, unosząc przez pola małe nóżki Karusi.

A kat wystrugał jej nogi drewniane, niebardzo zgrabne, ciężkie, które szły powoli i chętnie się zatrzymywały. Nauczył ją także psalmu pokutnego, jaki śpiewają grzesznicy od czasów króla Dawida, i posła Karusia przez step, przez las, przez pole.

— No, teraz wycierpiałam już dosyć za grzechy — pomyślała. — Pójdę wreszcie do kościoła, żeby widzieli ludzie, że jestem pobożną i że Bóg mię nie odepchnął.

I skierowała się w stronę kościoła, ale przy bramie czerwone buciki ukazały się przed nią razem z jej nogami, tańcząc bez wypoczynku. Zawstydzona i przelęta i poszła znów w inną stronę.

Tak upłynął cały tydzień. Karusia płakała i smuciła się bardzo, — lecz w niedzielę pomyślała:

— Teraz już napewno nacierpiałam się dosyć. Tyle łez wylałam! Bóg mi przebaczył, niech to wszyscy widzą.. Lecz przed kościołem czerwone buciki tańczyły znowu. Kiedy je ujrzała, zakryła oczy i uciekła prędko, bo poznała ciężkie swe winy.

Usiadła w ciemnym lesie i myślała nad sobą długo, długo. Bóg i ludzie wyświadczyli jej tyle dobrego, a ona czy spełniła chociaż jeden obowiązek? Co dobrego zrobiła w życiu? Co dobrego?

Przed wieczorem zapukała do plebanii i prosiła pokornie, aby ją przyjęto do służby. Obiecała pracować pilnie i wytrwale, nie dla pieniędzy i nie dla nagrody, lecz żeby dach pocziwy mieć nad głową i dobrych ludzi koło siebie.

Zlitowano się nad nią i wysłuchano jej prośby. Służyła więc na plebanii, pracowała, modliła się i rozmyślała nad sobą i swoją winą.

W niedzielę poszli wszyscy do kościoła, lecz ona iść nie chciała. Ze łzami w oczach patrzyła za nimi z daleka, a potem zamknęła się w swojej maleńkiej izdebce, gdzie prócz łóżka i krzesła nic stanąć nie mogło, i modlić się zaczęła z głębi serca.

Wtem w uroczystej ciszy usłyszała głos organów i śpiew pobożny. Ogromne

wzruszenie ogarnęło ją nagle, łzy popłynęły z oczu.

— O Boże, o Boże! ulituj się nade mną! — wyszeptała cicho. — Zlituj się, Boże dobry!

Jakaś ogromna światłość zajaśniała przed nią. Podniosła oczy: ach, to anioł Boży o jasnych skrzydłach! Ale zamiast miecza w ręku ma różdżkę zieloną, kwitnącą, pełną róż świeżych. Dotknął ją sufitu — i ten się podniósł w sklepienie wysokie i okrył złotymi gwiazdami; dotknął ścian — i rozszerzyły się na wszystkie strony i ujrzała przed sobą znany ołtarz, księdza, znane obrazy, ławki, kościół cały, pełen modlących się, pobożnych ludzi.

Czy kościół przyszedł do niej, do malej izdebki? Czy ją na skrzydłach przeniósł anioł Boży?

Nic nie wiedziała i nic nie widziała. Była szczęśliwą tylko, była pewną, że Bóg przebaczył jej winy i znowu ma Ojca w niebie i braci na ziemi.

Dobry Bóg, miłosierny!

Organy brzmiały uroczyście i poważnie, chór głosów ludzkich płynął pod sklepienie, słońce świeciło tak jasno i ciepło przez wysokie okna, a złote blaski padały na ławkę Karusi. I była tak szczęśliwą! Zbytek radości przepełniał jej serce i wielka miłość Boga, miłość ludzi i tyle uczuć, że ach, nie pomieści ich serce ludzkie!

Serce Karusi pękło ze zbytku radości, a dusza popłynęła spokojnie po jasnych promieniach słońca wprosi aż przed tron Boga. Tam będzie szczęśliwa, — czerwone buciki nie staną nigdy więcej na jej drodze.

Z JEDNEGO GNIAZDA.

Pięć ziarn grochu leżało w jednym strąku. Wszystkie były zielone, więc zdawało im się, że cały świat powinien być zielony. To bardzo naturalne.

Strączek rósł, ziarna także; mieściły się w nim, jak mogły, ustawivszy się w jednym szeregu.

Słońce świeciło i ogrzewało strączek, deszcz go obmywał. Stawał się też coraz większy i błyszczący, jasny w dzień, ciemny w nocy, jak wypada. Ziarna też stawały się z każdym dniem większe, poważniejsze i coraz bardziej zamyślane, bo nie miały nic innego do roboty.

— Czyż tu wiecznie siedzieć będziemy? — zapytało jedno nakoniec. — Stwardniejemy od takiego ciągłego siedzenia. Tak dłużej być nie może! pływają jednak tygodnie, a nic się nie zmieniło, tylko ziarnka pożółkły i strączek był żółty.

— Cały świat będzie żółty — rzekło jedno i było to bardzo trafne spostrzeżenie.

Nagle uczuły jakieś gwałtowne wstrząśnienie: oderwano strączek od łodyżki, przez chwilę ręka ludzka ścisnęła go w zamkniętej dłoni, potem w towarzystwie wielu innych strączków znalazł się w ciemnej kieszeni.

— Zaraz nam otworzą — powiedziały ziarnka, — i zgadły.

— Teraz zobaczymy, które z nas najdalej polecą w świat — odezwało się ziarnko najmniejsze. — Teraz się to okaże!

— Co się stać ma, to się stanie — rzekło drugie. — Bóg nad nami.

Trr! — strączek się otworzył i wszystkie pięć ziarenek ujrzały światło dzienne.

Leżały w ręku chłopca, który im się przypatrywał, a następnie oznajmił, że będą doskonałe do jego pukawki.

To mówiąc, wsypał je wszystkie od razu i wystrzelił.

— Lecę w świat! Doścignij mię, jeżeli możesz! — zawołało jedno ziarnko.

— Ja do słońca dolecę! To jest także strączek i właśnie taki, jakiego pragnąłem dla siebie.

— My spać pójdziemy — szepnęły dwa inne i potoczyły się na ziemię.

— Ja niewiele potrzebuję — rzekło piąte i wzleciawszy w powietrze, upadło w szparę deski pod oknem poddasza, gdzie było trochę ziemi i mchu zielonego, który otulił gościa.

Więc leżało znowu w niewoli.

— Złe przemija — szepnęło.

W izdebce pod dachem mieszkała uboga kobieta, która zarabiała jako najemnica, więc wychodziła codziennie od rana, paliła ludziom w piecach, myła i sprzątała, gdyż była pracowitą i silną. W pokoiku zostawała jednak jej córeczka, dziecko wątłe i słabowite, a od roku tak słabe, że prawie nie podnosiło się z łóżka.

— Pójdzie za siostrą — smutnie powtarzała matka, która niedawno jeszcze

miała dwoje dzieci, lecz Bóg jedno jej zabrał, może dlatego, aby ulżyć jej w ciężkiej pracy.

Chora dziewczynka sama w ubogiej izdebce przez cały dzień leżała, gdyż nie miała siły się podnieść. A matka musiała pracować.

Wiosenny ranek zaświtał na świecie wesoły i słoneczny, złociste promienie zajrzały na poddasze przez maleńkie szybki, jakby chciały zobaczyć, czy ludzie śpią jeszcze. Biedna kobieta właśnie wychodziła z domu.

— Mamo — rzekła dziewczynka — patrzno, co to do nas zagląda w okno takie jasne i zielone? Tam, przez najniższą szybę! O, wiatr niem porusza!

Były to małe, zielone listeczki, które wyrosły z ziarnka grochu, ukrytego pod mchem w szparze deski.

— Skąd ono się tu wzięło? — mówiła kobieta. — Będiesz miała teraz za oknem ogródek, który cię rozweseli nieraz i zabawi.

I przysunęła łóżko dziecka do okienka, aby lepiej widziało młodą, zieloną roślinkę, ciekawie zaglądadającą przez szybę.

Potem wyszła na dzień cały.

Wieczorem dziewczynka wesoło ją witała.

— Wiesz, mamo — rzekła — pewno wyzdrowieję wkrótce. Słońce tak ślicznie dzisiaj tu świeciło, tak nas ogrzewało troskliwie. Groszek mi w oczach wypuszcza listeczki, rozwija się i rośnie i ja tak samo czuję w sobie nowe siły i chyba niedługo już wstanę.

— Dalby Bóg — rzekła matka, ale temu nie wierzyła. Wetknęła jednak patyczek za deskę, aby młoda roślinka, która tak wesołe nasuwała myśli jej choremu dziecku, miała się o co oprzeć. Potem przywiązała cienkie sznureczki do ramy okienka, by miała po czym piąć swoją łodyżkę ta dobra pocieszycielka samotnicy.

Groszek rósł szybko, dziewczynka codziennie opowiadała matce o jego piękności, o nowych listkach.

— Doprawdy, zakwitnie! — zawołała pewnego ranka ucieszona kobieta, która już sama zaczynała wierzyć, że jej dziecko odzyska zdrowie.

Widziała, że od chwili, gdy groszek zajrzał przez małe okienko, chora ożywiła się ogromnie, a od kilku dni sama siadała na łóżku, ażeby lepiej widzieć maleńki ogródek z jednego ziarnka grochu!

W kilka dni później była niedziela, — pogoda. Dziewczynka wstała z łóżka i usiadła przy otwartym oknie na krzeselku, w ciepłych promieniach słońca, a jasne jej oczy z radością i pieśczołą patrzyły na białe, śliczne kwiatki grochu.

Nakoniec wstała z krzesła, oparła się o ramę okna i całowała kwiaty i listeczki ukochanej rośliny. Była wtedy bardzo szczęśliwą.

— Bóg ją tu dla nas posiał — rzekła matka. — Chciał nam dać poznać, że o nas pamięta. I uśmiechnęła się także do kwiatka.

A co się siało z innymi groszkami?

Jeden upadł na dach i gołąb go połknął; jeden upadł na ścieżkę i został zdeptany, potem kury go zjadły; jeden potoczył się w krzaki, ciepło mu tam było pod suchymi liśćmi i wilgotno, więc namokł i wypuścił kiełek, żeby rosnąć, — tymczasem śnieg spadł i zmarniał biedaczek od chłodu. Ostatni wpadł do wody, napił się jej bardzo wiele i był niezmiernie dumny ze swojej wielkości, aż w końcu pękł.

Żadne ziarnko się nie zmarnowało, gdyż nic się nie marnuje na tym świecie, każde przyniosło komuś choć mały pożytek, lecz groszek na poddaszu był zwiastunem szczęścia.

SOSNA.

Rosła w lesie Sosenka, mała, ale śliczna. Miała też dobre miejsce: dużo powietrza, słońca i przyjemne towarzystwo starszych od siebie jodełek i sosen. Dobrze jej było, a jednak marzyła ciągle tylko o tem, aby wyrosnąć i być dużą, wielką. Nic jej przez to nie cieszyło: ani piękne słońce, ani powietrze czyste, a pachnące, ani zabawy dzieci wiejskich, które przychodziły tu zbierać jagody. Biegały wtedy, śmiejąc się, dokoła drzewka, rozmawiały wesoło, albo siadały z pełnym garnuszkiem na ziemi i nawlekały czerwone poziomki, niby korale, na cieniutką słomkę.

— Jaka ta mała choinka prześliczna — mówiły często, ale drzewko tylko się o to gniewało.

Długo też jeszcze będę taką małą? — myślało sobie. Gdyby umiało westchnąć, pewnoby wzdychało, ale na to było zawcześnie.

W następnym roku było znacznie większe; i znowu rok upłynął i znowu przybyło mu gałęzi i wysokości. Aż poweselało.

— Ach, jakbym chciała już być taka duża, jak inne

sosny! — mówiła do siebie. — Wtedybym rozpostarła szeroko konary, a z wierzchołka mogłabym patrzeć w świat daleko! Ptaki stałyby gniazda na moich gałęziach, które kołysałabym poważnie, wspaniale, z każdym powiewem wiatru! Tak, jak inne drzewa.

I znów zaczęło tęsknić i martwić się o to, że tak powoli rośnie. Nie cieszyło go ani słońce jasne, ani wesołe ptaki, ani purpurowe i złote chmurki, wieczorem i rano po błękitnem niebie płynące.

Potem nadeszła zima i śnieg biały grubo pokrył dokoła ziemię, iskrząc się w słońcu, jak drobne dyamenty. Wówczas Sosenka zmniejszyła się bardzo, zaledwo wystawała z tej białej pierzynki i nieraz się zdarzyło, iż zając przeskoczył ją w biegu. O, wtedy była strasznie oburzona!

Dwie zimy upłynęło znów, ale na trzecią Sosenka była już taka wysoka, że zające musiały obiegać ją wkoło. To było dla niej wielką przyjemnością.

— Ach, rosnać, rosnać, rosnać! — powtarzała. — Być wielką i wspaniałą, to jedyna rozkosz, której pragnę bezustannie.

W jesieni zwykle zjawiali się drwale z mocnymi siekierami i padały wtedy najpiękniejsze jodły i sosny. Powtarzała się ta historia każdego roku, a młode drzewka drżały, patrząc na to. Bo też widok był smutny. Najwspanialsze drzewa z trzaskiem, z łoskotem padały na ziemię, obcinano im piękne, zielone konary i stawały się dziwnie długie, wąskie, nagie; prawie nie można ich było już poznać. Następnie ludzie kładli je na wozy i wywozili z lasu, niewiadomo dokąd.

Co się potem z niemi działo?

Kiedy jaskółki wróciły na wiosnę i poważne bociany, drzewka dopytywały ich

ciekawie.

— Czy nie wiecie, gdzie się znajdują nasze siostry? Dokąd je wywieziono? Czyście nie spotkały ich w drodze?

Jaskółki nie wiedziały o niczym, lecz bocian jeden zastanowił się nad tym pytaniem, a pomyślawszy chwilę, skinął głową:

— Tak, tak, widziałem. Widziałem na morzu wielkie okręty, kiedyśmy leciały z Egiptu. Na okrętach wznosiły się maszty olbrzymie: to one były! Poznałem nasze sosny po zapachu. Trzeba im powinszować: po królewsku wyglądały!

— Ach, kiedyż ja wyrosnę tak wysoka, żebym mogła pływać po morzu! — zawołała z żalem Sosenka. — Ale co to naprawdę znaczy morze i jak ono wygląda?

— Za długo byłoby ci tłumaczyć takie rzeczy, moja droga — rzekł bocian i oddalił się poważnie.

Promienie słońca serdecznym uściskiem objęły młode drzewko.

— Nie marz o dalekiej wielkości — mówiły — ciesz się tym, co posiadasz. Dziękuj Bogu za młodość, za siły, za zdrowie, za życie, które w tobie krąży.

Wietrzyk całował sosnę i pieścił zielone jej igły; rosa płakała nad nią; ale drzewko nie rozumiało tego wcale.

Przyszła zima.

Około świąt Bożego Narodzenia znowu schodzili się do lasu ludzie i wycinali teraz małe drzewka, nieraz mniejsze i młodsze od naszej Sosenki. Patrzała ona też na nie z zazdrością: jada w świat, tak daleko! Nikt nie obcina im pięknych gałęzi, wywożą je wraz z niemi, takie śliczne, świeże!

— I dokąd je wywożą? I dlaczego? Są między niemi zupełnie maleńkie! I dlaczego nie obcinają im gałęzi?

— My to wiemy! My to wiemy! — zaświergotały wróble. — Widzieliśmy je tam w mieście przez okna! Wiemy, dokąd one jada! Świetny los je czeka, coś nadzwyczajnego! Tego nawet dobrze opisać nie można. Ale widziałyśmy je same przez okna: rosną tam na środku ciepłego pokoju, ozdobione świeczkami, błyskotkami, rumianami jabłkami, piernikami, — ach, co za los wspaniały!

— A potem? — rzekła sosna, drżąc z ciekawości i wzruszenia. — Cóż się potem z niemi dzieje?

— Więcej nic nie widziałyśmy. Ale to było prześlicznie, prześlicznie!

— Ach, jakżebym pragnęła doczekać się takiego szczęścia! — westchnęło z żalem drzewko wszystkimi igłami. — To piękniejsze jeszcze niż podróż po morzu. Jakże tęsknię do miasta, do ludzi, jak mi tutaj smutno! Może już niedaleko Boże Narodzenie, — jestem taka duża i ładna, może mię zetną w tym roku nareszcie! O, chciałabym już leżeć z innymi na wozie! O, chciałabym już rosnąć w ciepłym, jasnym pokoju, z całą tą świetnością, która się opisać nie da!

— A potem?... Potem nastąpi zapewne coś jeszcze piękniejszego, jeszcze wspanialszego, pocóżby nas inaczej tak strojono? Tak, tak, to początek jeszcze większego szczęścia, którego nawet odgadnąć nie umiem. Ach, co nas czeka w

mieście! Tęsknię do tej chwili, — pragnę, aby nadeszła!

Ciesz się słońcem i powietrzem — szepnęły jej bledsze, ale życzliwe promienie. — Ciesz się młodością swoją, ciesz się życiem!

Ale Sosenka cieszyć się tem nie umiała, rosta tylko i rosta, jak mogła najprędzej. Igły miała pachnące i ciemno-zielone, a pień prosty jak strzała. Ludzie, patrząc na nią, mówili:

— Co za śliczne drzewko!

Na Boże Narodzenie ścięli ją też najpierwszą. Ostra siekiera wśliznęła się jej aż do serca i drzewko padło z westchnieniem na biały śnieg brylantowy. Ból ją przeniknął straszny i zemdlała. Rozumie się, iż zapomniała, że to jej szczęście upragnione; skoro przyszła do siebie, czuła tylko, iż się rozstaje na zawsze ze swym rodzinnym lasem, z pnem, z którego wyrosła; że nie zobaczy więcej kochanych drzew starych, które ją otaczały od dzieciństwa, ani zielonych krzaków i choinek, z którymi się wychowała, ani świeżych kwiatów znajomych na wiosnę, ani ptasząt, śpiewających tak wesoło. Bolesne było pożegnanie, smutny odjazd.

Ocknęła się dopiero wtedy z tego smutku, gdy na podwórzu, gdzie ją wraz z innymi choinkami złożono, usłyszała mówiącego jakiegoś człowieka, który wskazywał na nią.

— Śliczne drzewko, tę biorę.

I natychmiast dwóch ludzi w pięknych sukniach ze świecącymi guzikami, zaniósł ją do wielkiego, pięknego pokoju.

Ciepło tu było, niby w lecie. Na ścianach wisiały ogromne obrazy w ramach złocistych jak słońce, koło pieca stały wielkie wazy chińskie, na pokrywach których spoczywały lwy poważne; były tam bujające krzesła i meble jedwabiem pokryte, na stołach pełno książek z obrazkami i tysiące kosztownych cacek.

Ustawiono drzewko na środku pokoju, w dużym drewnianym naczyniu, pełnem piasku, ale tego niebyło widać, gdyż naczynie osłonięto zieloną materyą, a pod niem na podłodze był kwiecisty kobierzec. Wtedy dopiero zaczęła Sosenka odczuwać znowu szczęście. Drżała z radości! Co to z nią będzie teraz? Panienki i służba przystrajały ją i zdobiły na wyścigi; wieszano na jej zielonych gałązkach siatki złociste, pełne prześlicznych cukierków, pierniki, jabłka złocone, orzechy, różnobarwne błyskotki i cukierki, nici złote i srebrne, podobne do promieni słońca, cudowne lalki, podobne do dzieci, świeczki i ptaszki, a na najwyższej gałązce umieszczono gwiazdę srebrzystą!

Wyglądała tak wspaniale, że naprawdę opisać trudno; wróble miały słuszność zupełną.

— Wieczorem będzie daleko piękniejsza, gdy zapalimy świeczki — mówiono dokoła, a drzewko traciło przytomność ze szczęścia.

— Ach, żeby ten wieczór nadszedł już! — wzdychało. — Ach, żeby zapalono moje świeczki! I co to wtedy będzie? Co się stanie? Może sosny przyjdą z lasu patrzeć na mnie? A wróble będą zaglądały w okna! I wszyscy podziwiać będą moją piękność i moje szczęście! A potem? Czy tu wrosnę mocno w to naczynie i stać

będzie lato i zimę takapiękna i strojna!

Pięknie marzyła sobie o przyszłości, ale tymczasem bolała ją kora, a tęsknota za lasem sam rdzeń przenikała.

To nic — myślała sosna — to przeminie. Wieczorem zapalono na niej świeczki. Co za blask! Co za jasność! Nic podobnego jeszcze w życiu nie widziała! Wszystkie gałązki jej drżały ze szczęścia, tak, że na jednej zapaliły się igiełki. To zabolęło ją mocno.

— Pali się! Pali! — zawołały panienki i ogień ugaszono zaraz.

Zmartwiło to Sosenkę: w tem miejscu była ciemną i spaloną, to wcale nieprzyjemnie; chciałyby cała tonąć w jasnym blasku, jak podczas lata w słonecznych promieniach.

Wtem otworzono szerokie podwoje i do pokoju wpadło mnóstwo dzieci, biegnąc prosto do drzewka, jakby je chciały przewrócić. Starsi postępowali za nimi poważnie. Na mgnienie oka stanęła gromadka zdumiona i milcząca przed jarzącą sosną, lecz zaraz wybuchnęła takim krzykiem, że szyby w oknach zadrżały z przestachu. Teraz się zaczął taniec wkoło drzewka, z którego wśród okrzyków zachwytu, co chwila zdejmowano jakieś cacko, czy błyskotkę.

— Co oni robią? — myślała Sosenka. — I cóż to będzie?

Świeczki płonęły jasno, ale zmniejszały się prędko i coraz trzeba było gasić którą, aby się nie zapaliła gałązka. Nakoniec dano dzieciom pozwolenie zabrać zdrzewka, co im się tylko podoba. Straszne rzeczy, z jaką chciwością rzuciły się do rabunku! Aż gałęzie trzeszczały. I gdyby Sosenka nie była przymocowaną do sufitu, byłyby ją niezawodnie przewróciły.

Potem tańczyły wkoło z zabawkami i przysmaczkami, które z drzewka oberwały, a na choinkę nikt już nie spoglądał, oprócz starej piastunki, która delikatnie podnosiła gałązki, aby się przekonać, czy gdzie nie zostało jabłko lub cukierek.

— Bajeczki! bajeczki, dziadziu! — zaczęły wołać dzieci i ciągnęły do drzewka niskiego staruszka, który też usiadł pod niem.

— Teraz jesteśmy w lesie! — rzekł wesoło. — Niechże i drzewko naszej historii posłucha, może mu się to przyda. Ale jedną wam tylko dziś bajkę opowiem, więc o czym chcecie: czy o Rum-Trum rozbójniku, czy o kulawym chłopcu, który spadł ze schodów, ale się potem ożenił z księżniczką?

— O Rum-Trum rozbójniku!

— O kulawym chłopcu! — krzyczały dzieci na wyścigi.

Sosna tylko milczała, myśląc sobie: co to ma wszystko znaczyć? I co ze mną dalej będzie?

A tymczasem dziadunio zaczął opowiadać o kulawym chłopcu, który spadł ze schodów, ale został mężem księżniczki.

Dzieci klaskały w ręce i krzyczały. Chciały potem koniecznie historii o rozbójniku, ale usłyszały dzisiaj tylko jedną.

A drzewko stało cicho i myślało: o tem mi ptaszki w lesie nigdy nie opowiadały. Kulawy chłopczyk spadł ze schodów, a potem się ożenił z księżniczką! Więc to tak bywa na tym świecie! Nie można wątpić, skoro opowiada taki poważny i siwy staruszek. Ha, któż to może wiedzieć! Nikt swego losu nie przewidzi, może i ja też spadnę tu kiedy ze schodów, a potem się użenię z księżniczką.

I zasnęło z miłą nadzieją, że jutro znowu będą przystrajać je cukierkami, świeczkami i złotem.

— Jutro będę jeszcze szczęśliwsza — myślała. — Będę się jeszcze bardziej cieszyła tem wszystkim. A potem znów wysłucham bajki o kulawym chłopcu, a może o rozbójniku.

Całą noc o tem rozmyślała sosna; nazajutrz z rana służba weszła do pokoju.

— Przyszli mię stroić — szepnęło drzewko.

Ale zamiast tego, wyniesiono ją z pokoju, zwleczono ze schodów i umieszczono w jakimś ciemnym kącie, gdzie nie dochodziło wcale światło dzienne.

Co to ma znaczyć? — rzekła do siebie Sosenka. — Co ja tu robić będę? Co ja tu usłyszę?

Przytuliła się do muru i myślała, myślała długo... A czasu miała dosyć, gdyż dni i noce upływały, a nikt do niej nie przychodził. Raz wszedł ktoś, ale po to, żeby postawić przed nią wielką skrzynię. Teraz była tak ukryta, iż mogła sobie wyobrazić, że wszyscy o niej zapomnieli.

— To dlatego, że teraz zima — pocieszała się w tej ciemności. — Ziemia jest twarda i śniegiem pokryta, nie mogą mię zasadzić i trzymają w tem schronieniu aż do wiosny. Jak to mądrze obmyślane! przekonywam się coraz lepiej, że ludzie są bardzo dobrzy i rozumni! Szkoda tylko, że tu tak ciemno i okropnie pusto. Żeby chociaż zajaczka można było zobaczyć czasem! W lesie było bardzo ładnie w zimie na białym śniegu, kiedy zajaczki skakały dokoła, a czasem przeskakiwały i przeze mnie. Ale wtedy nie mogłam znosić tego! Tutaj okropnie pusto i samotnie.

— Pi, pi! — odezwała się nieśmiało myszka.

— Pi, pi! — odpowiedziała jej druga. Wysunęły się obie z niewidzialnej norki i zaczęły wachać drzewko, obchodząc je dookoła. Wkońcu wsunęły się między gałązki.

— Strasznie zimno — rzekła jedna. — Ale tutaj nieźle, prawda, moja staruszeko z lasu?

— Nie jestem wcale stara — rzekła sosna — wiele znam drzew, starszych ode mnie daleko.

— A skąd się tutaj wzięłaś? — zapytały myszy. — I co wiesz? Co widziałaś?

Były obydwie niezmiernie ciekawe i zasypywały drzewko pytaniami.

— Opowiedz nam o wszystkim, co widziałaś na świecie? Gdzie jest najpiękniej? Gdzie jest najprzyjemniej? A czy byłaś w spiżarni, gdzie sery leżą na półkach, a szynki wiszą wysoko na sznurach? Tam jest pięknie! Tam można tańczyć koło sadła; tam najchudsza upaść się może wybornie!

— Nie znam spiżarni — rzekło drzewko — ale widziałam las piękny, gdzie słońce świeci wesoło na sosny zielone i małe kwiatki; gdzie ptaszki śpiewają przyjemnie przez całe lato.

I zaczęła opowiadać im o swej młodości, o lesie, słońcu, jaskółkach, bocianach, — myszy nic podobnego dotąd nie słyszały i nadziwić się nie mogły.

— Ach, jak ty dużo widziałaś na świecie! — powtarzały co chwila. — Jakie to wszystko piękne! Jak szczęśliwą być musiałaś w tym pachnącym lesie!

— Szczęśliwą? — powtórzyła sosna ze zdziwieniem i pomyślała trochę nad tem wszystkim, co mówiła przed chwilą. — Tak, w gruncie rzeczy były to czasy przyjemne — dodała wreszcie — ale —

Zaczęła opowiadać teraz co innego: jak ją ustawiono w prześlicznym pokoju, przystrojono błyskotkami i świeczkami, jak koło niej tańczono i śpiewano.

— Ileż ty szczęścia doznałaś już w życiu, dobra staruszko! — dziwiły się myszy.

— Nie jestem wcale stara — broniła się sosna — dopiero tej zimy z lasu mię zabrano. Przez to przestałam rosnąć.

— Ślicznie opowiadasz — zachwycaly się obie.

Następnej nocy znowu odwiedziły drzewko, a z niemi razem cztery inne myszy, które też chciały posłuchać ciekawych opowieści.

Sosenka opowiadała, a im dłużej mówiła, im więcej przypominała sobie własne życie, tem przyjemniejszym jej się wydawało.

— To były dobre czasy — szeptała z westchnieniem — ale mogą powrócić; kulawy chłopiec spadł ze schodów, a przecież ożenił się potem z księżniczką. Może i dla mnie także księżniczka przeznaczona!

Przyszła jej na myśl młoda, śliczna, zielona brzoźka, która rosła tam w lesie; była ona prawdopodobnie księżniczką.

— Co to za kulawy chłopiec? — dopytywały myszy. Sosna opowiedziała im całą historję, każde słowo pamiętała doskonale, — a myszy były tak szczęśliwe, że biegały jak szalone po gałązkach, prawie do samego wierzchołka.

Następnej nocy przyszło ich daleko więcej, a w niedzielę nawet dwa szczury.

Lecz ci panowie osądzili, że historia nie jest bardzo zajmująca, a to zmartwiło myszki, gdyż odtąd i one uważały ją za mniej piękną.

— Czy tylko jedną umiesz bajkę? — dopytywały szczury.

— Tylko tę jedną. Wysłuchałam jej podczas najpiękniejszego wieczoru w mem życiu; nie wiedziałam wtedy nawet, jak szczęśliwą jestem.

— To bardzo głupia bajka. A nie umiesz żadnej o słoninco, o łoju? Żadnej zajmującej, ciekawej, o spiżarni?

— Nie — odparło drzewko.

— To dziękujemy za tę! — mruknęły szczury pogardliwie i wróciły do swego towarzystwa.

Myszy zostały chwilę, ale wkrótce odeszły także, a sosenka westchnęła

smutnie.

— Lubiłam im opowiadać — szepnęła do siebie — lubiłam, kiedy kręciły się po mnie. — Ha, trudno. Wszystko mija. Trzeba się cieszyć nadzieją, że już niedługo chyba muszą mię stąd zabrać.

— Ale kiedy?

Nadszedł na koniec ten dzień pożądany, przyszli ludzie i zaczęli porządkować w komórce. Wielką skrzynię wysunęli, drzewko wyciągnęli z kąta, rzucili na podłogę niezbyt delikatnie, potem służący ściągnął ją ze schodów na podwórze i zostawił.

Dzień był jasny, słońce świeciło prześlicznie.

— Więc znowu żyć zaczynam — pomyślało drzewko, czując świeże powietrze i ciepło słoneczne.

Tak prędko się znalazło na podwórzu, że nie miało czasu nawet spojrzeć na siebie, — tyle było do widzenia naokoło! Podwórze przylegało do ogrodu, w którym wszystko zieleniło się i kwitło: róże jaśniały na giętkich gałązkach, rozlewając zapach cudowny, pachniały lipy, jaskółki latały, świerkając głośno: Kiwit! Kiwit! — Patrzcie! Patrzcie!

Lecz nie sosna je zajmowała.

— Teraz znowu żyć zaczę — cieszyło się drzewko, prostując i wyciągając zgniecione gałązki, — ale niestety, teraz dopiero spostrzegło, iż były one żółte, suche, prawie nagie. Leżało na śmietniku, między zielskiem i pokrzywami, tylko srebrzysta gwiazda na wierzchołku świeciła w promieniach słońca.

Po podwórzu biegały dzieci, te same, które w wieczór wigilijny tańczyły wkoło drzewka. Jedno spostrzegło jasną gwiazdę na sosence.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołało — co znalazłem na brzydkiej, pożółkłej choince!

I aby zerwać gwiazdę, stąpał po gałęziach, które łamały się pod nim.

Drzewko spojrzało na ogród zielony, na kwiaty różnobarwne, jaśniejące w słońcu; potem na siebie. I zapragnęło wrócić do ciemnego kąta, zostać w nim zapomniane, niewidzialne dla nikogo.

Lecz w pamięci stanęły mu lata młodości, las zielony, znajome jodły i Sosenki; potem wigilia, stroje; potem myszki małe, długie opowiadania i bajka o chłopcu kulawym...

Wszystko, wszystko minęło... Wszystko minęło, wszystko!... I nie powróci...

Jakiś człowiek połamał drzewko na kawałki, pomagając sobie siekierą; całą wiązkę gałęzi zaniósł przed ognisko, nad którym wisiał wielki kocień; i rzucał jedno drzewko po drugim na ogień, rzucał do ostatniego. A każde z kolei wzdychało głęboko, gdy ogarniał je płomień gorący, i westchnienie to podobnym było do wystrzału.

— Pif! paf! — wołały dzieci, klaszcząc w ręce i biegając koło ogniska. Za chwilę zatrzymywały się znowu, ażeby spojrzeć na ogniste strzały i cieszyć się bez końca.

Ale płonące drzewko westchnieniami temi żegnało własne życie: żegnało las

piękny, zielony, świeży w blasku słońca, cichy w nocy pod niebem gwiazdzistem; żegnało piękny wieczór wigilijny i wszystką radość swoją i nadzieję; żegnało bajkę o kulawym chłopcu, jedyną, jaką w tem życiu słyszało i umiało opowiadać.

I spłonęła ostatnia gałązka Sosenki.

Dzieci wesoło bawiły się w ogrodzie, najmłodszy chłopczyk przypiął niby order gwiazdę srebrną do piersi i walczył z pokrzywami jak waleczny rycerz.

O choince zapomniano. Nikt nie myślał o niej. Skończyła się jej powieść, jak kończy się wszystko na świecie; nic nie może trwać wiecznie.

ANIOŁ.

Kiedy dobre dziecię umiera na ziemi, zstępuje z nieba biały anioł boży, łagodnie bierze je w ramiona, rozpościera jasne skrzydła i unosi czystą duszyczkę do Boga. Na pożegnanie przelatuje cicho ponad temi miej scami, które dziecię za życia lubiło, i zrywa najpiękniejsze, najmilsze mu kwiaty, aby na tamtym świecie jeszcze piękniej kwitły. Dobry Bóg bierze je z ręki anioła i przyciska do serca, a na najdroższym dla dzieciny kwiatku składa pocałunek. Wtedy zaczyna on także śpiewać chwałę Bożą wraz z jasnymi aniołami.

Tak opowiadał anioł czystej duszy dziecka, którą uniósł do nieba; a dziecię go słuchało niby we śnie. Przelatywali cicho niewidzialni nad pięknym miastem, w którym mieszkało za życia i nad ogrodem, pełnym ślicznych kwiatów.

— Które chcesz zabrać z sobą, aby je mieć w niebie? — zapytał anioł.

Na jednym z klombów rośla piękna róża, lecz ktoś ją złamał i biedne gałązki wisały smutnie, pełne wpółrozwitych pączków, które więdnąć zaczęły.

— Biedna róża — rzekło dziecię. — Zabierzmy ją, w niebie odżyje na nowo.

I anioł zerwał różę, a na czole dziecka złożył leciuchny, słodki pocałunek, tak słodki, że dziecina nawpół podniosła znużone powieki i uśmiechnęła się do niego.

Zerwali potem jeszcze wiele kwiatów i nietylko wspaniałe, ogrodowe, ale i skromne jaskry, polne bratki i niezapominajki.

— No, mamy dosyć kwiatów — rzekło dziecię i anioł skinął głową, ale nie wzleciał ku niebu.

Była to noc pogodna, jasna, bardzo cicha; płynęli niewidzialni ponad wielkim miastem, lecz minęli piękne, bogate ulice i anioł zwrócił lot srebrzystych skrzydeł w stronę ciasnego, ciemnego zaułka, pełnego śmieci, słomy i popiołu. Na środku uliczki leżały skorupy potłuczonych garnków, talerzy, gałgany, kawałki kapeluszy — nie było to piękne.

Anioł patrzył na ziemię uważnie i wskazał czystej duszyczce dzieciny skorupę stłuczonej doniczki od kwiatka, obok której leżała sucha grudka ziemi z lichą, zwiędłą roślinką. Widocznie usechł jakiś skromny kwiatek i wyrzucono go razem z doniczką na śmiecie.

— Zabierzmy go — rzekł anioł, — gdy lecieć będziemy już teraz wprost do Boga, opowiem ci o tej roślince.

I mówić zaczął:

— Tutaj, w tej wąskiej uliczce, w piwnicznej izbie ubogiego domu, mieszkał biedny, chory chłopczyk. Od lat najmłodszych nie wstawał z postania: był kaleką. Kiedy czuł się lepiej, mógł przejść parę razy ciasną izdebkę przy pomocy szcudeł; dla niego była to wielka wyprawa. Podczas pogodnych dni letnich niekiedy ciepłe promienie słońca przenikały aż do nędznej izdebki i padały jasną, ciepłą smugą na podłogę. Wtedy chory chłopczyk siadał w ciepłym blasku i patrzył na swe chude

palce, przez które przeświecała krew różowa. To się nazywało, że był dzisiaj na przechadzce.

— Nie znał on lasu, ani jego zieloności i świeżej woni, słyszał o nim tylko, gdyż raz syn sąsiada przyniósł mu zieloną gałązkę. Biedny kaleka zawiesił ją sobie nad głową i zdawało mu się, że siedzi w lesie pod drzewami, słońce prześwieca przez liście zielone, ptaki śpiewają, pachną leśne kwiaty...

— Innego dnia przyniósł mu chłopczyk sąsiada kwiatek polny, przypadkiem wyrwany z korzeniem. Zasadzono go w ziemię w stłuczonej doniczce, lecz przyjął się szczęśliwie, zaczął wypuszczać listki i odtąd kwitnął co roku na wiosnę.

— Co to była za radość, co za szczęście! Doniczka stała na jedynym oknie, wprost postania kaleki i mógł patrzeć zawsze na ten wspaniały swój ogród kwiatowy.

Był to jedyny skarb jego na ziemi. Podlewał też roślinkę, pielęgnował i troszczył się, ażeby każdy promyk słońca, który przenikał do nędznej piwnicy, ogrzewał kwiatek swem ożywcem ciepłem.

— I polny kwiatek zdawał się wzajemnie dla niego tylko rozwijać się, kwitnąć, rozlewać woń leciuchną. Cieszył oczy dziecka, radował jego serce. Chłopczyk kochał go bardzo i na niego zwrócił ostatnie spojrzenie, kiedy ten świat opuszczał.

— Od roku biedny na ziemi kaleka jest szczęśliwym aniołem w niebie; od roku zapomniany kwiatek stał na oknie, zwiędł, usechł i ze śmieciami wyrzucono go wkońcu na ulicę. Myśmy go dziś podnieśli, biedny, zwiędły kwiatek, bo więcej on radości rozlał na tym świecie, niż najpiękniejsze, najwspanialsze kwiaty królewskiego ogrodu!

— A skąd ty wiesz to wszystko? — zapytało dziecię, które niósł anioł Boży.

— Wiem — odparł anioł — gdyż byłem tym biednym kaleką, który umarł w ciasnej izdebce. Więc znam mój kwiatek drogi!

Dziecię szeroko otworzyło oczy i patrzyło w promienną, jasną twarz anioła; wtem otworzyło się niebo przed nimi i wpłynęli do kraju wiecznej szczęśliwości.

Bóg przycisnął do serca duszę zmarłego dziecięcia i natychmiast skrzydełka strzeliły jej z ramion i uleciała ku innym aniołkom, które krążyły wkoło, szczęśliwe, szczęśliwe, śpiewając cudne pieśni.

Bóg przycisnął do serca przyniesione kwiaty, aby odżyły tutaj piękne i szczęśliwe; lecz do ust poniósł tylko zwiędły kwiatek polny, który natychmiast zaczął śpiewać z aniołami, otaczającymi promienny tron Boga. A było ich tak wiele, taka nieskończona mnogość, bliżej i dalej, dalej, gdzie wzrok już nie sięga, a wszyscy równo jaśni i szczęśliwi.

Wszyscy śpiewali razem pieśń cudowną, z którą nie mogą równać się pieśni tej ziemi; śpiewały ją czyste dusze zmarłych dzieci i biedny kwiatek polny, wyrzucony ze śmieciami na ulicę.

SYRENA.

Hen, daleko od brzegów, aż na środku morza, gdzie nie widać, tylko błękit nad falami, gdzie woda przezroczysta, jak kryształ najczystszy, a ciemno szafirowa, jak bławatek, jest głębia niezmierna, otchłań tak głęboka, iż żaden okręt tutaj przystanąć nie może, bo kotwica dna nie dosięgnie.

W tej niezgłębionej otchłani mieszkały piękne Syreny.

Dno piaszczyste i równe pokrywały lasy dziwacznych drzew i roślin, wysmukłych a giętkich, drżących za najlżejszym poruszeniem wody, jak żyjące istoty. Pośród drzew przemykały się rybki figlarne, wielkie i małe, zatrzymując się niekiedy na gałązkach, niby ptaki na drzewach. A na najgłębszym miejscu stał pałac królewski.

Wspaniały to był pałac władcy morza: mury z koralu, okna bursztynowe, a dach z perłowych muszli, które się otwierały albo zamykały, ażeby wpuszczać lub wypuszczać wodę. W każdej zaś muszli, perły jaśniały kosztowne, tak wielkie, jakich żaden z monarchów na ziemi nie posiada w swym skarbcu.

W tym pałacu zamieszkiwał król morza z rodziną. Przed wielu laty owdowiał i odtąd matka jego wychowywała mu córki. Była to pani bardzo poważna i mądra, lecz tak dumna ze swego rodu, że nosiła dwanaście ostryg na ogonie, kiedy najdostojniejszym w królestwie osobom tylko sześć takich ozdób wolno było sobie przypinać. Zresztą zasługiwała na wielkie uznanie, szczególnie za troskliwość, z jaką się zajęła wychowaniem powierzonych sobie wnuczek.

Księżniczek było sześć, a wszystkie piękne, lecz najmłodsza ze wszystkich najpiękniejsza. Przecudne złote włosy okalały twarzyczkę delikatną, niby płatek róży, oczy błękitne jak najgłębsza woda, a zamiast nóg, mieniący się srebrem i złotem, łuską pokryty ogon.

Przez cały dzień Syreny igrały wesoło w koralowych salach ojcowskiego zamku, których ściany okrywały żywe kwiaty. Otwierano wtedy bursztynowe okna i rybki jak jaskółki wpływały do środka, jadły z rąk księżniczek i pieściły się z niemi.

Dokoła zamku był ogród wspaniały, pełen ognistych i błękitnych kwiatów; liście na drzewach były jak płomień, owoce, niby złoto, błyszczące, zmienne, w ciągłym ruchu, niby żywe. Grunt stanowił piasek bardzo drobny, błękitnawy jak płomień siarki; wewnątrz zaś wód napełniał jakiś blask łagodny, lekko błękitny, a taki przejrzysty, iż zdawaćby się mogło, że to głębia nieba, nie otchłań morską. W dni pogodne widać było w górze słońce, niby kwiat purpurowy, z którego kielicha płyną promienie światła.

Każda z księżniczek miała w tym ogrodzie własne grządki, które uprawiała sama, podług swojego gustu. Więc jedna swoim klombom dała kształty wieloryba, druga syreny, a najmłodsza słońca, i zasadziła na nich kwiaty purpurowe, promienisto rozstrzelające się ze środka.

Dziwne to było dziecko, ta mała królewna, zawsze ciche, zamyślane; gdy inne

siostry dzieliły się chciwie skarbami z rozbitego o skały okrętu, ona wybrała sobie tylko marmurowy, prześliczny posąg chłopca. Umieściła go następnie w ogrodzie na swojej grządce, pod płaczącą wierzbą o purpurowych liściach i złotych gałązkach. Wierzba rozrosła się z czasem cudownie, jej delikatne i giętkie warkocze spływały aż do ziemi, na piasek błękitny, a poruszając się, tworzyły na nim ruchome plamy ciemnego fioletu; wyglądało to, jakby gałązki igrały z nieruchomymi korzeniami drzewa i chciały się z nimi całować.

Nie było dla niej większej przyjemności, jak słuchać opowiadania o ludziach. Babka po tysiąc razy musiała powtarzać wszystko, co sama wiedziała o świecie, o okrętach, miastach, ludziach i zwierzętach. Najbardziej zachwycało ją to, że na ziemi kwiaty wydają zapach, lasy są zielone, a rybki, które w nich żyją, śpiewają. Jak tam musi być ślicznie i rozkosznie! Łatwo domyślić się można, że rybkami matka królewska nazywała nasze ptaki, gdyż inaczej nie mogła nazwać zrozumiale stworzeń, których niema w morzu.

— Każda z was to zobaczy — mówiła im zwykle — gdy skończy lat piętnaście. Wtedy będziecie mogły wypływać nocami na powierzchnię morza i przy blasku księżyca patrzeć na okręty, odległe miasta, lasy. Własnymi oczyma ujrzycie wtedy ludzi, poznacie świat inny.

Najstarsza siostra kończyła właśnie rok piętnasty, ale każda następna o rok młodszą była od swojej poprzedniczki, a tym sposobem najmłodsza Syrena jeszcze pięć lat musiała oczekiwać chwili wypłynięcia z głębiny na powierzchnię. Lecz siostry przyrzekły sobie opowiadać wszystko, co zobaczą na górze, co im się dnia pierwszego najlepiej podoba, co im się zdarzy.

Powieści babki im nie wystarczały: zawsze te same, nie zaspakajały wcale ich ciekawości i tysiąca pytań, na które odpowiedzieć nikt nie umiał.

A najciekawszą z nich była najmłodsza, która jeszcze najdłuższy czas czekać musiała. Może dlatego taką była cichą i jakby zadumaną, czy tęskniącą. W nocy stawała w oknie i przez ciemne wody patrzyła w górę i smutnym spojrzeniem ściagała rybki, pluskające w fali. Niekiedy dostrzegała księżyc albo gwiazdy, błyszczące słabym i niepewnym blaskiem, lecz znacznie powiększone. Niekiedy ciemny obłok niespodzianie zakrywał przed jej wzrokiem gwiazdziste sklepienie i znikał znów za chwilę: wiedziała wtedy, że nad nią przepłynął wieloryb, lub okręt pełen ludzi. Ludzie płynęli nad nią, lecz nie domyślali się, że w głębi morza młoda Syrena z tęsknotą gorącą wyciąga ku nim ręce.

Nakoniec z sióstr najstarsza w dniu swoich urodzin pierwszy raz wypłynęła na powierzchnię morza.

Gdy powróciła, miała tysiąc wrażeń do opowieści ale najmiłszem jej się wydawało, leżeć w blasku księżyca na piaszczystej ławie, wśród spokojnego morza, i patrzeć z daleka na wielkie miasta po brzegach odległych, błyszczące tysiącami świateł, jak gwiazdami, — słuchać dalekiej muzyki i wrzawy, turkotu wozów, gwaru ludzkiej niowy i głosu dzwonów kościelnych...

Siostry słuchały wszystkie zachwycone, najmłodsza tylko księżniczka milczała. A potem późno w noc stała przy oknie i przez ciemne wody patrzyła ku górze,

myśląc o wielkich miastach, pełnych wrzawy i turkotu, połyskujących tysiącami świateł, i o kościelnych dzwonach, których głos daleki zdawał się płynąć aż do niej przez fale.

Następnego roku druga siostra mogła znowu wypłynąć na powierzchnię wody. Ta wynurzyła się z morskiej otchłani w chwili, gdy słońce miało tonąć w morzu, i ta chwila wydała jej się najpiękniejszą. Niebo jaśniało, niby złoto roztopione, a piękności obłoków opisać się nie da. Żłociste, purpurowe i blado-różowe, płynęły w stronę słońca, a pomiędzy nimi przeciągał długi, biały sznur dzikich łabędzi. Chciała płynąć wraz z nimi, lecz gwiazda ognista właśnie skryła się w morzu, a wraz z nią zagasty blaski fal i obłoków, pociemniało wszystko.

Trzecia księżniczka była odważniejsza, to też nie zatrzymała się na pełnym morzu, lecz popłynęła aż do ujścia wielkiej, szerokiej rzeki. Tutaj ujrzała zielone winnice, rozpostarte na wzgórzach, zamki i pałace, wynurzające się z leśnej gęstwiny, słyszała głosy ptaków. Słońce paliło tak mocno, że nieraz musiała się zanurzać w chłodnej wodzie, aby odświeżyć trochę twarz i ciało. W małej zatoce spostrzegła gromadkę pluskających się dzieci. Były nagie, blado-różowe, a zamiast rybiego ogona, miały po dwie podpórki do biegania, — pływały jednak doskonale. Chciała się z nimi pobawić, lecz zaraz uciekły przestraszone, gdy ją zobaczyły, a jakieś czarne zwierzę rzuciło się ku niej, ujadając tak strasznie, że uciekła na pełne morze.

Ale nie zapomni tych wspaniałych lasów, winnic zielonych, głosu ptasząt i dzieci ludzkich, tak wesoło pluskających się w wodzie, chociaż miały tylko dwie proste podpórki zamiast pięknego rybiego ogona.

Czwarta z sióstr, najmniej śmiała, wolała pozostać na pełnym morzu. Ono wydało jej się najpiękniejszym. Dokoła widok rozległy, bez końca, a nad nią niebo, niby dzwon błękitny. Zdala widziała żagle statków, niby skrzydlate mewy, delfiny pluskały się wkoło na falach, a wieloryby wyrzucały z nozdrzy w górę bijące, potężne fontanny.

Urodziny piątej siostry przypadają w zimie, zobaczyła też ona rzeczy całkiem nowe, niepodobne do tego, co inne widziały. Gdy wychyliła głowę na powierzchnię, ujrzała morze dokoła zielone, a po nim, niby perły, pływały olbrzymie góry lodowe, większe niż kościelne wieże, dziwacznych kształtów, a błyszczące w słońcu niby dyamenty. Usiadła na najwyższej, skąd mogła spojrzeniem objąć przestrzeń bez końca. I zaczęła śpiewać. Wiatr igrał z jej długimi, złotymi włosami, a strwożeni żeglarze odwracali oczy i odpływali śpiesznie w inną stronę.

Lecz przed wieczorem niebo pociemniało, pokryło się chmurami; grom rozległ się ponury, jasne błyskawice, jak złote węże, rozdzierały czarne masy obłoków, a morze wzburzone piętrzyło się falami, podnosząc wysoko lodowe skały, mieniące się w świetle ognistych błyskawic. Na okrętach zwijano żagle, przerażenie ogarnęło marynarzy. Ale ona siedziała spokojnie na górze, wichrem pędzonej, i patrzyła śmiało na błyskawice, w chmurach szalejące, i szalejące na morzu bałwany.

Zachwyty jednak wszystkich sióstr zazwyczaj niedługo trwały. Każda z tęsknotą czekała godziny, w której wypłynie na powierzchnię morza, każda wracała

szczęśliwa i dumna, opowiadając nieskończone dziwy o doznanych wrażeniach, ale w krótkim czasie przestawały ją zajmować te wycieczki. I po miesiącu każda zapewniała, że mimo wszystko, najpiękniej jest w domu, na dnie morza, w otchłani.

Niekiedy przed wieczorem starsze siostry wyływały razem na powierzchnię wody, trzymając się za ręce i śpiewając głośno. Głosy miały przecudne i kiedy spostrzegły, że zbliżała się burza i niejeden okręt zginie zapewne wśród walki żywiołów, podływały do statków, aby słodkim śpiewem uspokoić żeglarzy, mówiąc im, jak pięknie tam, na dnie morza, w królestwie ich ojca. Lecz majtkowie śpiewu ich nie rozumieli, brali go za szum burzy i bardziej trwożyli się jeszcze; a piękności otchłani nie poznali także, bo gdy okręt się rozbił, tonęli i tylko martwe ich zwłoki przynosiły fale do królewskiego pałacu z koralami.

A gdy tak siostry wieczorem wesoło, ująwszy się za ręce, płynęły ku górze, młoda Syrena zostawała sama i stojąc w oknie, patrzyła za nimi. I było jej tak smutno, że chciałyby płakać, ale płakać nie mogła, Syrena łez nie ma i dlatego cierpi bardziej od człowieka.

— Ach, kiedyż skończę już te lat piętnaście! — mówiła sobie. — Kiedyż ujrzę ludzi i świat ten cały, za którym tak tęsknię, który tak kocham, choć nie wiem, dlaczego?...

Nadszedł наконец ten dzień uroczysty.

— Jesteś dorosłą — rzekła do niej babka, matka królewska — możesz wypłynąć na górę, ale cię muszę przedtem ubrać odpowiednio. Jesteś księżniczką.

I umieściła jej na złotych włosach wieniec liliowy, lecz nie z żywych kwiatów, o, kosztowniejszy! Każdy płatek kwiatu stanowiło pół perły olbrzymiej, bezcennej; — a na ogonie babka przypięła jej osiem srebrzystych ostryg, jak na królową przystoi.

— Och, jak to boli! — skarżyła się mała.

— Trudno, moja droga, — jesteś księżniczką przecie i o tem pamiętać powinnaś; godność twoja wymaga pewnego przymusu.

Syrena tylko westchnęła cichutko. Onaby chętnie odrzuciła cały ten ciężki przepych, tę koronę z lilii perłowych, ona wolałaby lekki wianuszek z kwiatów swojego ogródka, — lecz — jest księżniczką!

Westchnęła znowu, ale spojrzała na babkę i uśmiechnęła się. Po co ją smucić? Za to, że dobra, że taka troskliwa?

— Bądźcie zdrowi, najdrożsi! — rzekła i leciuchno, niby powietrzna bańka, podniosła się w górę.

Słońce już zaszło, kiedy wychyliła głowę z wilgotnej fali, lecz obłoki jeszcze płonęły żywym złotem i purpurą ponad zachodem, a na wschodniej stronie już migotała na ciemnym błękitcie gwiazda wieczorna. Powietrze było świeże, czyste i spokojne i Syrenka odetchnęła niem pierwszy raz w życiu z niepojętą rozkoszą.

Lecz oto na fali ujrzała okręt, piękny trójmasztowiec; żagle były zwinięte, gdyż najłżejszy wietrzyk nie poruszał powietrza i nie mącił gładkiej powierzchni wody. Tylko z najwyższego masztu spływała jasna flaga. Na pokładzie za to roło się od

ludzi, majtkowie siedzieli na rejach i linach, muzyka grała, śpiew głużył ją czasem. Ściemniło się; na statku błysnęły światełka, coraz ich więcej, na dole i w górze, różnobarwne, jaśniejące wśród ciemności jak tajemnicze znaki. O, jak ich dużo! Statek jaśnieje i gore, rozlewa blask dokoła. Jakże nie przyjrzeć się z bliska?

Syrena podpłynęła do okna kajuty, a ile razy woda się podniosła, mogła zajrzeć do środka przez szyby przejrzyste. I tułaj pełno ludzi, — wszyscy strojni, piękni, lecz najpiękniejszy z nich młody Królewicz o wielkich, czarnych oczach i dobrym uśmiechu. Jakiż on piękny, jak musi być dobry! I jaki młody! nie ma więcej nad lat szesnaście, muszą być w równym wieku; jakżeby chciała zbliżyć się do niego, przemówić ludzkim głosem!

Nie wiedziała, że na okręcie obchodzono urodziny Królewicza i stąd zabawa, tańce. Na pokładzie wesoło tańczyli majtkowie, a gdy książę wyszedł z kajuty, tysiące rakiet błysnęło w powietrzu i dzień się zrobił nagle. Przerazona Syrena skryła się pod wodę, lecz wypłynęła zaraz i wydało jej się, że z ciemnego nieba spadają w morze wszystkie gwiazdy złote. Nic podobnego nigdy nie widziała!

A to nie koniec: coraz coś nowego, — to złote słońce rozpryska się w górze, płyną ogniste ryby, gwiazdy, wstęgi, a wszystko się odbija w spokojnej, lustrzanej powierzchni oceanu. Co za cuda, cuda! Na pokładzie tak jasno, że nietylko ludzi, ale najcieńszą linę widać z dala. A ludzie tacy piękni. Książę najpiękniejszy, uśmiecha się, życzliwie ściska dłonie majtków, a muzyka rozbrzmiewa i płynie po fali hen, daleko.

Noc płynie, lecz księżniczka zapomniała o tem, nie myśli o powrocie, nie może oderwać oczą od ludzi, i od Królewicza. Różnobarwne światła zagasty na statku, nie strzelają rakiety, nie słychać muzyki i śpiewu, lecz w głębi morza szum jakiś się zrywa i płynie z dala stłumiony, a groźny. Syrena położyła się na sienie fali i kołysze się lekko, a ile razy woda ją podniesie, zagląda w okna kajuty książęcej.

Okręt tymczasem poruszył się z miejsca i posuwa się dalej, — wiatr nadyma żagle, fale wzbierają coraz potężniejsze, biegną z głuchym pomrukiem, piętrzą się i wznoszą, błysnęło w oddaleniu. Burza idzie.

Okręt mknie coraz szybciej, a Syrena za nim, ani na chwilę nie spuszcza go z oczu, bawi ją taka podróż, cieszy ta gonitwa.

Na pokładzie ruch wzrasta, majtkowie zwijają rozpięte żagle, przeciągają liny, gotują się do walki. Statek mknie jak strzała pośród czarnych gór wodnych, które go podnoszą na szczyt spienionych bałwanów, to znowu strącają w przepaść. Ryk już nie ustaje, bałwany uderzają o siebie z łoskotem, piętrzą się białe grzywy na ich karkach, z trzaskiem padają w nie złote pioruny.

A okręt mknie i ginie, wlatuje i tonie, jak błyskawica. Syrena śpieszy za nim, ach, jak jej wesoło! Lecz nie wesoło żeglarzom na statku: okręt się słania, trzeszczy, fale uderzają o jego boki z gniewem i wściekłością, rzucają nim jak piłką, wreszcie maszt wielki pada, złamany niby trzcina, okręt pochyla się na bok, woda wdiera się do środka.

Jeszcze chwila — zatonie. Syrena poznała teraz niebezpieczeństwo, sama strzedz się musi od padających szczątków rozbitego masztu, strzaskanych belek,

rei, które woda niesie i uderza o siebie. A dokoła ciemno, jak w najciemniejszej głębi w noc pochmurną; to znowu błyskawica olśniewa jasnością i widać jak w dzień jasny, najdrobniejszy szczegół. Syrena wzrok natężyła, pragnie przeniknąć ciemności: drży o ludzi, o księcia.

Znowu błyskawica, piorun uderza w kadłub rozbitego statku, wstrząsa nim, — krzyk rozpaczony, — okręt się zanurza, już nie wypłynie.

A ludzie! — Królewicz!

W pierwszej chwili z radością prawie pomyślała, że idą do niej, do domu jej ojca, ale natychmiast stanęło jej w myśli, że tam widziała zawsze tylko martwe zwłoki. Ludzie widocznie żyć w wodzie nie mogą, a więc — ratunku!

I nie myśląc więcej o własnym życiu, rzuca się na fale, pomiędzy belki i odłamki masztów, chciałyby wszystkich ocalić od śmierci, ale sił nie ma. A książkę? A Królewicz? Jego choć znaleźć musi! Taki młody jeszcze, miałby umierać? O nie! Ona przecież jemu choć pomoc okazać potrafi, jego ratować będzie!

Tylko go znaleźć trzeba.

Więc szuka z zapalem, zanurza się w odmęty, rozbija bałwany, błaga o pomoc jasnej błyskawicy.

Spostrzega go nareszcie, kiedy wyczerpany, bezsilny, sztywny, z zamkniętymi oczyma, nie mając siły dłużej opierać się śmierci, zapadał w otchłań. Syrena pochwyciła go w ramiona i łagodnie, jak dziecko, wyniosła z głębi na powierzchnię. Tu odpoczęła. Niechaj ją fale niosą gdzie im się podoba, ona jak matka piastuje topielca i czuwa nad nim. Teraz już nie zginie.

Nad ranem uspokoiła się burza, uśmierzyły bałwany i rozpierzchły chmury. Na wygładzonej toni nie widać i śladu wspaniałego okrętu, — na spokojnym niebie jaśnieje złote słońce. Blask jego pada na twarz Królewicza i zdaje się oblewać ją życiem, lecz oczy pozostają zamknięte. Czyżby go nie ocaliła?

Biedna Syrena z trwogą pochyliła się nad nim, odgarnia mokre włosy z wysokiego czoła i kładzie na niem słodki pocałunek.

— Obudź się — mówi — tylu was zginęło, — serce mię boli, kiedy o tem wspomnę, żyj choć ty jeden, taki młody, taki piękny! Tyle lat do was tęskniłam, do ludzi, tak was kochałam, nie znając, — dzisiaj Kocham was więcej, — a ciebie najbardziej. Więc nie możesz umierać.

Przyszedł jej na myśl posąg marmurowy, stojący w jej ogródku i wydało jej się, że młody książkę bardzo do niego podobny. Żeby żył tylko. Lecz cóż ona może uczynić więcej, aby przywrócić mu życie?

Wtem z daleka ujrziała ląd, — góry wysokie, śniegiem okryte, jak białe łabędzie, śpiące pod obłokami. A niżej, na wybrzeżu, gaje zielone, cieniste, wśród których mury kościołka czy zamku białeły, otoczone zielenią pomarańcz i cytryn z owocami złocistymi. U bram ogrodu wznosiły się palmy wysmukłe, dumne, a nieco opodal morze tworzyło tu małą zatokę, spokojną lecz głęboką. Wpłynawszy do niej, Syrena złożyła ciało młodzieńca na gorącym piasku, tak, aby słońce padało na głowę, którą oparła wyżej.

Głos dzwonka rozległ się z białego domu, ukrytego w zieleni, i w tej samej chwili gromadka dziewcząt wbiegła do ogrodu. Ujrzawszy je, Syrena zostawiła księcia, a sama odpłynęła za skały nadbrzeżne, zarzuciła na włosy welon białej piany i niewidzialna, patrzyła, co dalej stanie się z Królewiczem.

Wkrótce jedna z dziewcząt zwróciła się w tę stronę i z wesołym śpiewem biegła ku brzegowi. Nagle spostrzegła ciało. Krzyknęła z przestachu i zaczęła uciekać, lecz zaraz powróciła, by zawołać ludzi. Otoczono młodzieńca, zaczęto go trzeźwić i Syrena widziała, jak otworzył oczy, jak się uśmiechał z wdzięcznością do ludzi, którzy go tu znaleźli. Nie wiedział, że to ona ocaliła mu życie, więc dla niej tylko jednej nie miał wdzięcznego uśmiechu, — i smutno jej to było.

Widziała, jak go potem wprowadzono do białego budynku pomiędzy drzewami i odgadując, że go prędko nie zobaczy, zanurzyła się w morzu.

Siostry powitały ją z wielką radością, babka uśmiechnęła się zadowolona, gdyż wszyscy niepokoić się już zaczęli, że nie wraca tak długo. Naturalnie zaczęto pytać o przygody, ale Syrena milczała uparcie. Zawsze bywała cichą, zamyśloną, lecz teraz stała się cichą i smutną, — dlaczego? Nikt nie wiedział.

A mała coraz bardziej tęskniła do księcia, do ludzi. Raz ich tylko widziała, ale zapomnieć nie mogła i źle jej było w ojcowskim pałacu.

Niekiedy wypływała wieczorami i śpieszyła na miejsce, gdzie zostawiła Królewicza, — ale tu pusto było. Ludzie spali nocą. W ogrodzie dojrzewały złociste owoce, — czyjeś ręce zdjęły je z drzew obciążonych, — śnieg strumieniami spłynął z gór wysokich, — ale księcia nie było, ani wieści o nim.

Najulubieńszą jej teraz zabawą było siadać w ogrodzie, naprzeciw posągu, który umieściła pod płaczącą wierzbą, i patrzeć na prześliczne rysy marmurowe pięknego chłopca, który jej tak bardzo przypominał ocalonego człowieka. Czasem zarzucała mu ręce na szyję i opierała swą złocistą główkę o zimny, twardy kamień. Zaniedbała nawet ulubione kwiatki, które rozrosły się dziko i bujnie, oplatały giętkie gałązki wierzbowe i utworzyły wraz z niemi sklepienie, pod którym ciemno było, tajemniczo i dziwnie uroczyście.

Nakoniec biedna Syrenka nie mogła znieść dłużej tajemnicy i tęsknoty, więc się zwierzyła jednej z sióstr. Ta zaraz powiedziała to innym, ale pod sekretem; — te powtórzyły swoim przyjaciółkom, rozumie się, w zaufaniu, a tamte znów nikomu więcej nie mówiły, tylko najbliższym znajomym Syrenom. Jedna z nich знаła kraj, gdzie mieszkał książę, widziała także obchód na okręcie, choć nie ściagała za nim podczas burzy, a teraz się podjęła pokazać Syrenie, gdzie leży państwo Królewicza.

— Więc choć, siostrzyczko — powiedziały starsze i wzięwszy ją za ręce, wypłynęły razem długim szeregiem opodal od brzegu, na którym wznosił się pałac książęcy.

Teraz zbliżały się zwolna, ostrożnie, ciekawie przyglądając się wszystkiemu. Pałac był z jasno-żółtych, błyszczących kamieni, zbudowany wysoko; marmurowe schody prowadziły do ogrodu i nad morze; dokoła wznosiły się wysmukłe kolumny, między którymi stały niby żywe, marmurowe posągi. Dach zdobiły błyszczące, złociste kopuły, a przez wysokie kryształowe okna widać było olbrzymie i wspaniałe

sale, przybrane kosztownymi obrazami, kobiercami i firankami. Pośród największej sali pod szklaną kopułą biła przejrzysta fontanna, rzucając rosę wilgotną na rzadkie rośliny, rosnące dookoła. Tęczowe krople jej w blasku słonecznym napełniały salę czarodziejskim światłem i zdawały się deszczem brylantów i pereł.

Odtąd wiedziała Syrena, gdzie mieszka jej Królewicz i tutaj śpieszyła nocami. Przyplątywała śmiało do samego brzegu, a nawet zapuszczała się w kanał szeroki, który otaczał pałac i siadywała pod otwartym oknem, w cieniu marmurowego balkonu, gdzie trudno było ją dostrzedz. Ona widziała księcia, kiedy się przechadzał w blasku księżyca po dużym tarasie, lub zamyślony siedział przy otwartym oknie, patrząc w gwiazdziste niebo.

Niekiedy widywała go na pięknej łodzi, płynącego z muzyką, pod jedwabnym żaglem. Wtedy kryła się w trzcinę i słuchała chciwie każdego dźwięku; — a gdy wiatr figlarny rzucał na wodę jej przejrzysty welon, to księżę myślał, że łabędź zbudzony prostuje białe skrzydła.

Nieraz słyszała rozmowy rybaków, wypływających z sieciami na morze; chwalili dobroć księcia, którego kochali. A wtedy serce jej drżało z radości, że ona ocaliła mu życie, choć o tem nikt nie wiedział. Przypominała sobie noc ową, i burzę i walkę, śmierć okropną tylu nieszczęśliwych i ocalenie to, radość i smutek.

Coraz więcej kochała ludzi i tęskniła do nich. Chciałaby z nimi zamieszkać na lądzie i nie wracać do morza, gdyż świat ten piękniejszym wydawał jej się od morskich otchłani i pociągał ją z dziwną siłą. A ludzie czyż nie wyżsi byli nieskończenie od wszystkich innych stworzeń? Na okrętach przebywali oceany, wdzierali się na góry, aż ponad obłoki, ich lądy rozciągały się dalej, niż wzrokiem zasięgnąć mogli. A lasy, a pola, a kwiaty cudne, bijące fontanny, gwiazdy i słońce, wszystko tu piękniejsze. Ale nie wszystko jeszcze rozumiała, a wiedzieć chciała wiele; siostry nie umiały odpowiadać na jej ciekawe pytania, więc się udała na koniec do babki. Ona знаła "świat wyższy," jak nazwała sama to, co się znajdowało ponad morzem.

— Czy ludzie wiecznie żyją, jeśli nie utoną? — spytała dnia pewnego. — Czy nie umierają, jak my, Syreny?

— Owszem, moje dziecko — odpowiedziała babka — umierają także, a nawet życie ich krótsze niż nasze. My żyjemy lat trzysta, i dopiero potem zmieniamy się w pianę białą, co stroi bałwany i nie mamy nawet mogiły. Znikamy bezpowrotnie, gdyż nie posiadamy duszy nieśmiertelnej chociaż niewidzialnej. Życie nasze podobne do życia rośliny, do tego oto wodnego sitowia, które złamane, więdnie i czernieje i nie odzyska nigdy zieloności.

— A ludzie mają duszę, która żyje wiecznie, która nie traci życia nawet wtedy, kiedy ich ciało w proch się rozsypie i zgnije. Wtedy ich dusza przez czyste powietrze płynie ku górze, ku gwiazdom błyszczącym. Jak my, wynurzając się z wody, widzimy lądy i miasta i kraje nieznane, tak dusze ludzkie wstępują po śmierci do miejsc, których my ujrzyć nie możemy.

— Ale dlaczego my nie mamy duszy nieśmiertelnej? — spytała ze smutkiem Syrena. — Jabym oddała chętnie setki lat mojego życia, żebym chociaż dzień jeden

mogła być człowiekiem i mieć nadzieję, że po śmierci jeszcze żyć będzie wiecznie w nowym i piękniejszym świecie.

— O tem nie myśl zupełnie, moje dziecko — odrzekła babka. — Na cóż się to zdało? Pociesz się myślą, żeśmy szczęśliwsze od ludzi i więcej od nich warte.

— Kiedy ja nie chcę umrzeć i stać się pianą morską. To byłoby okropne; nie słyszałabym wtedy szumu fali, nie widziałabym kwiatów ani słońca. Nie chcę być pianą morską. Czy niema żadnego sposobu, ażebym zdobyć mogła duszę nieśmiertelną?

— Nie — rzekła babka. — Chyba gdyby człowiek ukochał ciebie więcej, niż ojca i matkę, gdyby zapragnął oddać ci swą duszę, a ksiądz w kościele związałby wam ręce i wysłuchał przysięgi, że odtąd na wieki człowiek ten wiernym ci będzie, — wtedy połowa jego ludzkiej duszy przeniknęłaby w ciebie i byłaby twoją. I mielibyście jedną duszę wspólną, rozdzieloną do końca życia tu na ziemi. — Lecz to się stać nie może! Nasza najpiękniejsza, najwspanialsza ozdoba, śliczny ogon rybi, ludziom wydaje się brzydką, potworną. Nic się na tem nie znają. Dla nich do piękności potrzebne są koniecznie dwa niezgrabne klocki, które nazywają nogami.

Młoda Syrena ze smutkiem spojrzała na swój srebrzysty ogon i westchnęła cicho.

— Nie smuć się — rzekła babka — niema o co. Trzysta lat życia! To doprawdy dosyć, żeby użyć wszystkiego. A potem spoczynek. Póki żyjemy, bawmy się wesoło. Dzisiaj bal dworski.

Bal dworski urządzone z przepychem, jaki ledwo wymarzyć można. Sala balowa była z czystego kryształu, przezroczystego jak najczystsza woda, sklepienie miała także kryształowe. Dokoła szeregami ustawiono setki olbrzymich muszli, purpurowych i zielonych, w których płonął błękitny ogień, tak jasno, iż nietylko sala była oświetloną, lecz i morze dokoła. Przynęcone blaskiem, jakiego w tej niezmiernej głębi nie rozlewał dzień biały, gromady ryb krążyły wzdłuż ścian kryształowych, mieniając się srebrem, złotem i purpurą. Przez środek sali szerokim kanałem płynęła woda morską i po niej płały Syreny. Muzykę zastępował ich śpiew przecudowny, z którym głos ludzki równać się nie może. Czarodziejskie dźwięki napełniały salę, woda pluskała, migotały światła i śmiech srebrzysty wybuchał co chwila.

Młoda Syrena śpiewała z kolei i wszyscy zachwyceni bili ogonami, klaskali w ręce. Tak pięknego głosu nawet pośród Syren dawno, dawno nie słyszano. Wszyscy ją podziwiali i wszyscy chwalili. Na chwilę uczuła się niezmiernie szczęśliwą: więc nikt — nietylko na ziemi, lecz w morzu, nie posiada takiego głosu, jaki jej dała natura? Toż to skarb, toż to szczęście!

Ale cóż jej z tego? Trzysta lat minie i zmieni się w pianę, a głos ucichnie, — nie będzie go więcej. Bo nie ma duszy, nieśmiertelnej duszy!

Przyszedł jej na myśl książę, taki dobry, piękny. On ma duszę, — i za to kochała go bardziej jeszcze niż dotąd.

Ale nie mogła już tańczyć, smutno jej się zrobiło, — wymknęła się z sali i

pośpieszyła do swego ogródka. Tu w cieniu wierzby płaczącej różowej, przy marmurowym posągu człowieka, myślała, jakim szczęściem jest posiadać duszę i żyć na wieki, zamiast zamienić się w pianę.

Potężny głos trąb rozległ się wysoko w górze i głucho odbił się w głębi. Syrena podniosła oczy. Tam nad nią przepływał okręt i ludzie, może to on, Królewicz? O, gdyby ją pokochał tak bardzo, jak ona kochała go, gdyby zapragnął jej oddać połowę duszy — ach, wtedy — wtedy —

— Tak dłużej żyć nie mogę — rzekła nagle — uczynię wszystko, aby zdobyć duszę, — bez niej życie jest niczem.

I wstała cichutko, a kiedy siostry w sali kryształowej płaśały i bawiły się wesoło, ona postanowiła udać się do wiedźmy, której się zawsze bardzo obawiała, lecz która może znajdzie jaką radę i da jej pomoc.

Nie namyślając się, ruszyła w drogę.

Wiedźma morska mieszkała daleko, wśród wirów, ryczących i szumiących straszliwie. Syrena nigdy jeszcze nie przebywała tej drogi, nagiej i smutnej; nie było tu kwiatów ani rośliny żadnej, ani lichej trawki; piasek tylko, kamienie i woda szumiąca i kręcąca się wkoło z taką gwałtownością, że rozkruszała skały na dnie morza, a wszystko, czego dosięgła, łamała i rzucała do środka wiru, w otchłań czarną. Przez ten szalony prąd trzeba przepłynąć, żeby się dostać do królestwa wiedźmy; a tutaj znowu prowadziła ścieżka przez czarne, wstrętne i gorące błoto, poza którym leżał na koniec dom wiedźmy pośród dziwnego lasu. Składały go polipy czyli pół zwierzęta, a pół rośliny, niby wielkie żmije o setkach głów i ramion; każda gałązka była ramieniem polipa, długim i łpkim, z długimi palcami, wijącymi się nakształt glist ogromnych; i cały twór dziwaczny poruszał się ciągle, od ziemi do wierzchołka, węzowymi ruchy, splatając, wyciągając okropne ramiona, które schwytaną zdobycz dusiły natychmiast i nie puszczały więcej.

Syrena stała chwilę przerażona, drżąc cała z trwogi, — serce biło jej gwałtownie i już chciała powrócić, kiedy pomyślała o Królewiczu i o duszy nieśmiertelnej i nabrała odwagi. Zwinęła mocno swoje złote włosy dokoła głowy, aby jej polipy nie pochwyciły za nie, ręce złożyła na piersi i pomknęła hyżo, jak rybka, zręcznie mijając potworne i złośliwe istoty, które wyciągały w jej stronę ramiona, wijące się, straszliwe. I widziała w objęciach ich szkielety ludzi, zwierząt, szczątki statków rozbitych, a nawet Syrenę, która dostała się widać w ich krwawe szpony. To było najstraszniejsze.

Wydostała się wreszcie na wielką, błotnistą polanę pośród lasu, po której pełzało tysiące żmij, zginając swoje żółte brzuchy w szkaradne zwoje. Na środku stał domek wiedźmy, zbudowany z kości topielców. Jędza siedziała na progu z ropuchą, którą z ust swych karmiła; obrzydliwe węże i wszelkie gady cisnęły się do niej, a ona nazywając je swojemi dziećmi i tuliła do czarnej piersi.

— Wiem, po co przyszedłeś do mnie — rzekła zaraz. — Głupie żądanie, lecz spełnię je chętnie, bo nic dobrego stąd dla ciebie nie wyniknie, moja piękna księżniczko! Ha, ha, ha, chcesz się pozbyć rybiego ogona i mieć dwie nogi, ażeby Królewicz mógł cię pokochać i dać ci połowę swej duszy nieśmiertelnej! Ha, ha,

ha! Śmiała się tak okropnie, że ropucha i żmije spadły z jej kolan na błotnistą ziemię i wiły się szkaradnie.

— W samą porę przyszedłeś — zaczęła znowu ze złośliwym wzrokiem — gdybyś spóźniła się o kilka godzin, musiałabyś rok cały czekać na mą pomoc. Ale do wschodu słońca jeszcze dość daleko i mogę przygotować ci potrzebny napój. Popłyniesz z nim do lądu, usiądziesz na brzegu i kiedy ujrysz słońce, wypijesz do kropli. Wtedy twój piękny ogon zmaleje, skurczy się i rozedrze na dwie połowy, z których każda będzie podobną do ludzkiej nogi. Uprzedzam cię jednakże, iż w tej samej chwili uczujesz ból okropny, jak gdyby miecz ostry rozciął ci ciało. I nie ustanie nigdy. Ludzie będą zachwycać się twoją pięknnością, twe ruchy będą lekkie, pełne wdzięku, ale krok każdy będzie ci sprawiać cierpienie, jakbyś stąpała po ostrem żelazie i krwią broczyła stopy. Teraz już wiesz wszystko, — chcesz cierpieć? — żądam.

— Chcę — rzekła Syrena głosem drżącym, myśląc o Królewiczu i o duszy.

— I jeszcze to pamiętaj — zaśmiała się wiedźma — ze skoro raz przybierzesz postać ludzką, nie możesz stać się napowrót Syreną. Nigdy już więcej nie wrócisz do morza, nie zobaczysz sióstr swoich, ojca ani babki, a jeśli cię Królewicz nie pokocha, nad ojca, matkę i ksiądz wam nie zwiąże rąk przed ołtarzem, to nie zdobędziesz duszy nieśmiertelnej! A gdy Królewicz inną zaślubi kobietę, serce ci pęknie i zmienisz się w pianę znikomą.

— Niech się tak stanie — szepnęła księżniczka, blada jak płatek lilii.

— Dobrze, ale musisz zapłacić mi za to — rzekła znów jędza — a to drogi napój i wiele żądać będę. Na ziemi i w morzu niema piękniejszego głosu nad twój i zapewne chciałaś nim oczarować Królewicza; ale głos ten musisz mi oddać. Nic droższego nie masz. Musisz mi nim zapłacić za moją krew własną, z której przyrządzę napój, aby był skuteczny, jak cięcie miecza.

— Więc cóż mi pozostanie — szepnęła Syrena — jeśli mi głos zabierzesz?

— Zostanie ci twarz piękna, ruchy pełne wdzięku i oczy, które przemawiać umieją. To dosyć. No, cóż, straciłaś odwagę? Daj język, utnę ci go na zapłatę i zaraz zrobię napój.

— Niechże tak będzie — rzekła ze smutkiem Syrena.

Wiedźma natychmiast nastawiła kocioł, który wytarła przedtem pękiem gadzin. — Czystość jest rzeczą piękną — powiedziała ze szkaradnym uśmiechem; — przebiła pierś własną i kilka kropel czarnej krwi spłynęło do mieszaniny, która wrzeć zaczęła. Para buchała z kotła ciemnymi kłębam, tworząc dziwaczne i straszne postacie, powietrze napełniły dzikie jęki, a czarownica co chwila rzucała coś jeszcze do kociołka.

Nakoniec ogień zagasł i wszystko ucichło, płyn był gotowy, czysty jak woda źródłana.

— Teraz daj język — zawołała wiedźma. — A tu masz napój. Gdyby cię polipy chciały pochwycić w drodze, rzuć na nie jedną kroplę tego płynu, a ich długie ramiona i palce rozprysną się na tysiące szczątków.

Ale Syrena nie potrzebowała bronić się od polipów, które na widok błyszczącego płynu kryły długie ramiona z największym przestraczem. Tak las przebyła, błota gorące i wiry.

Zatrzymała się przed ojcowskim zamkiem. Bal był skończony, pogaszone światła, wszyscy zapewne spali. Nie śmiała wejść do środka: cóż im powie niema na pożegnanie? Serce pękało jej z żalu. Wstąpiła do ogrodu, zerwała z klombów księżniczek po kwiatku, przesłała im tysiące tkliwych pocałunków i podniosła się w górę.

Słońce nie ukazało się jeszcze nad wodą, kiedy ujrzała pałac Królewicza i wstąpiła na szerokie marmurowe schody. Podniosła oczy na gasnący księżyc, potem wypła napój. Ból ostry i palący przeniknął jej ciało, jak gdyby je przecięto ostrym mieczem i upadła zemdlna.

Gdy się ocknęła, słońce płynęło po niebie, przed nią stał piękny książę. Stał i patrzył zdziwiony na jej pyszne włosy, które osłaniały ją płaszczem złocistym, gdyż żadnej odzieży na sobie nie miała. Spostrzegła jednak zaraz, iż zamiast rybiego ogona, posiada dwie maleńkie nóżki, zgrabne jak u dziecka.

Książę zapytał, skąd się tutaj wzięła, ale nie mogła mu nic odpowiedzieć i tylko smutnie patrzyła na niego błękitnymi oczyma.

Wtedy wziął ją za rękę i zaprowadził do swego pięknego pałacu. Szła obok niego lekka, jak bańka mydlana, ale krok każdy sprawiał jej ból straszny, jakby stąpała po ostrem żelazie.

Wiedźma mówiła prawdę: ludzie podziwiali lekkość jej ruchu, ona tylko jedna wiedziała, jakie sprawia jej cierpienia.

Lecz mniejsza o to, jest tu, obok księcia, którego tak kochała, a może zdobędzie i duszę nieśmiertelną.

Dano jej piękne suknie z cienkiego jedwabiu i gdy się w nie przybrała, wszyscy przyznali z zachwytem, że nie widzieli piękniejszej dziewczyny. Nie mogła tylko śpiewać ani mówić.

Niewolnice, strojne w jedwabie i złoto, śpiewały po kolei przed tronem królewskim, gdzie zasiadł stary monarcha z królową; książę bił im oklaski, dziękował z dobrocią, a Syrena smutnie pochyliła głowę, myśląc o pięknym głosie, który jej zabrano. Książę nie dowiódł się, jaki skarb miała i oddała dobrowolnie, by mogła żyć przy nim, żyć między ludźmi.

Następnie niewolnice tańczyły przy dźwiękach pięknej muzyki; — wówczas i Syrena podniosła rączki w górę i na końcach palców krążyła, lekka jak ptaszek, po sali. Tak nikt tańczyć nie umiał, jej wymowne oczy jaśniały, niby gwiazdy, była tak prześliczną, że wszyscy oniemieli z wielkiego podziwu.

I bili jej oklaski, darzyli uśmiechem, a ona wciąż płynęła po olbrzymiej sali, jakby jej skrzydła wyrosły u ramion. A nikt nie wiedział, jaki ból straszliwy sprawia jej każde najlżejsze stągnięcie.

Nakoniec książę skinął, aby odpoczęła, pogłaskał ją łaskawie po złocistych włosach, powiedział, że ją zatrzyma przy sobie i pozwolił jej sypiać u drzwi swej

komnaty, na aksamitnej czerwonej poduszce.

Królewicz lubił biedne nieme dziewczę, — kazał je zrobić piękną amazonkę i jeździła z nim konno. Na pysznych wierzchowcach mknęli jak wiatr przez pola i łąki zielone, przesuwali się przez lasy cieniste, gdzie na zielonych ścieżkach figlarne gałązki zagradały im drogę. Ptaki śpiewały im pieśni nieznane, kwiaty pachniały, woda szemrała w strumieniu.

To znów wdzierą się z księciem na góry, wyżej i wyżej, choć białe jej nóżki we krwi broczyły i budziły litość. Ona śmiała się z tego i szła coraz wyżej, aż ponad chmury, które płynęły pod nimi, jak stada ptactwa, odlatującego w dalekie kraje.

Za to gdy noc nadeszła i wszyscy zasnęli w zamku królewskim, ona wstawiała cichutko z purpurowej poduszki i biegła nad morze. Tu siadywała smutna na szerokich schodach i zanurzała w chłodnej morskiej wodzie nogi, palące ją niby dwie rany.

I siedząc tak, myślała o swojej ojczyźnie, o wszystkich, których zostawiła w głębi.

Razu jednego wypłynęły z toni wszystkie jej siostry; trzymały się za ręce i śpiewały smutnie, bujając się na fali. Skinęła na nie — poznały ją zaraz i podpłynęły, aby opowiedzieć, jak jej żałują, jak smutno im bez niej.

Odtąd Syreny co noc przyplływały, aby zobaczyć siostrę, a razu jednego ujrzała w dali nawet starą babkę, która już cały wiek nie wypływała z morskiej głębin, i ojca w koronie z ogromnych pereł i krwawych koralii. Oboje wyciągnęli do niej ręce, ale nie śmieli się zbliżyć do lądu, jak młode, odważniejsze siostry.

Codziennie droższem stawało się Królewiczowi nieme dziewczę, które znalazł przed pałacem o wschodzie słońca, co dzień bardziej je kochał, ale tak, jak się kocha miłe, dobre dziecko. O tem, ażeby z niej zrobić królowę, nie myślał nigdy. A przecież musiała być jego żoną, ażeby otrzymać część duszy nieśmiertelnej, inaczej zamieni się w pianę, kiedy on inną zaślubi.

— Czyż mię nie kochasz? — pytały jej oczy, gdy gładził pieśczołtliwie jej włosy złociste, albo całował śliczne, białe czoło. — Czy mię nie kochasz nad wszystko na świecie?

— Kocham cię bardzo — odpowiadał książę — bo masz najlepsze serce i podobną jesteś do dziewczęcia, które widziałem raz tylko i zapewne nigdy więcej nie zobaczę. Płynąłem raz okrętem, który rozbiła burza; fale wyrzuciły mię na brzeg nieznany, u stóp świątyni, gdzie pełniła służbę gromadka dziewcząt. Najmłodsza z nich przypadkiem znalazła mię na piasku i ocaliła mi życie. Widziałem ją tylko dwa razy, ale ją jedną mógłbym kochać na tym świecie więcej, niż wszystkich ludzi. Tyś podobna do niej i przy tobie czasem o niej zapominał. Ona służy w świątyni, więc dla mnie stracona; ty mię pocieszasz po niej i dlatego nigdy nie rozstanę się z tobą.

Więc nie wie, że to ja mu ocaliłam życie! — pomyślała Syrena. — Nie wie, że ja go wyniosłam z wód toni i złożyłam na brzegu, gdzie stała świątynia. Widziałam przecież wszystko, ukryta za skałą, z pianą morską na włosach; widziałam to dziewczę, które kocha więcej ode mnie.

Westchnęła ciężko, lecz płakać nie mogła, — Syreny łez nie mają.

— Ale tamta służy w świątyni, sam mówi; więcej nie spotka jej w życiu zapewne; a ja tu jestem przy nim, widzę go codziennie, kocham go, życie oddałabym chętnie za jego szczęście!

— Królewicz się żeni — zaczęto szeptać w zamku. — Jedzie w odwiedziny do sąsiedniego króla, aby poznać młodą królową. Wesele będzie wkrótce. Jedzie ze swiątą liczną i wspaniałą, na wspaniałym okręcie. Będzie niedługo wesele.

Syrena uśmiechała się na to łagodnie i potrząsała głową; znała lepiej od innych serce Królewicza i wiedziała, co myśli.

— Muszę wypełnić w tem wolę rodziców — powiedział do niej — i odwiedzić króla, sąsiedniego monarchę, który ma piękną córkę. Rodzice pragną, ażebym ją poznał, choć nie mają zamiaru przymuszać mię do małżeństwa. Nie wiedzą, że kocham inną i tej kochać nie mogę. Wolałbym już zaślubić ciebie, złote dziecko, która mi ją tak bardzo przypominasz.

Pogładził złote włosy ślicznego dziewczęcia, ucałował białe jej czoło i uśmiechnął się tak dobrotliwie, iż zaczęła marzyć o niezmiernem szczęściu pozyskania duszy ludzkiej nieśmiertelnej.

— Morza się nie obawiasz, prawda mała? — spytał, kiedy oboje stali na wspaniałym statku i płynęli do państwa sąsiedniego króla. Księżę opowiadał milczącej dziewczynie o przebytych podróżach, burzach, ciszy morskiej, rybach i dziwnych potworach, żyjących na dnie otchłani, które widują nurkowie, — a ona uśmiechała się tylko słuchając: któż lepiej od niej znać mógł tajemnice morza?

W noc księżycową, kiedy wszyscy spali, nie wyłączając sternika przy sterze, wyszła na pokład i patrzyła w głębię przez wodę, przezroczystszą od kryształu. I wydawało jej się, że na dnie spostrzega zamek ojcowski, i babkę w srebrnej koronie na głowie, patrzącą ku niej z wieży przez fale błękitne. W tej chwili siostry wszystkie wypłynęły i zbliżyły się ku niej, łamiąc ręce. Ona skinęła uśmiechnięta na znak, że jest szczęśliwą, lecz chłopiec okrętowy przybliżył się do niej i przestraszone Syreny tak prędko zanurzyły się w wodę, iż nic dostrzedz nie mógł, prócz białej piany morskiej.

Dnia następnego okręt Królewicza wpłynął do portu królewskiej stolicy.

Na powitanie uderzono w dzwony, z wież strażniczych rozległy się trąby donośne, wywieszono z okien flagi narodowe, żołnierze stanęli w szeregach pod bronią. Król był serdeczny, dzień każdy przynosił nowe zabawy i uroczystości: bale, koncerty, wycieczki. Tylko królowy nie było. Mówiono, iż nie wróciła z klasztoru, gdzie była na wychowaniu, aby wyćwiczyć się w cnotach królewskich.

Nakoniec przyjechała.

Nikt trwoźniej i goręcej nie pragnął zobaczyć pięknej królowy, jak młoda Syrena — i ujrzała ją wreszcie: śliczne czarne oczy, ufne i słodkie, twarzyczka dziecięca i dobry uśmiech.

— Jakaż ona piękna! — szepnęła z trwogą, lecz w tej samej chwili serce zamarło w niej i bić przestało.

— To ty! — zawołał z radością Królewicz. — Ty, coś mi życie ocaliła, kiedy leżałem martwy na piaszczystym brzegu! Jakże cię Kocham! Ach, jakżem szczęśliwy!

I przycisnął do piersi narzeczoną, a ojciec jej, król stary, płakał z rozczulenia. Syrena stała blisko i patrzyła. Królewicz zwrócił się do niej z uśmiechem.

— Ciesz się z mojego szczęścia — rzekł radośnie — bo ty Kochasz mię także. Wiem, że mnie Kochasz bardzo.

Biedna Syrena usiłowała się uśmiechnąć, lecz czuła, że jej serce pęka. Więc nie posiadał duszy nieśmiertelnej i wkrótce stanie się pianą znikomą!

Dzwony zabrzmiały znowu, strojni heroldowie przebiegali miasto, ogłaszając radosną wieść o zaręczynach królewskiej pary. Ślub miał się odbyć wkrótce.

Dzień ten nastąpił prędko. Na ołtarzach paliły się wonne kadzidła i kosztowne olejki w lampach srebrnych i kryształowych. Królewska para, strojna w perły i dyamenty, trzymając się za ręce, stanęła przed księdzem, który na zawsze połączył ich dłonie i dał im błogosławieństwo. Syrena w pięknej szacie jedwabnej ze złotem niosła tren panny młodej, ale nie słyszała ani wspaniałej muzyki kościelnej, ani pięknego śpiewu, i nie widziała całej ceremonii, ani ludzi, którzy tłoczyli się wkoło, bo przed nią stała śmierć nieunikniona i szczęście, które utracić musiała.

Tego jeszcze wieczora Królewicz z małżonką odpływał na okręcie, który go tu przywiózł. Cały dwór odprowadzał młodą parę do przystani, z balkonów powiewały chorągwie i kwiaty, brzmiały salwy armatnie.

Podniesiono żagle, wiatr wzdął je lekko i statek pomknął, jak mewa po fali.

Na pokładzie zapalono światła, niby gwiazdy różnobarwne, goście tańczyli wesoło, bawiła się załoga i świta księżęca.

A Syrenie przypomniawszy się wieczór pamiętny, gdy po raz pierwszy wyjrzała z głębin na świat i ludzi. Witawszy go wtedy w podobny sposób, jak dzisiaj go żegna, widziała radość, tańce — i śmierć potem.

I sama tańczyć zaczęła z innymi, krążyła jak jaskółka przed burzą i wszyscy podziwiali zdumieni piękność tego tańca. Każde stąpienie bólu jej sprawiało okrutny, ale go dziś nie czuła, bo serce bardziej ją bolało. Oto ostatni raz w życiu ogląda dobrego księcia, którego tak bardzo kochała, dla którego porzuciła dom ojcowski, opuściła rodzinę, oddała głos swój piękny i cierpiała co dzień nieznośne męki. Po raz ostatni widzi to morze głębokie, gwiazdziste niebo, oddycha powietrzem. Nim słońce wejdzie, ona życie przestanie, — zmieni się w pianę, rozpułynie się w nocy wiecznej i ciemnej i nic z niej nie zostanie, bo nie miała duszy. Nie mogła zdobyć duszy nieśmiertelnej!

Do północy brzmiała muzyka na statku, bawiono się wesoło; biedna Syrena bawiła się razem z innymi, chociaż śmierć miała w sercu.

O północy księżę pożegnał załogę i oddalił się z żoną do namiotu, który umyślnie dla nich urządzono. Światła pogasły zaraz, rozeszli się wszyscy, cisza zapanowała na okręcie i tylko sternik czuwał wytrwale u steru.

Syrena wsparta o poręcz pokładu, patrzyła na wschód, czekając jutrzeńki: stamtąd wystrzeli pierwszy promień słońca, który ją zabić musi.

Wtem ujrzała nad wodą swoje siostry drogie, — płynęły ku niej, — twarze miały blade, wiatr z ich włosami nie igrał figlarnie: były obcięte.

— Oddałyśmy je wiedzście! — zawołały — aby cię uratować. Inaczej musiałabyś umrzeć dziś o wschodzie słońca. Patrz, oto nóż, który nam dała dla ciebie. Patrz, jaki ostry! Zanim słońce wejdzie, musisz nim zabić księcia. A kiedy krew gorąca tryśnie z jego serca na twoje nogi, zrosną się znów w piękny ogon i powrócisz do nas, aby jako Syrena, dożyć szczęśliwie lat trzystu. Tylko śpiesz się, droga! Słońce wzejdzie za chwilę! Babka tak się martwi, że swoje siwe włosy też oddała jędzy. Śpiesz się, najdroższa. Zabij księcia i powracaj. Widzisz różową jutrzeńkę na niebie? Słońce już wschodzi.

Westchnęły głęboko i zanurzyły się w fale błękitne.

Syrena pożegnała je spojrzeniem i udała się do namiotu księcia. Na purpurowym łożu spał spokojnie, z uśmiechem wymawiając przez sen imię żony. Syrena zbladła bardzo i zadrżała, spojrzała na nóż ostry i na twarz śpiącego, ręka jej się podniosła — i opadła. Nie! — odrzuciła zabójcze narzędzie precz, daleko, na fale, a gdzie stał ostrą uderzyła wodę, krew wytrysnęła kroplami wysoko.

Potem pochyliła się cicho nad księciem i dotknęła ustami jego czoła. To pożegnanie. — Spojrzała raz jeszcze i wybiegła z namiotu.

Słońce już ukazało rąbek złotej tarczy — zamknęła oczy i skoczyła w morze.

Na białą pianę morską padły słoneczne promienie i przeniknęły ją światłem i ciepłem, — Syrena ze zdziwieniem uczuła, że żyje, choć ciało jej zniknęło. Ale żyje przecież, bo widzi słońce jasne, a nad sobą rój istot cudnych, świetlanych, przejrzystych, że widać przez nie purpurę obłoków i żagle białe. Śpiewają pieśń, lecz głos ich cudny, melodyjny, tak jest subtelny, że go nie uchwyci ucho człowieka ani żadnego ziemskiego stworzenia, jak oko nie uchwyci ich kształtów powietrznych. Płyną bez skrzydeł, lekkością ciał swoich unoszą się w powietrzu. I Syrena czuje, że sama staje się taką istotą, że z piany morskiej podnosi się ku nim, równie przejrzysta, lekka i subtelna.

— Gdzież jestem? — zapytała radośnie zdziwiona, a głos jej zabrzmiał tak dźwięcznie i słodko, jak nadziemski muzyka.

— Jesteś wśród cór powietrza — odpowiedziały jej lekkie istoty. — Dzieci morza nie mają duszy nieśmiertelnej i zdobyć jej nie mogą własną mocą; tylko miłość człowieka czasem dać ją może, lecz to nie od nich zależy. Córy powietrza też nie mają duszy, ale zdobyć ją mogą przez dobre uczynki. Więc czynimy, co w mocy naszej jest dobrego. Teraz płyniemy do gorących krajów, gdzie zaraza zabija ludzi; tam nieść im będziemy pomoc i ratunek, roznosząc uzdrawiającą woń kwiatów, chłodząc rozpalone od słońca powietrze i wzmacniając orzeźwiającym powiewem chorych i utrudzonych. A która przez lat trzysta, nie ustając w pracy, czyni tyle dobrego, ile tylko może, ta otrzymuje duszę nieśmiertelną, zdolną żyć wiecznie, w wiecznej szczęśliwości, jak dusza ludzka.

— Ty, siostrzyczko nasza, pragnęłaś całym sercem tego szczęścia, kochałaś i cierpiałaś, umiałaś poświęcić własne szczęście i życie dla szczęścia człowieka, więc nie mogłaś zostać tylko pianą morską, i stałaś się córą powietrza, by z nami pracować przez lat trzysta i otrzymać na wieczne szczęście duszę nieśmiertelną.

Słuchając słów tych, Syrena podniosła na Boże słońce rozjaśnione oczy i po raz pierwszy łza w nich zaświeciła. Na statku znowu powstał ruch i życie, — księżę wyszedł z namiotu z młodą żoną, szukano jej, wołano. Królewicz tylko stał smutny na stronie, patrząc na białą pianę na fali zielonej, jakby przeczuwał, że tam się ukryła ta, której wszyscy szukali daremnie.

Syrena uśmiechnęła się do niego, lekki pocałunek złożyła na czole młodej królowej i popłynęła lekko na rubinowy obłok, który niósł jej siostry, dzieci powietrza, w nieznaną przestrzeń.

COŚ.

Nie mam wielkich pretensyi — rzekł najstarszy z pięciu braci — chcę być tylko człowiekiem pożytecznym. Chcę być czemś. Najskromniejsza nawet praca zasługuje na szacunek, bo coś ludziom przynosi. Ot naprzykład zajmę się wyrobem cegły; prosta to rzecz, a potrzebna. I już nie będę niczem: choć cegiełki zostaną po mnie na świadectwo, że czasu nie marnowałem.

— To mi zajęcie! — zaśmiał się brat drugi. — Trudno naprawdę znaleźć coś prostszego, — zwyczajna praca wyrobnika, którą maszyna równie dobrze spełniać może. Co do mnie, inaczej myślę: chcę być czemś rzeczywiście i dlatego obieram rzemiosło mularza. To już zupełnie co innego: na takim stanowisku nie zastąpi mnie martwe narzędzie. I przyszłość także piękna, bo na nią zasłużę, wznosząc ludziom trwałe, i wygodne domy; zostanę z czasem obywatelem miasta, może jakim starszym w radzie albo w cechu, będę miał własną czeladź, dom, każdy się do mnie odezwie z szacunkiem: panie majstrze! To coś znaczy, człowiek czuje, że jest przecie czemś na świecie.

Trzeci brat lekceważąco wzruszył ramionami.

— I ty niewiele żądasz, mój kochany — rzekł z uśmiechem. — Cóż to jest mularz? Prosty rzemieślnik, nic więcej. Iluż to ludzi w mieście patrzeć będzie na ciebie z góry i uważać cię za coś niższego? Za nic prawie, ot jakąś tam mrówkę z mrowiska. Ja mam większe pragnienia, chcę czegoś lepszego, chcę się wznieść wyżej, zostać czerni naprawdę i dlatego postanowiłem obrać zawód budowniczego. To już jest praca wyższa, umysłowa, i nie każdy jest do niej zdolnym. Daje też większe znaczenie temu, kto ją spełniać może. Prawda, że będę musiał przetrwać ciężki termin: włożyć bluzę i czapkę, usługiwać czeladnikom, którzy mi będą jako "chłopc" rozkazywać — ale to się przecie skończy. Wyobrażę sobie na czas pewien, że wszyscy odgrywamy komedię i basta! A potem pójdę sobie swoją drogą, wstąpię do akademii i otrzymam stopień architekta! To już coś znaczy, znaczy nawet bardzo wiele. Z czasem mogę zostać i wielmożnym panem... Wszyscy się do mnie zwracają o plany, powierzają roboty, a ja nimi kieruję, rysuję, buduję i tak dalej do końca życia. To nazywam być czemś na świecie.

— A ja to nazywam: być niczem — rzekł czwarty. — Cóż w twojej pracy jest twego własnego? Nauczono cię w szkole zasad, które potem stosujesz znowu podług przepisanych wskazówek, reguł i zwyczaju. Mnieby to nie wystarczało. Ja chcę sam z siebie tworzyć, czy rozumiesz? Stworzyć coś, czego dotąd niema jeszcze. Stworzyć nowy sposób budowania domów, nowe kształty, przepisy, ściśle zastosowane do klimatu i innych warunków miejscowych, do materiału, jaki mam pod ręką, do wzrastających wciąż wymagań ludzi. To będzie moje dzieło, będzie coś naprawdę, czego nie było dotąd. A ja będę twórcą!

— Oby tylko szczęśliwym — zauważył piąty brat z niedowierzaniem, — oby cię nie zawiodły nowe materiały i wymagania ludzi, które wzrastają co dzień i co dzień się zmieniają. Widzę, że wszyscy czterej łudzicie się i żaden z was nie będzie

niczem. Ale róbcie, jak chcecie. Uprzedzam was tylko, że ja inną obrałem drogę. Takich, co śpieszą do pracy, jest wielu. Każdemu pilno zająć ręce albo umysł i już sobie wyobraża, że jest twórcą i o nic więcej nie dba, nic nie pragnie poznać, zgłębić, zrozumieć, ocenić. Otóż ja przedewszystkiem chcę wszystko zrozumieć, poznać, ocenić, skrytykować, wskazać, co w tem jest szkodliwego lub niewłaściwego. I myślę, że to właśnie jest najważniejszem na świecie i dlatego ja jeden czemś będę między wami.

Każdy z braci postąpił, jak sobie zamierzał, lecz piąty przedewszystkiem zwracał na siebie uwagę. — Mądra głowa! — mówiono o nim. — Temu coś przeznaczono i może zająć daleko. Szkoda tylko, że nic nie robi.

Ale właśnie z tego powodu uważano go za coś lepszego.

Historja to zwyczajna, dawna jak świat stary, i kozica nie ma, póki świat istnieje.

Lecz posłuchajmy dalej. Wszak to bajka.

Brat najstarszy, który zajął się wyrobem cegły, zrozumiał w krótkim czasie, iż każda prostokątna, różowa cegiełka daje mu grosz zarobku. Mały, miedziany grosik. Ale z wielu groszy powstawał srebrny talar, — piękny, duży talar. Ten miał szczególną własność: kto nim zapukał do drzwi piekarza, rzeźnika, krawca — wszystkie otwierały się przed nim gościnnie, wszędzie witały go twarze uprzejme, każdy spełniał z ochotą żądanie czy prośbę szczęśliwego posiadacza tego talizmanu. A źródłem tej pomyślności były skromne cegły. Niektóre wprawdzie kruszyły się czasem, ale i takie można było spożytkować.

Uboga wdowa Małgorzata chciała zbudować sobie chatkę na wysokiej tamie, zabezpieczającej wybrzeże od morza i jego niszczącej potęgi. Poczciwy ceglarnik dopomógł jej w tem przedsięwzięciu i podarował wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał dobre serce, choć prostym był człowiekiem. Biedna kobieta prawie własnymi rękami budowała swą chatkę, która też nie odznaczała się pięknnością: mała, ciasna, niezgrabna, okna miała trochę krzywe, drzwi za niskie, dach lichy, słomiany, niezbyt mocny i niezbyt prosty, ale zawsze była to chata jej własna, jakie takie schronienie przed słońcem i burzą, a widok z niej na morze był wspaniały. Słone fale rozbijały się z szumem o tamę, a kiedy wichry zawył i niósł na wybrzeże wielkie, spienione, ryczące bałwany, padały one czołem u stóp ubogiego domku, niby pokonane a wściekłe olbrzymy, opryskując białą pianą jego ściany, a niekiedy przerzucając ją przez niską strzechę.

I długo, długo stał domek ubogi, patrząc z wysokiej grobli na morze rozległe, stał jeszcze wtedy, gdy kości człowieka, który nań cegłę wyrabiał, dawno pokryła ziemia.

Brat drugi został mularzem i dobrze mu się wiodło, gdyż pracował i uczył się wytrwale. Zostawszy czeladnikiem, wziął mały tłumoczek na plecy i z piosenką na ustach wyruszył na zwykłą po świecie wędrówkę. Szedł i śpiewał o swoich zamiarach, nadziejach, pełen wiary w swe siły, pełen zapału młodości i najlepszej otuchy.

Nie zawiodło go życie: został wreszcie majstrem i budował domy w rodzinnem

miasteczku. Co to za przyjemność i zadowolenie! Budował je też starannie, uczciwie, z zamiłowaniem; budował tak dobrze, że wszyscy go wzywali i potrzebowali, że mu powierzano najlepsze roboty. To też po wielu latach z jego domów powstała nowa i piękna ulica, ozdoba miasta. A wówczas wszystkie owe kamienice złożyły się na własny domek pana majstra.

— Jakże to mogły zrobić kamienice? — zapytacie. — Ha, zrobiły, — wiedziano o tem w całym mieście. Ulica majstrowi zbudowała domek.

Nie był on zresztą wielki ani okazały, ot, taki sobie, skromny, z glinianą podłogą, ale wygodny, czysty. A gdy wprowadził młodą żonę do dużego, jasnym słońcem oświetlonego pokoju, zajaśniała gliniana podłoga, jak lustro, zaśniły białe ściany, jakby wróżka szczęścia przybrała je w tęczowe wieńce z świeżych kwiatów, rozpromieniło się wszystko dokoła, jak w zaklętym pałacu. Bo szczęście zamieszkało w sercach młodej pary i gościło w nich stale. A szacunek otaczał pana majstra; czeladnicy pozdrawiali go uprzejmie i spoglądali z dumą i uszanowaniem na cechową chorągiew, która powiewała ze szczytu jego domu.

Tak czuł brat drugi, że jest czemś na świecie. Ale że był człowiekiem, więc się zestarzał i umarł.

Trzeci brat, jak powiedział, obrał zawód budowniczego. Wprawdzie i on musiał przebyć ciężki termin, ale po ukończeniu akademii został od razu panem budowniczym, wielmożnym panem! Bardzo był dumny z tego i zadowolony. Brat jego w rodzinnym mieście wybudował całą ulicę, ale on dał jej nazwę od swego imienia, bo jego dziełem były wszystkie plany tych pięknych, nowych domów i współobywatele chcieli uczcić jego zasługę. Łatwo się też domyślić, że dom najpiękniejszy na tej ulicy był jego własnością, że dzieci jego nazywano paniętami, a żonę — wielmożną panią. Więc zdobył coś na świecie i coś znaczył, — imię jego na wieczne czasy zostało wypisane na rogu ulicy i do dzisiaj dnia żyje w ustach mieszkańców miasta. Żyje dłużej od niego i żyć będzie Bóg wie, jak długo. To też powiedział sobie, umierając: byłem czerni na tym świecie!

A czwarty brat, ów twórca? Ten miał zająć najwyżej, ale na wysokościach łatwo o nieszczęście, — niestety, wkrótce się o tem przekonał i zmarł przedwcześnie. Wyprawiono mu jednak wspaniałe pogrzeb z chorągwiami, z muzyką i kwiatami, wypowiedziano aż trzy długie mowy nad jego grobem, w których wychwalano talent i wielkie zamiary zmarłego i postawiono mu na grobie pomnik. Zawsze i to coś znaczy.

Piąty brat przeżył wszystkich. I słusznie, bo on przecież miał sądzić o nich, jak sądził wszystko na tym świecie i wypowiadał zawsze wyrok ostateczny. Ludzie podziwiali jego rozum i krytykę i mówili o nim:

— To otwarta głowa!

Lecz i on umarł w końcu, — nie mogło być inaczej — i stanął u drzwi raju, do którego dusze ludzkie zbliżają się w porządku, parami. Obok niego stanęła jakaś pokorna duszyczka i nieśmiało, a z tęsknotą spoglądała na wspaniałe, złociste wrota.

— Postawiono ją przy mnie widać dla kontrastu — szepnął do siebie krytyk — i

to mi się należy: cała wartość moja lepiej się uwydatnia obok takiej lichoty. — Któż to jesteście, moja kobiecino? — zwrócił się do sąsiadki. — Widzę, że bardzo wam śpieszno do raju? Ale poczekać trzeba.

Duszyczka skłoniła się przed nim do ziemi, myśląc, że to sam święty Piotr do niej przemawia.

— Ja jestem stara Małgorzata z grobli — jaśnie wielmożny panie — odrzekła z pokorą. — Z małej chatki na grobli.

— Aha. — I cożeś robiła na ziemi, stara Małgorzato z chatki na grobli? — rzekł krytyk, którego już nudziło długie oczekiwanie.

Staruszka popatrzyła nań z wielką pokorą.

— Nic takiego nie zrobiłam — rzekła smutnie — za cobym się mogła spodziewać, że przede mną te drzwi otworzą, ale — Bóg miłosierny, może łaska Jego nie odepchnie ubogiej. Na to tylko liczę.

— A w jakim sposobie rozstałaś się z ziemią, moja kobieto? — pytał znów brat piąty, który lubił rzecz każdą zbadać aż do gruntu.

— Czy ja wiem, w jaki sposób się rozstałam — odpowiedziała stara po namyśle. — W ostatnich czasach chora byłam ciągle... a nędza, jaśnie panie? To wszystko człowieka dobija. Ciężko mi było już podnieść się z łóżka i kiedy przyszło nagle wybiedz na chłodne powietrze, na śnieg i mróz, musiałam się pewno zaziębić, choć sama nie wiem, kiedy, bo nie miałam czasu pomyśleć o tem wszystkim. Tyle trwogi użyłam w ostatniej godzinie, — ale Bóg łaskaw, łaskaw, wszyscy się uratowali!

— Kto? Cóż to było za zdarzenie?

— Na morzu, jaśnie panie, myślałam, że pan o tem słyshał. Wiadomo, że mieliśmy ostrą zimę tego roku, morze u brzegu zamarzło wybornie i państwo z miasta umyślili sobie urządzić na lodzie zabawę. Mówiono, że ma być ślizgawka i tańce, z daleka słychać było muzykę i wrzawę, słyshałam je w mojej ubogiej izdebce, chociaż nie miałam siły podnieść się z pośłania, aby popatrzeć na nich. Nakoniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale blady, bez blasku. Wyjrzałam przez okno, na lodzie zapalono kolorowe światła, migwały cienie, słyshałam śmiech ludzki. Wtem spojrzełam na niebo... Daleko, daleko, gdzie się brzeg nieba na wodzie opiera, płynął biały obłoczek z czarną pośrodku plamą. Nie zaraz uwierzyłam swoim oczom, jaśnie panie, choć stara jestem i niedarmo przecież od lat tylu patrzełam na niebo i morze; — ale obłoczek płynął, coraz większy, większy, a czarna plama... Znam ją! Zrozumiałam wszystko. Dwa razy w życiu widziałam ją przecież i wiem, co niesie — burzę i rozbicie, śmierć dla tych, co się tam bawią wesoło.

— A na lodzie całe miasto: starzy, młodzi, dzieci, panie i panowie, śmieją się, tańczą, słyshają muzyki, nie wiedzą, co ich czeka. Jak ich ostrzedz? Tam nic nie widać, — zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. — Gdybym silną była, gdybym mogła tam pobiedz... Lecz nogi ciężkie, jak gdyby z ołowiu, ręce mi się trzęsą; — otwieram okno z największym wysiłkiem, chcę krzycheć — ale wrzawa mię zagłusza, słyshę śpiew, krzyki radości, wesela, świst chorągiewek, widzę

migotanie światła — a biały obłok płynie coraz większy i czarna plama... Już zajął pół nieba.

— Krzyknęłam z całej mocy — nikt nie słyszy; — za daleko! Co począć? Czyż mam patrzeć na ich zgubę? Boże, mój Boże! Każda chwila droga, każda chwila im grozi!

— Wtem Bóg miłosierny zesał mi myśl szczęśliwą: podpale chatę, niech im znakiem będzie i głosem przestrogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia tylu ludzi?

Nie miałam zresztą czasu do namysłu, — rzuciłam śpiesznie ogień na postanie i chciałam wyjść z izdebki. Za progiem jednak upadłam na ziemię i już nie mogłam powstać. Szum mię ogarnął, gorąco i płomień. Niby przez sen widziałam ogniste języki, wybiegające z okien, skaczące po dachu, we drzwiach nade mną. Aż nagle z nad morza krzyk się rozległ potężny, wszyscy w mgnieniu oka porzucili zabawę, by śpieszyć na pomoc biednej staruszce, która się spalić mogła. Dobrzy, poczciwi ludzie. Bóg ich ocalił za to, bo kiedy w jednej chwili zaszumiało morze, lód skruszony pękł z trzaskiem, podobnym do strzałów, niebo i ziemia zmieszały się razem w ciemność i burzę — nikogo już nie było tam na wodzie. I nikt nie zginął, — wszyscy ocalili, — Bóg ich ocalił. Dobrzy, poczciwi ludzie!

— Ale już potem nie wiem, co się stało, — pewno mię ratowali, a ja się tymczasem obudziłam już tutaj, przed wrotami raj. Mówią, że czasem i dla biednych ludzi Bóg je otwiera, — może się zmiłuje nade mną. Bo gdzieżbym się schroniła? Nawet chatki na grobli już tam na ziemi nie mam.

W tej samej chwili zgrzytnął w zamku klucz niebieski, szeroko otworzyły się wrota złociste, a święty Piotr i aniołowie wprowadzili staruszkę do raj. Gdy próg przestępowała, z ubogiej odzieży spadła na ziemię jedna mała słomka; słomka z pościeli, którą podpaliła, aby bliźnim życie ocalić. I oto patrzcie: złociste ździebełko wyrasta w górę, okrywa się liściem i kwiatem szczerozłotym, a żyjącym, świeżym i rośnie, rośnie —

— To skarby, które z ziemi przyniosła staruszka — rzekł anioł, zwracając się do piątego brata i ukazując krzak róży złocistej — to jej czyny, zasługi. Gdzież są twoje? Nic nie zrobiłeś przez całe życie dla nikogo, ani jednej cegiełki. Jakże możesz żądać nagrody? Wiem, że chociażbyś wrócił na świat i pracował, niewieleby twoja praca warta była, ale przy dobrych chęciach możnaby ją za coś policzyć, — wrócić jednak nie możesz...

Staruszka z chatki na tamie słuchała, stojąc na progu raj, a teraz odezwała się z prośbą nieśmiałą.

— Święty panie aniele, — brat tego człowieka podarował mi wszystkie pokruszone cegły, a nawet wiele całych, gdyż miał bardzo dobre serce, — było to dla mnie wielkim dobrodziejstwem, bo z czegożbym wystawiła sobie chatkę? Czyżby nie można dziś tych wszystkich cegieł policzyć choć za jedną na dobro tej duszy? Wszakże tutaj jest źródło wszelkich łask i miłosierdzia, a oto dusza, która tego potrzebuje.

Anioł łagodnie spojrział na staruszkę.

— Dobrze — rzekł po namyśle — twojej prośbie Pan Bóg dzisiaj nie odmówi, to pierwsza prośba twoja, — niechże więc tak będzie. Dla dobrego uczynku brata twego, którego uważałeś za najlichszego tu na ziemi, i na prośbę tej oto ubogiej kobiety, Pan Bóg cię od wrót raju nie odrzuci, — możesz pozostać tutaj i rozmyślać, jakby naprawić swoje ziemskie życie. Dalej jednak pójść nie możesz, dopóki nie spełnisz czegoś, coby dobrym czynem życia twego nazwać można.

— Mógłbym to lepiej wyrazić, — pomyślał sobie krytyk, ale nic nie powiedział, a to jego milczenie już coś znaczyło na drodze poprawy.

LISTEK Z NIEBA.

Wysoko, w przejrzystym i jasnym powietrzu płynął anioł Boży z rajskim kwiatem w ręku. Gdy go podnosił do ust, jeden mały płatek oderwał się leciuchno i jak motyl biały spadał ku ziemi. W zielonym lesie upadł na grunt miękkiej i wypuścił korzonek, potem kielik w górę i zaczął rosnąć.

— A to co za przybłęda? — zawołały zdziwione rośliny. — Nikt go tu nie zna, z nikim nie jest spokrewniony, nawet niepodobny do nikogo! Natręt!

Przypatrywały mu się z daleka, z pogardą, ale nawet osty i dzikie pokrzywy rozmawiać z nim nie chciały.

— Musi to być jakiś potwór ogrodowy — zdecydowały po długim namyśle leśne sąsiadki — czego chce tu między nami?

I szydziły z niego pogardliwie, myśląc, że jest potworem, sztucznie wyhodowanym przez człowieka.

— Po coś tu przyszedł? — pytały go osty, o liściach najeżonych ostrymi kolcami. — Każdy powinien żyć pomiędzy swymi.

— Po co tak rozpościerasz swoje pędy? — wołały inne drzewa i rośliny. — Nie przybliżaj się do nas! A może myślisz, że cię będziemy dźwigały?

Nadeszła zima, śnieg pokrył ziemię i rośliny, ale nad listkiem z nieba jaśniał dziwnym światłem, jak gdyby pod nim paliła się lampa i przeświecała przez białe pokrycie. A kiedy wiosna powróciła znowu i śnieg ustąpił, na wilgotnej ziemi ukazał się kwiat cudny, o barwach nieporównanych i prześlicznej woni.

W całym lesie nie było podobnego cudu.

Właśnie przechodził tędy uczony profesor botaniki. Zdziwił go kwiat nieznany, więc go zerwał, obejrzał, pokosztował, powąchał, rozpatrywał przez szkiełka i bez szkiełek, mierzył, ważył, porównywał — nadaremnie: nie mógł zaliczyć go do żadnej klasy, do żadnego rodzaju i gatunku.

— Wyrodek jakiś — rzekł wreszcie poważnie — niepodobna go objąć żadną klasyfikacją, ani mu znaleźć właściwego miejsca. Okaz bardzo ciekawy, lecz nie ma nic wspólnego z naszym roślinnym światem.

— Nie ma nic wspólnego z naszym roślinnym światem! — Niepodobna go objąć żadną klasyfikacją! Wyrodek! — powtarzały osty i pokrzywy.

Stare drzewa słuchały, lecz milczały same, nie mówiły źle ani dobrze, co jest rzeczą najmądrzejszą na wypadek głupoty.

Biegła przez las dziewczynka uboga, czysta i niewinna. Serce miała gorące, w duszy światło wiary, a jedynym majątkiem jej na świecie była stara biblia po ojcu, gdzie zawsze w smutku słowa pociechy znalazła.

Dziewczę ujrzało cudowną roślinkę i stanęło zdumione. Jakaż piękna! Każdy jej listek zielony rozlewał woń rozkoszną i orzeźwiająca, kwiaty jaśniały w słońcu jak żywe płomienie, a z każdego zdawała się płynąć ku niebu nieskończona, cicha i

słodką melodyą.

Dziewczę wzruszone ujęło gałązkę i pochyliło ją lekko ku sobie, aby nacieszyć się widokiem kwiatka, odetchnąć jego wonią. I uczuła nagle wielką błogość w sercu i wielkie światło w duszy. Chciałaby zerwać jeden chociaż pączek i mieć przy sobie, ale nieśmiała pozbawiać go życia. Zwiędnie w jej ręku! Więc zerwała tylko maleńki jeden zielony Usteczek i włożyła pomiędzy kartki swojej biblii. Tu pozostanie on zawsze jak świeży i pełen cudnej woni.

W kilka tygodni potem dziewczynka umarła, biblię złożono z nią razem do trumny, a między jej kartkami pozostał zielony, wonny listek rajskiego kwiatka.

W lesie śliczna roślina bujała wspaniale i dochodziła prawie wielkości drzew starych, choć była wiotką jak młoda gałązka. Ptaki przelotne lot swój wstrzymywały, aby jej pokłon oddać, promienie słoneczne pozdrawiały ją pierwszą co poranka.

— Jakiś obcy przybłęda najwidoczniej — szeptały między sobą osty i pokrzywy — wszystkie włóczęgi znają go wybornie, lecz dla nas — to wyrodek.

— Nie powinniśmy znieść go pośród siebie.

I ślimaki leśne opluły go śliną.

Przyszedł pastuch po "ziele" dla trzody i zaczął wycinać nożem osty i pokrzywy. Ściął i cudną roślinkę, wyrwał jej korzenie i zabrał wszystko razem w wielką płachtę.

— Przynajmniej będzie z was teraz pożytek — rzeki, zarzucając płachtę na ramiona.

I stał się roślina rajska "pożyteczną."

W tym samym kraju król cierpiał oddawna na smutek nieuleczony i ciężki, który był gorszym od wszelkiej choroby. Różnym sposobem ratować się pragnął: pracował pilnie, wytrwale, odważnie; czytał uczone dzieła; to szukał rozrywki, wesołości; — daremnie, nic nie pomagało.

I cierpiał bardzo, bardzo, długie lata i prawie bez nadziei.

Wtem jeden z mędrców, którego gorąco prosił o radę, śle do niego posła z wieścią radosną:

— W twojem królestwie, w lesie starym rośnie kwiat rajski o cudownej sile i przymiotach, jego woń, jego widok przywróci ci zdrowie.

Tu następował opis cudownej rośliny tak dokładny, że nie można się było pomylić.

— Tak, to ona! to ona! — powtarzali wszyscy, którzy bywali w lesie.

— Tak, tak — powtórzył pastuch — pamiętam, a jakże! Sam związałem ją w płachtę razem z pokrzywami. To już dawno. Nie wiedziałem, żeby takie ziółko mogło przydać się na co innego.

Nie wiedział. Nikt nie wiedział: ani uczonego botanik, ani mędracy królewscy. Nikt nie wiedział. Roślina, której niepodobna objąć żadną klasyfikacją! Cóż z takiej być może?

Szukano nadaremnie: ani jednego Usteczka nie można było już odnaleźć w lesie. Jeden był tylko w trumnie ubogiej dziewczynki, lecz o tym nikt nie wiedział.

Król sam zmartwiony udał się do lasu i oglądał miejsce, gdzie wyrósł kwiat rajski.

— Tutaj było dla mnie zbawienie — rzekł smutnie — tutaj dotknęła ziemi nieziemska roślina, — świętem być powinno to miejsce.

I kazał je ogrodzić pozłacaną kratą, przy której postawiono wartę.

Wtedy uczony profesor napisał o kwiatku bardzo naukowe dzieło i został za to przez króla odpowiednio wynagrodzony.

Wszyscy więc byli szczęśliwi, król tylko został cierpiący, smutny wielkim smutkiem, który nie ma jasnej przyczyny. — Ale takim przecież był zawsze — mówił strażnik w lesie, przy pozłacanej kratce.

U KRÓLA OLCH.

Wielkie jaszczurki szybko przebiegały tam i napowrót po korze starego, popękanego drzewa, a kiedy się spotkały, rozmawiały z sobą po jaszczurczemu, żeby się mogły zrozumieć.

— Co się tam dzieje w pagórku olszowym? — mówiła jedna. — Co za stuk i hałas? Już dwie noce z tego powodu nie zmrużyłam oka, jakby mię zęby bolały (bo wtedy także nigdy spać nie mogę).

— Coś się tam dziwnego dzieje — rzekła druga. — Co noc otwierają wzgórze i póki kogut nie zapieje, wietrzą wszystko i odnawiają. Ściany domu opierają na czterech czerwonych palikach, aby przewiew był lepszy, a ich dziewczęta uczą się nowego tańca. Coś tam będzie niezwykłego.

— Już o tem rozmawiałam — dorzuciła trzecia — ze znajomym robakiem ziemnym czyli glistą, którą nazywają dżdżownicą, właśnie powracał stamtąd. Dzień i noc pracuje on w pagórku olszowym, wruszając ziemię; słyszał też niemało. Wprawdzie biedne stworzenie nie ma wcale oczu, więc nic nie widzi, ale słuchać umie i macać także. Król olch się spodziewa znakomitych gości, gości z dalekich krajów, tylko niewiadomo kiedy. Glista nie umiała mi tego powiedzieć, a może i nie chciała. Wszystkie błędne ogniki zostały wezwane na pochód uroczysty ze światłami; wszystko złoto i srebro, którego niemało znajduje się w pagórku, czyszczą i wystawiają na światło księżycy.

— Co to być mogą za goście? — pytały ciekawie ja szcurki. — Co to wszystko ma znaczyć? Słyszycie, jak znów huczy? Słyszycie, jak brzęczy?

W tej samej chwili pagórek olszowy otworzył się i z wnętrza pustego wybiegła niemłoda już Olszanka Mknęła jak mgła leciuchna, ścigana wietrzykiem, na czole miała serce bursztynowe na znak godności swej i po krewieństwa z rodziną Króla Olch, w domu którego zastępowała miejsce gospodyni. Ach, jak pręciutko biegła a prosto nad morze, pewno do Kruka-Ducha z przestrze łonem skrzydłem.

Rozumie się. Natychmiast sam zjawił się przed nią a Olszanka mówić zaczęła:

— Zapraszam cię do Króla Olch na noc dzisiejszą, do pagórka olszowego, — ale czybyś nie zechciał oddać nam wielkiej przysługi i poroznosić dalej zaproszenia? Nie masz teraz nic do roboty, a u nas tyle zajęcia. Będą goście znakomici, starzy przyjaciele, czarodzieje, nic dziwnego, że Król wystąpić pragnie.

— Kogóż mam zaprosić? — pytał Kruk-Duch ze skrzydłem przestrzelonem.

— Na wielki bal prosimy wszystkich, nawet ludzi, jeżeli mówią przez sen, albo posiadają jaki talent, który zbliża ich do nas choć trochę; lecz na pierwsze przyjęcie wybór ma być bardzo trudny: same znakomitości. Poróżniłam się nawet z Królem, gdyż nie chciałam, aby zapraszał upiory. Przedewszystkiem naturalnie chodzi o Wodnika z córką. Może nie mają ochoty wyjść na ląd, ale przygotowujemy dla nich mokry kamień, a może coś lepszego jeszcze do siedzenia, więc sądzę, że nie powinni nam odmówić. Pragniemy też zgromadzić wszystkie poważniejsze Licha z

ogonami, Chochliki, Koboldy, chciałabym nie pominąć Kościelnego Karła, ani Upiora-Konia, ani Upiora-Świni (1). Mają oni wprowadzić urzędy od ludzi i stąd stosunki z nimi, ale w gruncie rzeczy daleko więcej z nami są zblizeni.

— Krrr! — krzyknął Kruk-Duch i poleciał roznosić zaproszenia.

Na pagórku tańczyły już córki królewskie prześliczny taniec z szalem, utkanym z promieni księżycy i mgły najlżejszej. Było to czarodziejskie widowisko. Pagórek stał otwarty i widać było wewnątrz olbrzymią grootę, przybraną wspaniale. Podłogę usłano księżycowym blaskiem, a ściany, wyczyszczone sadłem czarownicy, błyszcząły niby lampy z żywych kwiatów.

Z kuchni rozchodziły się miłe zapachy: pieczono tutaj młode żabki na patyczkach, przyprawiano sałatę ze ślimaków, szalonego ziela, siemienia grzybowego i wilgotnych nosków mysich; piwo przyniesiono z błotnego browaru, a nakrycia stanowiły zardzewiałe gwoździe i kawałki szkła stłuczonego.

Korona Króla, świeżo wyczyszczona, świeciła jaśniej, niż rondel miedziany, w sypialni rozwieszono firanki z najcieńszej przędzy pajęczej, pozlepiane sztucznie śliną węzową. Wszystko było piękne, nowe, gustowne, ale kosztowało pracy i nic dziwnego, że hałas podziemny przeszkadzał spać jaszczurkom.

— Ojczulku — zawołała najmłodsza królowna — kiedyż się dowiem, kto są goście znakomici, których się spodziewamy? I po co przyjadą?

— Muszę wam to powiedzieć — odparł Król poważnie — czas na to. Dwie z was pragnę wydać za mąż, odbędą się więc zaręczyny. Przyjedzie mój przyjaciel z lat młodości, stary Kobold z Norwegii, gdzie w górach Dovre posiada wspaniałe zamki i kopalnie złota, które ukryły się dotąd przed ludźmi. Przyjedzie teraz do mnie z dwoma starszymi synami, których pragnie ożenić. Bardzo to rozumny Kobold, a zacny i wesoły, że się z nim rozstać nie chce. Znamy się dobrze od lat bardzo wielu; przyjeżdżał tu już niegdyś po żonę dla siebie, lecz mu umarła. Była córką króla pobliskich skał kredowych, mówiono też o nim, że wziął sobie żonę z kredy. Niezmiernie się cieszę, że go zobaczę znowu! Tęskno mi już za nim, za starym przyjacielem. Mówią o chłopcach jego, że źle wychowani, krnąbrni i wścibscy, ale może to nieprawda, a choćby i tak było, to się poprawią z czasem.

— Kiedyż przyjadą? — pytała królowna.

— To zależy od wiatru i pogody. Bardzo to oszczędny i mądry staruszek, to też podróżuje przy sposobności, ze statkami. Radziłem mu, żeby przyjechał przez Szwecję, ale nie chce, — uparty jest i uprzedzony bardzo do sąsiadów.

Wtem dwa ogniki błędne wbiegły jeden za drugim, gdyż jeden wyprzedził drugiego.

— Jadą już, jadą! — krzyczały obydwa.

— Podaj mi koronę i usuń się z drogi, abym stanął w blasku księżycy — rzekł śpiesznie Król Olch do córki.

Stary Kobold wjeżdżał właśnie na pagórek, córki królewskie witały go tańcem i zarzucając nań szal księżycowy, kłaniały się do samej ziemi.

Kobold z Dovre zamiast czerwonej czapeczki, miał koronę z lodu i szyszek

lakierowanych sosnowych; zresztą był ubrany ciepło i wspaniale, ciężkie niedźwiedzie spływały mu z ramion, futrzane buty do kolan sięgały. Za to synowie byli bez kaftanów, koszule mieli rozpięte u szyi, a szelek nie używali zupełnie; oznaczało to wszystko, że są zdrowi i wytrwali.

— Czy to ma być wyżyna? — spytał młodszy, palcem wskazując olszowy pagórek — u nas, w Norwegii, takie kretowiska nazywamy po prostu dziurą.

— Chłopcy! chłopcy! — strofował ojciec. — Dziura przecież jest wklęsła, a każda wypukłość nazywa się wyżyną. Czyż oczu nie macie?

Ale synowie nie byli skruszeni, — jedno tylko podobało im się tutaj, że z każdym rozumieli się od razu i rozmawiać mogli swobodnie.

— Dlatego też lepiej nie gadajcie wiele — przezornie napominał stary ojciec — po co wszyscy mają wiedzieć, żeście głupi?

W tej właśnie chwili weszli do groty królewskiej, gdzie całe towarzystwo już było zebrane, a zgromadziło się z taką szybkością, jak gdyby wiatr je przyniósł na swych bystrych skrzydłach.

Lecz wszystko dla każdego było już przygotowane i nikt na brak wygody uskarżać się nie mógł. Wodnika z córką umieszczono w wielkich kubłach, pełnych wody, ustawionych przy stole dla nich zamiast krzesel, i twierdzili oboje z wielkim zadowoleniem, że czują się jak w domu.

Wszyscy zresztą siedzieli bardzo przyzwoicie, jak przystoi poważnym i dostojnym gościom, i jedli podług najlepszych przepisów; tylko norwegscy obaj królewicze kładli nogi na stole i śmieli się głośno, myśląc, że im wszystko wolno.

— Nogi pod stół! — krzyknął ojciec groźnym głosem — i posłuchali, ale nie od razu.

Kłuli swoje sąsiadki ostremi szyszkami, których mieli pełne kieszenie, a potem zdjęli buty dla wygody i kazali piastować je córkom królewskim lub innym pannom, które obok nich siedziały.

Wszyscy patrzyli na nich z oburzeniem.

Ojciec tymczasem, stary Kobold z Dovre, w koronie z lodu i szyszek sosnowych, dowcipny i wesoły, opowiadał o swej ojczyźnie, a wszyscy go słuchali z niezmiernem zajęciem. Bo też i umiał mówić! Zwłaszcza o tem, co kochał. To opisywał dumne, nagie skały krain północnych, wznoszące ku niebu lodem okryte czoła, to jasne kaskady i wód, spadających z łoskotem w przepaście i pryskających w słońce śnieżną pianą; to o łososiach mówił w łusce złotej, za głosem harf cudownych płynących pod wodę; to o zimowej nocy bez świtu poranka, białej jak śnieżne puchy i cichej i długiej, gdy dzwonki sanek brzęczą gdzieś w oddali, a ludzie biegają na łyżwach po lodzie, przezroczystym jak woda, tak, że pod spodem widać rybki drobne, lękające się światła ruchomych i cieni.

O, stary Kobold umiał opowiadać! Zdawało się, że widzisz to, o czem on mówi. Ot i zabawa wiejska na tartaku, tańczą dziewczęta, parobcy śpiewają, słysząc turkot, tupanie, krzyki; hu! ha! Porwał swoją sąsiadkę, poważną Olszanekę, i — jak chłopak wiejski, pocałował głośno!

Hu! Ha! wszyscy z miejsc wstali, rozpoczął się taniec. Córki królewskie tańczyły najpierwsze. Bo i któż im dorówna? Taniec był lekki, prosty, niby kołysanie na falach wiatru, a nikt z zaproszonych nie mógł się dość napatrzeć na to czarodziejstwo.

Potem nastąpiły tańce sztuczne i solowe, różne popisy. Do kroćset! stary karzeł pojąć nie mógł, co się robi z ich rękami i nogami. Wszystko rozstrzela się na wszystkie strony, zgina, prosi uje, krąży, leci, spada, tylko w oczach migoce. A teraz kręcą się w kółko tak szybko, że Koń-Upiór i Upiór-Świnia patrzeć nie mogą na to, wstali od stołu, gdyż dostali mdłości.

— Prr! — zawołał Kobold — dosyć tego! Rękami i nogami wywijać umiecie, tego wam nikt nie ujmie, ale chciałbym wiedzieć, na coście więcej zdadne?

— Zaraz to zobaczysz — odrzekł Król Olch poważnie i skinął na najmłodszą z córek.

Była ona przejrzystą jak promień księżycy, ze wszystkich sióstr najlżejszą, najdelikatniejszą; kiedy szła, wcale ziemi nie dotykała stopą, a kiedy wzięła w usta biały wiórek, zniknęła z oczu. To była jej sztuka.

Ale nie podobała się staremu. Twierdził stanowczo, że nie chciałby takiej żony, a zapewne i żaden z jego synów.

Druga córka umiała chodzić bokiem, leżąc, jak cień ludzki, którego Olszanki nie mają.

Trzecia miała inny talent: u Wodnicy z błota uczyła się gospodarstwa i umiała przyrządzać sęki olszowe, nadziewane i szpikowane robaczkami świętojańskimi.

— Z tej będzie mąż miał w domu dobrą gospodynię — rzeki stary Kobold, potrząsając głową na znak, że pić więcej nie chce.

Po niej wystąpiła czwarta. Ta miała wielką harfę: gdy dotknęła pierwszej struny, wszyscy w grocie podnieśli naraz lewą nogę, gdyż Koboldy wogóle są mańkutami; a skoro uderzyła w drugą strunę, wszyscy musieli robić, co jej się podobało.

— To niebezpieczna żona — zauważył stary, a obaj królewicze z wielkim krzykiem wybiegli na pagórek, bo sztuk już mieli dosyć, i znudziło im się w sali.

— A piąta? — spytał znowu Kobold z Dovre.

— Ja nauczyłam się kochać Norwegię — rzekła śmiało Olszanka — i nie wyjdę za mąż inaczej, tylko do Norwegii.

— Hm, hm! — rzekł stary Król w koronie z lodu. Ale najmłodsza siostra szepnęła mu zaraz:

— To dlatego, że dowiedziała się ze starej pieśni norwęgskiej, iż kiedy świat się skończy, skały norwęgskie jedne pozostaną na pamiątkę tego, co było. Więc i ona chce się udać do Norwegii, bo się okropnie boi końca świata.

— Ho! ho! — rzekł teraz głośno stary Kobold i zapytał zaraz o siódmą.

— Pierwej szósta — poprawił go Król Olch poważnie, ponieważ umiał liczyć.

Ale szósta nie chciała wcale wyjść do gości.

— Mam dość roboty mówić ludziom prawdę — powiedziała niechętnie. — Nikt się nie troszczy o rennie, wolę siedzieć tu w kącie i szyć sobie szatę śmiertelną.

Wystąpiła więc siódma i ostatnia. Ta umiała opowiadać bajki. Ile chciała!

— Oto moje pięć palców — rzekł stary Kobold z Dovre — opowiedz mi o każdym z nich coś ciekawego.

I Olszanka ujęta wesoło dłoń Króla w koronie z lodu i szyszek sosnowych i zaczęła opowiadać mu o każdym palcu. Kobold śmiał się i kiwał głową, a kiedy wreszcie doszła do czwartego w złotej obrączce, jakby czekał tylko na zaręczyny, starzec rzekł wesoło.

— Trzymaj go mocno, bo twój jest. Ciebie chcę wziąć za żonę!

— Jeszcze dwóch bajek nie dopowiedziałam — broniła się Olszanka.

— Dosłuchamy ich w zimie — odparł Kobold. — Musisz nam opowiedzieć jeszcze bardzo wiele: o zielonej sośnie, i o brzozie białej, o duchach i o mrozie trzaskającym! Ho, ho, będziesz musiała opowiadać, bo znasz się na tej sztuce, jak niewielu! Zasiądziemy sobie dokoła ogniska w kamiennym zamku moim, wióry sosnowe płoną i strzelają, a my słuchamy i miód popijamy ze złotonego rogu starych norweskich królów. Czasem odwiedza nas Rusałka wodna i śpiewa nam pieśni pastusze górali. Wesoło wtedy. Łosoś rzuca się w potoku, uderza z siłą o kamienne ściany i jasno, cicho, biało. — Tak, pięknie tam bardzo w mojej starej Norwegii. — Ale gdzie chłopaki?

Ach, gdzie chłopaki?

Bez szelek i kaftanów, w rozpiętych koszulach, jak przystoi na młode i zdrowe Koboldy, biegali obaj po szerokim polu, goniąc ogniki błędne, ażeby je zdmuchnąć. Biedne ogniki, które z taką chęcią przybyły na wezwanie Króla Olch i chciały uświetnić jego ucztę swemi światełkami.

— Coż to znów za bieganie! — strofował ich ojciec. —

Nie wiecie nawet, że wam matkę wziąłem. Możecie i wy także wybrać po jednej z ciotek.

Ale młodzi oświadczyli, że wolą się gonić, bić, kłócić, pić zdrowie, ale do małżeństwa żadnej nie czują chęci.

Więc krzyczeli, gadali i wznosili zdrowie, aż się zmęczyli w końcu, wtedy — zdjawszy ubranie — położyli się na stole i zasnęli. Nic ich to nie obchodziło, co myślą o tem inni.

Stary Kobold w koronie z lodu tańczył z młodą narzeczoną dokoła groty, a potem zamienili z sobą obuwie, co jest daleko właściwiej, niż zamieniać obrączki.

— Kogut pieje! — zawołała stara Olszanka, która czuwała nad bezpieczeństwem zgromadzonych.

— Zamykać okienice, bo nas słońce spali! — rozległo się trwożne wołanie.

I w mgnieniu oka zamknął się pagórek. Po starem drzewie znowu biegały jaszczurki, prętko, tam i napowrót i mówiły jedna do drugiej:

— Ach, jak mi się podobał stary gość norweskii!

— Mnie lepiej podobali się chłopcy — rzekł robak ziemny.

Ale ten biedak nie ma oczu i nie widzi.

(1) W Danii istnieje przesąd, że w miejscu, na którym mają zbudować kościół, zakopują żywego konia albo żywą świnie, a upiory tych zwierząt błądzą następnie po świecie.

WSZYSTKO NA SWOJEM MIEJSCU!

Dawno już, sto lat temu — może więcej — stało się, co wam opowiem.

Za ciemnym lasem, na wielkim jeziorze stał wspaniały zamek; dokoła oblewała go woda, zarosła koło brzegów trzciną i sitowiem. Tuż przy moście zwodzonym rośła stara wierzba i schylała giętkie gałęzie ku trzcinie i niżej jeszcze, aż do samej wody.

Piękny był dzień słoneczny, kiedy w pobliskim wąwozie rozległ się tentent koni i dźwięk myśliwskich rogów: świetne towarzystwo, goście jaśnie pana, powracali widocznie z łowów.

Mała gąsiareczka szła przez most z gęsiami, więc przestraszona szybko zaczęła je spędzać, lecz nie zdążyła. Na widok koni, pędzących galopem gęsi rzuciły się z krzykiem do wody, a dziewczynka stanęła z boku na kamieniu, żeby jak najbardziej usunąć się z drogi. Ładne to było dziecko, szczupła lecz wysoka, o twarzyczce opalonej i jasnym spojrzeniu dużych, niewinnych oczu. Lecz jaśnie pan nie przyglądał się małej gąsiarce, tylko ze śmiechem uderzył ją rączką batożka, aż się zachwiała i wpadła do wody.

— Na swoje miejsce! — zawołał wesoło i roześmiał się głośno, a myśliwi śmieli się także. Całe towarzystwo z hałasem i tententem przebiegło most i skierowało się do bramy zamku.

Przestraszona dziewczynka na szczęście upadła niedaleko od brzegu, pomiędzy sitowie i zdołała uchwycić gałązkę wierzbową. Przeczekała ze drżeniem, aż państwo zniknęli poza drzewami, ucichło szczekanie psów i tentent koni, a wtedy zapragnęła wydostać się na brzeg. Ale gałąź oderwała się od drzewa i biedna gąsiareczka znów wpadła do wody.

Wtem usłyszała nad sobą głos jakiś:

— Odważnie, śmiało, daj mi tylko rękę. —

Był to wędrowny kramarz, który widział z dala całe zdarzenie i pośpieszył teraz na pomoc dziecku. Wspiąwszy się na drzewo, wyciągnął rękę, którą ujęła dziewczynka i tym sposobem wydostała się na ziemię.

— Na swoje miejsce! — rzekł kramarz z uśmiechem. — Wszystko na swoje miejsce!

I podniósłszy z wody gałąź złamaną, chciał ją przytwierdzić do drzewa. To się nie dało jednak, więc po niedługim namyśle wetknął ją w miękką ziemię.

— Rośnij tu sobie — rzekł — dla jaśnie państwa i niech im twoje fujarki zagrają kiedyś piosnkę sprawiedliwości.

To mówiąc, potrząsnął głową, popatrzył na mokrą i bladą dziewczynkę, potem zarzucił na plecy tłómczek i skierował się ku zamkowi.

Nie szedł naturalnie na pańskie pokoje, lecz do czeladniej izby; tu go otoczono, oglądano towar, kupowano chętnie i pozwolono wypocząć po drodze.

Spokoju jednak nie było i w kuchni: z góry, z komnat zamkowych rozlegały się krzyki, śmiech i wrzawa, szczekanie psów. i śpiewy, brzęk szkła, wybuchy przekleństw i wiwaty, które wstrząsały mury starego budynku. Panowie bawili się i ucztowali, miśnięce trwała podobna hulanka, a potem przenoszono się do miasta lub do którego z sąsiadów, aby pić i hulać znowu. Wino i piwo lało się strugami, lwy wraz z gośćmi żywiono z wystawnego stołu, a rozweseleni zabawą myśliwi całowali je w pyski, otarłszy je pierwszej serwetą.

Coś usłyszano o biednym kramarzu i musiał stanąć przed pańskim obliczem, rozumie się dla żartu: cóż on mógł mieć takiego, coby kupić warto? Ale wino wypędza z głowy rozum — jak wiadomo, więc i weseli goście po tylu kieliszkach nie byli podobnymi do rozumnych ludzi. Kazali mu pić wino z pończochy, tak prędko, ażeby nie uciekło. Co za dowcip! Śmieli się z tego wszyscy, jak z najmądrzejszej rzeczy.

Potem podano im kości i karty. A jakie były stawki! Cały inwentarz żywy albo chatę chłopską stawiano na jedną kartę.

Wędrowny kramarz odetchnął dopiero, kiedy się z tego piekła wydostał na drogę.

— Na swoje miejsce! — jak sam się wyraził. — Prosta droga to moje miejsce, tam w pysznym zamku nie czułem się dobrze.

Nad jeziorem siedziała blada gąsiareczka i życzliwie skinęła mu na pożegnanie.

Upłynęły dni i tygodnie. Złamana gałąź wierzby, zasadzona w ziemię, wypuściła świeże listki i gałązki, widocznie się przyjęła. Mała gąsiareczka oglądała ją co dzień i cieszyła się bardzo, nazywając ją "drzewkiem dobrego człowieka."

Po kilku latach "drzewko dobrego człowieka" stało się drzewem, ale w pańskim zamku źle się tymczasem działo. Zabawą tylko człowiek żyć nie może, śmiech pusty, karty, wino — to złe duchy, które pustoszą zamki i pałace, jeśli żaden stróż anioł nie stoi na straży ich właścicieli.

Widać, że jaśnie pan z zamku na wyspie nie miał anioła stróża, któryby go bronił, nie miał żadnego czynu dobrego za sobą, gdyż nadeszła godzina, że wszystko utracił i jak żebrak opuszczał ziemię ojców swoich, swój dach rodzinny.

Nabył go zamożny kupiec, a był to ten sam kramarz, któremu przed laty wesole towarzystwo dla zabawy z pończochy pić kazało. Uczciwością i pracą doszedł do majątku i nabył ziemię, żeby sobie na niej własne założyć gniazdo.

Potem się ożenił. A wiecie z kim? Z ubogą, małą gąsiareczką, która wyrosła na śliczną dziewczynę o jasnych oczach, a przytem została cichą, skromną i pracowitą.

Jak się to wszystko stało? — Długa byłaby historia, woję wam opowiedzieć, co nastąpiło potem, bo to ciekawsze. Otóż posłuchajcie:

Szczęśliwe dni płynęły teraz w starym zamku: pani się zajmowała gospodarstwem, służbą, pan — wioską; wszyscy czuli się zadowoleni, błogostawieństwo Boże zamieszkało wśród dobrych ludzi. W komnatach starych znów było wesoło, lecz nikt nie słyszał tu pijanych krzyków, śmiechu głupiego, chociaż się bawiono, śmiano się często. W ogrodzie zakwitły drzewa owocowe i

Śliczne kwiaty, jaskółki zagnieździły się znówu pod dachem, bociany klekotały na topoli.

A w zimie pani przędła w wielkiej sali z dziewczętami wiejskimi, pan liczył, rachował, układał plany. W niedzielę wszyscy zbierali się razem na czytania pobożne i modlitwy. Zaczęto pana szanowali i sąsiedzi, a on spełniał sumiennie Boże przykazanie: kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Został nakoniec sędzią w okolicy i było mu to przyjemnem i drogiem, jako dowód uznania i szacunku. Dzieci chowały się także szczęśliwie, bo rozumie się, że nowi dziedzice mieli dzieci. Ojciec dbał bardzo o ich wykształcenie, ale nie wszystkie miały równie dobre głowy.

Tak się zdarza na świecie.

Przy moście młoda wierzba rozrosła się pięknie i zdrowo. Starzy i młodzi znali dobrze jej początek i szanowali tę żywą pamiątkę ci nawet w rodzinie, którzy mieli mniej dobre głowy. Tak już ich wychowano.

— To nasz herb — mówili młodzi.

Sto lat od tego czasu upłynęło.

Dawne jezioro wyschło i zmieniło się w części na bagno, ze starego zaniku została ruina, z jednej strony jeszcze głęboką wodą otoczona i tu nad brzegiem rosła stara wierzba.

Piękne to było drzewo. Wprawdzie w ciągu wieku przeszło niejedną burzę i piorun rozłupał je od samego szczytu do korzeni, lecz z każdej szparki i z każdej szczeliny wyrastała trawa zielona i kwiaty, a na szczycie, gdzie rozdzielały się gałęzie na wszystkie strony, był cały wiszący ogródek. Nawet dzikie maliny wyrastały tutaj; a wierzba przeglądała się w wodzie ciekawie, czy dobrze wygląda w tym stroju.

Była piękna i szanowana. Z nowej siedziby pańskiej wiodła do niej droga prosto przez pola i nie zarastała trawą: widocznie drzewo było odwiedzane, — nie zapomniano o niem.

Nowy pałac znajdował się w lesie, na wzgórzu, skąd widok był wspaniały. Szerokie marmurowe schody prowadziły na wielki taras, gustownie przybrany rzadkiem roślinami; wielkie szyby w oknach były tak przejrzyste, iż zdawało się, że ich nie ma wcale; jasno-zielony trawnik przed pałacem wyglądał, jakby co dzień obmywano każde źdźbło trawy. W salach zdobiły ściany kosztowne obrazy, meble pokrywał jedwab, aksamit i złoto, na marmurowych stołach leżały książki i albumy w kosztownych, wyłaczanych okładkach — nie można było wątpić, że w tym domu mieszkają ludzie bogaci, wykwintni, pełni wymagań. — Pan baron z rodziną.

Naturalnie, w tem otoczeniu wszystko musiało być "na swoim miejscu", to też stare obrazy ze starego zamku tu wisiały na korytarzu, wiodącym do czeladniej izby.

"Stare graty" — jak się o nich wyrażano. Były pomiędzy nimi dwa portrety: mężczyzny w czerwonym fraku i peruce, oraz kobiety z różą w pudrowanych włosach, obydwa otoczone zielonemi gałązkami wierzby. Przedstawiały one

praojców rodziny, sędziego z żoną, ale były dzisiaj zniszczone i podziurawione w wielu miejscach, ponieważ młode baroniałka lubiły strzelać do nich z łuku, jak do celu.

— Oni naprawdę nie należą do rodziny — zapewniały — on był przecież kramarzem, a ona gąsiarką. Niewielcy państwo, jak papa i mama.

Tym sposobem na zasadzie: wszystko na swoim miejscu! — "stare graty" znalazły się na korytarzu, prowadzącym do czeladniej izby.

Dnia jednego domowy nauczyciel wyszedł na przechadzkę z uczniem swym, młodym baronem i jego starszą siostrą. Szli przez pola drogą, wiodącą do ruin i starej wierzby nad resztką jeziora. Baronówna zrywała trawki, polne kwiaty i wiązała z nich bukiet, słuchając zarazem, co mówił nauczyciel o siłach natury, o jej prawach, o wielkich, znakomitych ludziach. Lubiła słuchać takich opowiadań, gdyż była to natura zdrowa i bogata, o duszy szlachetnej i gorącym sercu, które kochało wszystko, co Bóg stworzył.

Zatrzymali się dopiero u wierzby i młody baron zaczął prosić, aby mu nauczyciel wykręcił fujarkę.

— Nie rób pan tego! — zawołała baronówna, lecz młody człowiek już ułamał gałąź.

— To nasze herbowe drzewo — rzekła dziewczę. — Lubię je bardzo i czuję, że powinniśmy je szanować wszyscy. Śmieją się za to ze mnie, ale cóż to szkodzi? To Pamiątka pięknej legendy rodzinnej.

I opowiedziała znaną nam historię kramarza, gąsiareczki, starego zamczyska i początku wiekowej wierzby.

— Czyż nie ładne podanie? — rzekła wreszcie. — Bardzo nawet prawdopodobne. Zacny sędzia nie chciał szlachectwa, mówiąc, że ono mu nie przystoi. Mieli oni przysłowie: "wszystko na swoim miejscu" i do tego się stosowali. Za pieniądze nabywa się majątek, lecz nie przeszłość. Nasz pradziadek był podobno ich rodzonym synem, — otrzymał tytuł barona, gdyż był człowiekiem wielkich zasług i nauki, cenionym i lubionym przez samego księcia. Jego też uważamy za praojca rodu, co do mnie jednak dziwnie lubię tamte bajeczną parę, po której została ta wierzba. Chciałabym razem z nimi mieszkać w starym zamku, prąść kądziel w długie wieczory zimowe lub słuchać, jak pan sędzia czyta Pismo Święte.

— Byli to dobrzy i rozsądni ludzie — rzekł nauczyciel — wszystko o tem mówi, co pozostało po nich. Miał słuszność pan sędzia, że nie chciał szlachectwa, jak cudzej szaty, kiedy jego własna najzupełniej mu wystarczała. A nie była mniej warta. Jak cenimy chlubne po przodkach pamiątki, które nam przypominają zarazem obowiązki nasze względem kraju i współbraci, tak szanować możemy herby i nazwiska praojców naszych, bo one nam mówią, jak oni swoją powinność pełnili i zachęcają, by wytrwać na czele, prowadząc innych naprzód, do wszystkiego, co dobre i szlachetne.

— I tak pojęte szlachectwo trwa wiecznie, ale je często ludzie pojmują inaczej,

— jak próżność, błyskotkę, strój maskaradowy, w który się ubierają, aby błyszczeć, nie wiedząc nic o obowiązkach, nie rozumiejąc, że ten jest szlachcicem, kto szlachetnie myśli, kto szlachetnie czuje, kto własnym czynem na to zasługuje imię.

Dość długo jeszcze mówił nauczyciel, na przykładach wskazując przymioty prawdziwie szlachetnej duszy. Wystawiał pychę ludzi bogatych i próżnych, którym się zdaje że cały świat dla nich został stworzony i urządzony następnie i że ludzie ubożsi istnieją dlatego, aby im służyć i dogadzać.

— Czyżby taki pyszałek mógł zdobyć się kiedy na prostą dobroć serca, której byłem świadkiem w domu poprzedniego mego wychowawca? Stary hrabia, pan licznych dóbr i licznej służby, siedział w otwartym oknie z książką w ręku i spostrzegł idącego przez dziedziniec nieznanego człowieka o kuli. Na dole w przedsionku szwajcar go zatrzymał, lecz on wymienił nazwisko swoje, utrzymując, iż przyszedł tu w imieniu matki, która stale otrzymuje wsparcie miesięczne, a dzisiaj leży chora i przyjść nie mogła. Lokaj pokazał mu drogę na górę, ale pan hrabia już sam był w przedsionku, chcąc oszczędzić kalece uciążliwej drogi po schodach do swojego gabinetu.

— To była rzecz bardzo drobna, bardzo prosta, ale mówiąca wiele. Zastosujcie ten przykład do swoich znajomych, a pomoże wam nieraz ocenić prawdziwie stopień ich szlachetności.

Tymczasem fujarka była gotowa i małe towarzystwo Wróciło do domu.

Tutaj zastali goście. Zjechali się sąsiedzi, przybyło kilka osób ze stolicy, damy w kosztownych strojach i klejnotach, młodzież i starsi. Rozmawiano o muzyce, postanowiono urządzić w salonie wielki koncert amatorski; młody baron wystąpił też z nową, fujarką, ale ta grać nie chciała. Próbował syn i ojciec i żadnego tonu wydobyć z niej nie mogli.

Zdziwiony nauczyciel zaczął oglądać instrument, ażeby się przekonać, co to znaczy.

Przez ten czas goście grali i śpiewali i każdy sam najbardziej zachwycił się swoją sztuką.

— Pan grasz na flecie? — zwrócił się nagle nieznanomy młodzieniec do nauczyciela. — I sani przygotowałeś pan sobie instrument? — ależ to genialnie! Prosimy, prosimy! Szanowne panie i panowie, oto mistrz, który nas zabawić zechce grą oryginalną na prawdziwie wiejskim instrumencie! Tego w naszym programie brakowało, — więc prosimy uprzejmie! Uprzejmie prosimy!

Otoczono go trochę przez ciekawość, trochę dla żartu. Młody człowiek grać nie chciał, choć lubił fujarkę i umiał wydobywać z niej tony serdeczne, lecz sam pan baron zbliżył się do niego i prosił w sposób, który przypomina rozkaz.

Wtedy prawie bezwiednie nauczyciel podniósł fujarkę do ust...

I nagle — co to? Z gałązki wierzbowej wyrwał się dźwięk potężny, niby świst lokomotywy, tylko daleko głośniejszy, silniejszy: "Wszystko na swoim miejscu!" Jak burza, jak huragan zmiatają te słowa wszystko po drodze, wstrząsnęły murami pałacu, przebiegły ogród, w lesie zaszumiały echem i rozpląnęły się na okolicę, jak

grom daleki.

Jedna sekunda, a ileż zmian wkoło! Z gości mało kto został w wielkiej sali, pan baron zniknął! Znalazł się w owczarni. A owczarz obok służby w jedwabnych pończochach przy wspólnym stole. Bokiem patrzano na niego, ale nikt mruknąć nie śmiał po świeżej nauce. W sali została tylko młoda baronówna, stary sąsiad, pan możny, ale bardzo zacny, młode małżeństwo z blizkiej okolicy i nauczyciel domowy.

Resztę gości trudno byłoby odnaleźć.

Lecz burza błyskawiczna nietylko w pałacu baronostwa sprawiła takie zamieszanie: na kilka mil dokoła trudno było poznać mieszkańców pańskich siedzib, chat i dworków. Jakaś bogata bankierska rodzina, jadąca czwórką, na prostym gościńcu wydmuchniętą została z własnego powozu; bogatego chłopca, któremu z szacunkiem kłaniali się sąsiedzi, znaleziono w rowie; dowcipnego młodzieńca, co tak natarczywie prosił nauczyciela o grę na fujarce — w kurniku, z całą paczką wesołej młodzieży.

Tak, to była fujarka bardzo niebezpieczna; na szczęście pękła, wydając dźwięk straszny, i można było schować ją znów do kieszeni: wszystko na swoim miejscu!

Przez kilka dni nikt nie śmiał nawet się odezwać o tem, co zaszło, później szeptało cichutko. W wielkiej sali pałacu pozostały dwa portrety, które burza przeniosła tutaj z korytarza: mężczyzny w peruce i czerwonym fraku, oraz kobiety z różą w pudrowanych włosach. Nikt ich poruszyć nie śmiał, ale jakiś znawca ocenił, że są ręką mistrza malowane, więc je pozostawiono i kazano nawet pięknie odnowić.

Wszystko na swoim miejscu!

Mówią, że przyjdzie kiedyś do tego na świecie, który trwać będzie trochę dłużej od tej baśni.

SŁOWIK.

Ile lat upłynęło od zdarzenia, które wam chcę opowiedzieć, więc posłuchajcie, zanim ludzie całkiem o niem zapomną.

Wiecie zapewne, że cesarz chiński jest Chińczykiem, zarówno jak jego dworacy i wogóle wszyscy mieszkańcy tego kraju.

Otóż pałac tego cesarza należy do najpiękniejszych gmachów w całym świecie, — olbrzymi, wspaniały, iznajcieńszej porcelany, tak kruchej i delikatnej, że prawie dotknąć się do niej nie można.

Dokoła pałacu rozciąga się ogród, pełen najrzadszych, najpiękniejszych kwiatów. Do tych ostatnich przywiązane są małe dzwoneczki ze szkła i srebra, które dzwonią, kiedy kto przechodzi, a to dlatego, aby nie zapomniał nikt spojrzeć na nie.

Tak mądrze wszystko było urządzone w ogrodzie chińskiego cesarza. A ogród ciągnął się bardzo daleko i sam ogrodnik nie wiedział napewno, gdzie się kończy.

Bo też naprawdę nie kończył się wcale, ale łączył z lasem ogromnym, pełnym głębokich jezior i drzew starych, który dochodził aż do brzegów morza. Morze było błękitne i bardzo głębokie, — do samego brzegu przyplływać mogły wielkie statki i zatrzymywać się pod gałęziami drzew olbrzymich, prastarych.

Na jednym z nich, na niskiej zielonej gałęzce, słowik uwił gniazdko i śpiewał co noc tak cudownie, iż ubodzy rybacy, którzy wyplływali na morze dla zarobku, opuszczali sieci i siedzieli beczynnie, zasłuchani w pieśń czarodziejską.

— Boże, jakież to piękne! — Boże, jak on śpiewa! — powtarzali zachwyceni, zabierając się znów do roboty.

Ale następnej nocy powtarzali znowu:

— Boże, jakież to piękne! — Boże, jak on śpiewa!

Z całego świata zjeżdżali się do Chin podróżni, aby obejrzeć cesarską stolicę, wspaniały pałac i ogród cudowny, lecz kto z nich tylko usłyszał słowika, powtarzał bez namysłu:

— To najpiękniejsze ze wszystkiego.

Powróciwszy do ojczyzny, podróżni opowiadali o cesarzu, jego pałacu i ogrodzie, o wszystkich cudach, które oglądali. Uczni pisali o tem wiele książek, w których podziwiali rzeczy piękne, "lecz słowik najpiękniejszy ze wszystkiego" — zapewniał każdy po kolei. Poeci układali nawet śliczne wiersze, chwając leśnego śpiewaka.

Książki się rozchodziły szeroko po świecie, a niektóre zawędrowały do rąk samego cesarza chińskiego. Zasiadł w złotej koronie na kosztownem krześle i czytał, kiwając głową z wielkiego zadowolenia, o przepysznym pałacu swoim i ogrodzie.

"Ale słowik najpiękniejszy ze wszystkiego" — powtarzało się na każdej kartce.

— Co to ma znaczyć? — spytał cesarz zadziwiony. — Słowik? Cóż to takiego? W ogrodzie moim jest coś tak pięknego, że zachwycają się wszyscy podróżni, a ja dowiaduję się o tem z ich książek?

I zawołał natychmiast szambelana.

Był to dygnitarz tak dumny, że jeśli który z niższych od niego urzędników śmiał mu zadać jakie pytanie, odpowiadał tylko "Hm!", — co i po chińsku nic nie znaczy.

— Dowiaduję się z książek — rzekł cesarz — że w moim ogrodzie mieszka słowik, ptak cudowny, najpiękniejszy ze wszystkiego, co się w mojem państwie znajduje. Dlaczego ja o nim dotychczas nic nie wiem?

— I ja o nim nie słyszałem — odparł pokornie szambelan. — Nie był dotąd u dworu przedstawiony.

— Więc żądam, aby dzisiaj został przedstawiony — rzekł monarcha. — Świat cały wie o skarbie, jaki posiadam, a ja jeden nic o nim nie wiem!

— Pierwszy raz o tem słyszę — powtórzył szambelan — ale się postaram odszukać go zaraz.

Odszukać! Gdzie go szukać? Biedny szambelan biegał bez wytchnienia po wszystkich salach, schodach, korytarzach, z góry i na dół, wypytywał wszystkich, — ale mu nikt nie umiał odpowiedzieć: nikt w pałacu nic nie słyszał o słowiku i nikt nic o nim nie wiedział.

Wrócił więc do cesarza, zapewniając, że słowika niema na świecie, a w książce napisali widocznie nieprawdę.

— Wasza cesarska mość niechaj nie wierzy temu, co piszą w książkach — mówił z przekonaniem — wszystko to baśnie bez żadnego sensu i niebezpieczne kłamstwa.

— Ależ tę książkę przysłał mi sam Dalaj-Lama — zawołał cesarz — więc baśni w niej niema, a kłamstwa być nie może. Chcę usłyszeć słowika. Żądam, aby dziś jeszcze został mi przedstawiony; obdarzę go najwyższą łaską; — a jeżeli go nie odnajdziecie, cały dwór po wieczery zostanie skazany na bambusową chłostę.

— Tsing-pe — odparł szambelan i zaczął na nowo przebiegać korytarze, sale, galerye i schody. Za nim biegł cały szereg dworzan i urzędników, gdyż nikt nie miał ochoty na bambusową chłostę.

Lecz nic nie mogli się dowiedzieć o słowiku, którego wielbił świat cały. W pałacu cesarskim nie wiedziano o jego istnieniu.

Nakoniec zapytali o niego ubogiej dziewczynki, pomywaczki u cesarskiego kuchcika, którą przypadkiem spotkano na drodze.

— Jakżebym mogła nie znać słowika? — odparła. — Jakżebym mogła nie znać jego śpiewu! Słyszę go co dzień, gdy niosę wieczorem resztki z kuchni dla chorej matki. Siadam wtedy w lesie, albo nad brzegiem morza i słucham, słucham go bez końca i nie mogę odejść, bo tak mi przyjemnie i słodko, że lzy płyną z oczu, jak gdyby mię matuchna całowała.

— Słuchaj — przerwał szambelan — dostaniesz miejsce nadwornej kucharki i

wyrobie ci prawo patrzenia przez szparę, jak cesarz obiada, jeśli nas zaprowadzisz do słowika, który musi być dziś wieczorem przedstawiony u dworu.

I natychmiast ruszyli wszyscy za dziewczynką do lasu, gdzie śpiewał słowik. Uszli już dość daleko, kiedy ryknęła krowa.

— Oho! — zawołał z radością szambelan. — Słyszycie go! Co za siła w małym ptaszku. Istotnie, to zadziwiające! Ale zdaje mi się, że go już słyszałem kiedyś?

— To krowa ryczy — rzekła mała pomywaczka. — Do miejsca, gdzie mieszka słowik, jeszcze bardzo daleko.

Wkrótce w pobliżym błocie zarechotały żaby.

— Ach, jak ślicznie! — zawołał kapelmistrz nadworny. — Zupełnie jak szklane dzwonki!

— To żaby — odezwała się znowu dziewczynka — ale teraz zapewne usłyszymy go już niedługo.

Rzeczywiście niebawem rozległa się pieśń słowika.

— To on! — zawołała z radością dziewczynka. — Ach, słuchajcie, słuchajcie! Patrzcie, siedzi na gałęzi!

I wskazała szarą ptaszynę pośród zielonych liści.

— Czyż to być może? — spytał zdumiony szambelan. — Nigdy nie przypuszczałem, aby słowik mógł mieć tak pospolitą powierzchowność. Chyba że stracił barwy pod wpływem wzruszenia, na widok tylu osób znakomitych.

— Słowiczku! — zawołała radośnie dziewczynka. — Nasz cesarz życzy sobie, abyś mu zaśpiewał.

— Z największą chęcią — odpowiedział słowik i zaśpiewał, jak mógł najlepiej.

— Jak dzwoneczki! jak srebro! — powtórzył szambelan. — Bardzo pięknie, prześlicznie! Patrzcie tylko, jak to gardziołko pracuje! Przepowiadam, że u dworu będzie miał niesłychane powodzenie.

— Czy mam jeszcze zaśpiewać dla cesarza? — zapytał słowik, przekonany, że sam monarcha słucha jego pieśni.

— Najmilszy słowiku — przemówił szambelan — mam zaszczyt w imieniu cesarza zaprosić cię na dziś wieczór do pałacu, abyś mógł cudownym śpiewem zachwycić samego monarchę.

— Najlepiej lubię śpiewać w lesie — odparł słowik — lecz skoro cesarz żąda, stawię się wieczorem w pałacu.

W głównej sali porcelanowej przygotowano wspaniałe przyjęcie, — ściany, sufit i podłoga błyszcząły od świateł, w korytarzach ustawiono najpiękniejsze kwiaty, a dzwoneczki na nich dzwoniły tak głośno, że trudno było rozmawiać swobodnie.

Na środku sali, przed cesarskim tronem, umieszczono złoty pręcik dla słowika. Dwór cały był zebrany, mandaryni w galowych strojach, damy w toaletach balowych, nawet małej pomywaczce, która znalazła słowika, pozwolono patrzeć przez szparę, gdyż mianowaną została obecnie nadworną kucharką jego cesarskiej

mości.

Wszystkie spojrzenia były zwrócone na ptaszka w szarych piórkach, siedzącego na złotym pręciku; sam monarcha skinął mu głową łaskawie.

Wtem słowik zaczął śpiewać. Śpiewał tak cudownie, że łzy błysnęły w oczach chińskiego cesarza i spłynęły mu z wolna po policzkach. Widząc to, słowik śpiewał jeszcze piękniej, głos jego przenikał serca i napełniał je weselem. Rozpromieniło się oblicze władcy i w uniesieniu radości obdarował śpiewaka własnym swym złotym pantoflem, który ptaszek odtąd mógł nosić na szyi.

Ale słowik podziękował za dar tak wspaniały.

— Jestem wynagrodzony dostatecznie — mówił — widziałem łzy w twych oczach, o monarcho, to najwyższa nagroda dla śpiewaka. Łzy twoje mają cenę i wartość niezwykłą, sam Bóg widzi, że hojnie zostałem wynagrodzony.

I znowu zaczął śpiewać, jeszcze rzewniej, jeszcze piękniej.

Cały dwór był w zachwycie. Damy w balowych strojach nabierały w usta wody i głośno przelewały ją w gardziółkach. co miało naśladować głos słowika; mandaryni i dworzanie kiwali głowami, nawet służba wyrażała zupełne zadowolenie, a to znaczy bardzo wiele, bo jej dogodzić — jak wiadomo — trudniej, niż najwyższym dygnitarzom.

Słowem powodzenie śpiewaka było nieporównane.

Miał odtąd zostać na cesarskim dworze i zamieszkać w pałacu, w klatce złotocnej, z której wolno mu było wylatywać na przechadzkę dwa razy dziennie i raz każdej nocy. Do posługi dano mu dwunastu lokai, a każdy do nóżki ptaka przywiązał jedwabny sznurek, aby mu lepiej było latać.

W całym mieście nie rozmawiano o niczem, tylko o cudownym ptaku i jeśli dwie osoby spotykały się na ulicy, to zamiast powitania, jedna z nich natychmiast wymawiała "sło" — a druga kończyła "wik." Dwunastu kupców imieniem słowika nazwało dzieci swoje, choć z tych "Słowików" żaden nie miał w gardle struny słowicznej.

Dnia pewnego cesarz otrzymał pakiecik z napisem: "Słowik."

Pewno nowe dzieło o naszym śpiewaku — rzekł zadowolony.

Lecz w pakiecie nie było książki, tylko słowik sztuczny, zrobiony bardzo dziwnie i misternie, a cały osypany brylantami, rubinami i szafirami.

Gdy nakręcono tę maszynkę, sztuczny słowik zaśpiewał zaraz pieśń długą i uczoną. Przytem bardzo wspaniale poruszał ogonem, który się mienił blaskiem kosztownych kamieni. Na szyi miał jedwabną wstążeczkę z napisem: — "Czemże jest słowik Dalaj-Lamy w porównaniu ze słowikiem cesarza chińskiego!

— Cudowny! Wspaniały! — wołali dworacy i ten, kto doręczył pakiet cesarzowi, otrzymał zaraz tytuł "Nadwornego Oberśłowicznika jego cesarskiej mości."

— A teraz niechaj razem zaśpiewają — rozkazał cesarz — będzie wspaniały duet.

Nakręcono sztucznego ptaka i mieli śpiewać razem, lecz duet się nie udał, gdyż

słowik sztuczny śpiewał podług przepisanej miary, a leśny śpiewak z serca i natchnienia.

— Ten nic nie winien — zdecydował kapelmistrz nadworny, wskazując sztucznego ptaka, — doskonale trzyma się taktu, jak gdyby się wykształcił w mojej szkole.

— Nakręcono go więc do śpiewania solo i miał powodzenie niemniejsze od słowika prawdziwego, a kosztownym, błyszczącym strojem bardziej zachwycał wszystkich.

Jedną i tę samą sztukę śpiewał trzydzieści trzy razy i nie zmęczył się wcale. Wszyscy słuchali go z wielkim zajęciem, lecz nie umieli jeszcze melodyi na pamięć, gdyż była bardzo trudną. Chcieli nakręcić go raz trzydziesty czwarty, ale cesarz zażądał, aby teraz zaśpiewał słowik żywy.

... Lecz gdzież się podział?...

Niepostrzeżony wyfrunął przez okno i uciekł do swojego lasu zielonego.

— A to co? — pytał cesarz z niezadowoleniem.

— A to co? — powtórzyli natychmiast dworacy i zaczęli szemrać z głośnym oburzeniem, wyrzucając niewdzięczność słowikowi.

— Na szczęście lepszy ptak nam został — zdecydowali wreszcie.

Kazano go nakręcić po raz trzydziesty czwarty i wysłuchano znowu z poważnym skupieniem doskonałej i trudnej pieśni, której nikt jeszcze nie mógł się nauczyć. Kapelmistrz nie miał dość słów na pochwałę misternego śpiewaka, który jego zdaniem, wart był nieskończenie więcej od słowika prawdziwego, nie tylko z powodu pięknej i kosztownej powierzchowności, lecz głównie ze względu na znakomity wewnętrzny mechanizm.

— Raczcie panowie tylko sami ocenić tę różnicę: — mówił — ze słowikiem prawdziwym nigdy nie wiadomo: co zaśpiewa? jak zaśpiewa? Jest się na jego łasce. A w sztucznym wszystko stałe, jasno określone i wiadome. Można go otworzyć, obejrzeć walce i sztyfciki, zrozumieć, skąd się głos bierze i jakim sposobem.

I wszyscy byli tego zdania, a Nadworny Oberśłowicznik otrzymał pozwolenie pokazania ptaka ludowi w najbliższe święto.

Wszyscy słuchali go z wielkim zachwytem i podnosili w górę palec wskazujący, wołając: "O"! — potem się rozchodzili, kiwając głowami.

Tylko biedni rybacy, którzy słyszeli nieraz śpiew słowika, inaczej myśleli sobie.

— Ładnie śpiewa — mówili — ale czegoś mu brakuje. A czego? Sami nie wiemy.

Na słowika zapadł wyrok wygnania z granic chińskiego państwa.

Sztucznego ptaka umieszczono na jedwabnej poduszce u wezgłowia cesarza. Otaczały go wszystkie kosztowności i dary, które otrzymał za pieśni; przyznano mu też tytuł: "Wielkiego śpiewaka jego cesarskiej mości" i pierwsze miejsce obok cesarza przy stole po lewej stronie, jako po stronie serca, to jest ważniejszej, gdyż i chiński cesarz ma też serce po lewej stronie.

Kapelmistrz nadworny napisał o nim dzieło bardzo uczone i pełne niezwykłych

wyrazów w dwudziestu pięciu tomach; każdy je też kupował i wychwalał, aby o nim nie pomyślano, że jest nieukiem, który podobnych rzeczy nie rozumie.

Tak upłynął rok cały. Nietylko dwór i cesarz, ale wszyscy mieszkańcy stolicy umieli już piosnkę słowika na pamięć, słuchano jej wszakże z coraz większą przyjemnością, gdyż każdy mógł wtórować teraz śpiewakowi. Przyśpiewywali też wszyscy: thiu, thiu, thiu! glu, glu, glu! śpiewali ulicznicy na ulicach, śpiewał i sam monarcha.

Ale pewnego wieczora, kiedy cesarz, leżąc w łóżku, słuchał znanej pieśni, nagle coś w ptaku brzęknęło, trzasnęło, zakręciło się, zawarczało i trrr! — umilkło.

Monarcha wyskoczył z łóżka i posłał natychmiast po nadwornego doktora. Cóż tu jednak poradzić mógł doktor? Udano się do zegarmistrza i ten, obejrzawszy bardzo uważnie maszynkę i pokiwawszy głową w rozmaite strony, zdecydował, że ptaka jeszcze naprawić można, lecz zarazem zapowiedział, że trzeba oszczędzać go bardzo, gdyż śrubki się wytarły, a zastąpić jenowemi niepodobna.

Rozpacz! Tylko raz na rok można było teraz nakręcać słowika, a i ta próba zawsze była dla niego niebezpieczną. To też po każdej pieśni kapelmistrz nadworny ocierał spocone czoło i wygłaszał mowę, bardzo piękną i pełną najniezwykłych wyrazów, w której zapewniał, że śpiew sztucznego ptaka doskonalszy jest, niż kiedykolwiek.

I znowu pięć lat upłynęło, kiedy niespodzianie na kraj spadło już teraz prawdziwe nieszczęście: cesarz zachorował ciężko i doktorzy zapewniali, że niema dla niego ratunku. Wybrano więc następcę, i tylko lud, przywiązany szczerze do monarchy, gromadził się przed pałacem, dopytując o jego zdrowie.

— Hm! — odpowiadał mu tylko szambelan i potrząsał głową znacząco.

A cesarz leżał na wspaniałym łożu blady i zimny. Dwór cały miał go już za umarłego, więc pusto było w tej części pałacu; urzędnicy i mandaryni śpieszyli do nowego władcy, bo on teraz rozdawać mógł łaski i skarby. Ze służby także przy nim nie było nikogo, lokaje i pokojówki, korzystając z chwilowego bezkrólewia, urządzili u siebie wspaniałe przyjęcie i rozpowiadali ciekawym o wszystkim, co wiedzieli i o czym nie wiedzieli wcale.

Wysłano dywanami wielkie sale i korytarze, aby kroków słychać nie było, więc w pałacu panowała dziwna cisza, żadnym szmerem nie zakłócona.

Ale cesarz nie umarł, choć leżał bezwładny na purpurowym łożu, osłonięty ciężką kotarą z purpurowego aksamitu ze złotymi łańcuchami. Przez otwarte okno wpadał do pokoju jasny blask księżyca i oświetlał salę, postać cesarza i sztucznego ptaka na jedwabnej poduszce u wezgłowia.

Pierś monarchy podnosiła się zaledwie słabym i męczącym oddechem, gdyż czuł na niej ciężar, niby kamień olbrzymi. Otworzył oczy, ażeby zobaczyć, co go tak okropnie przygniata i ujrzał — śmierć. Na jego sercu siedziała koścista, w jego własnej koronie, z jego mieczem w ręku, sztandarem w drugiej. Wszystkie cesarskie skarby mu zabrała, teraz odbierze życie.

A z poza fałd kotary ciężkiej, aksamitnej, wysuwały się dziwaczne postacie:

jedne uśmiechnięte, pogodne i jasne, inne okropne, straszne. Były to złe i dobre uczynki cesarza, które wróciły doń w godzinie śmierci, aby z nim razem opuścić tę ziemię.

Co chwila wychylały się z poza firanek i mówiły do niego.

— A pamiętasz o tem? — A to pamiętasz? — A nie zapomniałeś tamtej godziny? A tamto? A tamto?

I mówiły tak wiele, że choremu pot śmiertelny okrył czoło i nie wiedział, co począć, aby nie słyszeć ich więcej.

— Nigdy w życiu nie doznawałem takiej męki! — szeptał. — Ja nie chcę tego słyszeć! Muzyki! Muzyki! Bicie w wielki bęben chiński, abym nie słyszał ich głosów! Nie chcę słyszeć, co one mówią!

Lecz postacie z poza kotary śmiały się i mówiły ciągle, ciągle, bez ustanku, a śmierć, jak Chińczyk, wciąż kiwała głową w złotej koronie.

— Muzyki! Muzyki! — powtarzał zmęczony monarcha. — Słowiczku mój złoty, ty mi zaśpiewaj! Ja cię tak kochałem! Obsypywałem cię podarunkami, własny pantofel na twojej szyi zawiesiłem! Zaśpiewajże mi teraz! Czyż mi nie zaśpiewasz?...

Ale ptak milczał. Nie było nikogo, ktoby go nakręcił, więc bezduszna maszynka zaśpiewać nie mogła.

I śmierć tylko patrzyła na chorego pustymi otworami w czaszce, a dokoła panowała straszna i dręcząca cisza...

Wtem na zielonej gałęzce za oknem rozległa się pieśń cudna: to prawdziwy słowik!

Dowiedział się o chorobie cesarza i zaraz przyleciał do niego z pieśnią nadziei i ukojenia. I śpiewał tak cudownie, że straszne widziadła pobladły i znikwały, a krew coraz szybciej krążyła w sztywnych i stygnących członkach umierającego. Śmierć nawet sama kiwać się przestała i zasłuchana, powtarzała tylko:

— Ach, śpiewaj jeszcze, śpiewaj!

— A oddasz mi cesarski miecz? — Cesarski sztandar? — Oddasz złotą koronę? — pytał słowik.

I śmierć oddawała zagrabione skarby jeden po drugim za pieśni cudowne.

A słowik śpiewał dalej, coraz rzewniej, piękniej. Śpiewał o nocy i ciszy cmentarza, gdzie kwitną białe róże na świeżej mogile, gdzie czeremcha rozlewa woń upajającą, a rosa łez ludzkich pada na trawę i kwiaty.

I porwana tęsknotą do ziemi ojczystej, śmierć się rozwiła w mgłę jasną i, lekka jak obłoczek, uleciała przez otwarte okno.

— O dzięki ci! — rzekł cesarz. — Dzięki ci, ptaku niebiański! Poznałem cię. Ja ciebie wygnałem z królestwa i granic państwa mego, a ty rozproszyłeś okropne widma, które mię dręczyły i śmierć samą oderwałeś od mojego łoża. Jakże cię wynagrodzę?

— Już jestem wynagrodzony — odparł słowik. — Widziałem łzy w twych oczach,

kiedy po raz pierwszy zaśpiewałem dla ciebie, i tego nigdy wżyciu nie zapomnę.
Łza — to najdroższy klejnot dla śpiewaka, większej nagrody nikt mu dać nie może.

— A teraz uśnij; sen powraca zdrowie; ja ukołyszę cię do snu piosenką.

I zasnął chory cesarz, uśpiony czarowną, słodką melodią pieśni, co płynęła z serca.

Promienie słońca zajrzały przez okno do sali porcelanowej i cesarz zbudził się silny, zdrowy.

Przy nim nie było nikogo: służba myślała, że nie potrzebuje już od niej postug,
— tylko na gałązce za oknem śpiewał słowik, prawdziwy przyjaciel, który nie szukał nagrody i sławy, lecz umiał kochać wiernie.

— Zostań przy mnie na zawsze — rzekł do niego cesarz — będziesz śpiewał wtedy tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka rozbiję na drobne kawałki.

— Pozostaw go — prosił śpiewak — wszak służył ci wiernie, o ile było w jego mocy. Ja w pałacu żyć nie umiem, nie mogę tu wic gniazda; ja potrzebuję swobody i lasu. Jestem śpiewakiem Bożym i nie mogę na tym świecie być niczym niewolnikiem ani służyć nawet napotężniejszemu i najlepszemu z monarchów. Mogę być jednak jego przyjacielem. Co dzień wieczorem siądę na gałązce u twego okna i śpiewać ci będę, aby cię rozweselić i ukoić; moja piosenka zbudzi w twoim sercu przyjaciół prawdy, uczucia szlachetne, które dworacy sztucznie usypiają. Będę ci śpiewał o wszystkim, co smutne, o cierpiących i nieszczęśliwych, o pokrzywdzonych i o zapomnianych, o wszystkim, co ukrywają przed tobą. Mały ptaszek lata wszędzie, wszystko widzi, — zna ubogie chatki rybaków nad morzem i pracujących w pocie i znoju rolników, których ty, panie, nie widziałaś nigdy. Nad koronę twoją przekładam twe serce i do niego przemawiać będę w moich pieśniach. Przrzecz mi tylko jedno.

— Wszystko, czego zapragniesz! — odrzekł, wstając, cesarz — i na znak przysięgi miecz złoty przycisnął do serca.

Wyglądał znowu wspaniale w bogatym cesarskim stroju, który sam dziś przywdział, słuchając głosu ptaka-przyjaciela.

— Nie mów nikomu o tem — dodał słowik — że jest ptaszek maleńki, który tobie tylko śpiewa pieśni miłości i prawdy. Wierz mi: tak będzie lepiej.

I słowik odleciał.

Do komnaty cesarskiej weszli dworacy i służba, urzędnicy i mandaryni, wszyscy przyszli pożegnać zmarłego monarchę, po raz ostatni spojrzeć na twarz jego.

Wtem stanęli zdumieni: cesarz stał ubrany, z mieczem, w koronie, zdrów, silny i wesoły.

— Witam was! — rzekł uprzejmie.

ŚLIMAK I RÓŻA.

Nad rowem wyrósł szpaler leszczynowy, poza nim rozciągały się łąki i pola, z drugiej strony był ogród, a w ogrodzie zakwitł krzak róży.

Pod krzakiem siedział ślimak i myślał o sobie.

— Zaczekaj — mówił — przyjdzie czas i na mnie, a wtedy się okaże moja wartość. Na coś lepszego jestem przeznaczony, niż dawać światu róże lub orzechy, a choćby mleko, jak krowy i owce.

— Bardzobym chciała widzieć — rzekła róża — co pan da światu. Kiedyż to nastąpi?

— Nie potrzebuję się śpieszyć — odparł ślimak. — Wam tylko zawsze pilno. Zaczekajcie.

W następnym roku ślimak siedział znów pod krzakiem róży, wygrzewając się na słońcu. Nad nim zwieszały się pączki i róże, pełne, świeże, pachnące. Ślimak wysunął się ze swego domku, wyciągnął różki i schował je znowu.

— Wszystko jak w zeszłym roku — rzekł niechętnie — żadnej zmiany ani postępu. Krzak różany wydaje róże i nic więcej!

Róże kwitły przez lato, do późnej jesieni, dopóki śnieg nie upadł. Wtedy krzaczek zasnął, a ślimak skrył się w ziemi.

Znów zaświtał rok nowy, róże się rozwinęły, ślimak usiadł na słońcu, pod różanym krzakiem.

— Zestarzałeś się — rzekł, kiwając głową. — Zapewne uschniesz wkrótce, bo oddałeś światu wszystko, co mu dać mogłeś. Nie mam czasu się zastanawiać, czy twoje dary miały jaką wartość, to tylko jasnym jest dla mnie, że sam z siebie nie zrobiłeś nic nowego, pozostałeś tym samym kijem, jakim byłeś. Żadnej zmiany ani postępu. Czy mię rozumiesz dobrze?

— Przerażasz mię, ślimaku! — rzekła róża. — Nigdy się jeszcze nad tem nie zastanawiałam.

— Zdaje mi się, że wogóle nie zastanawiasz się nigdy nad niczem — zauważył ślimak obojętnie. — Czy np. pomyślałaś kiedy o tem, po co kwitniesz? Jakim sposobem kwitniesz? I dlaczego w taki sposób, a nie inny?

— Nie — rzekła róża. — Kwitnę, bo kwitnąć muszę, bo to jest szczęściem, życiem. Słońce świeci i grzeje, powietrze mię żywi, deszcz i rosa poi. Oddycham, czuję, żyję! Z ziemi płynie we mnie jakaś nowa siła, ożywcza i potężna: czuję się coraz szczęśliwszą i muszę kwitnąć. Inaczejbym nie żyła.

— Być może, — widzę, że ci dość wygodnie żyć w taki sposób, nic nie rozumiejąc.

— Dobrze mi — rzekła róża — tak wiele mi dano! Choć panu dano więcej. Zdaje mi się, że należysz do tych genialnych istot, których myśli świat zdumiewają.

— Mało sobie z tego robię — odparł ślimak. — Cóż mię ten świat obchodzi? W

sobie samym mam dosyć skarbów.

— Tak, — zapewne, — szepnęła róża — ale czyż wszyscy nie dajemy światu, co w nas jest najlepszego? na co możemy się zdobyć? Ja dawałam mu tylko różę, bo nic innego nie mam! Ale pan, który posiadasz tak wiele, co oddasz światu?

— Ja? Ja mu nic nie dam. A cóż on mnie obchodzi? Oddawaj sobie, moja droga, swoje różę, a leszczyna-orzechy, a owce-mleko, każde z was pragnie pochwal i wdzięczności, każde chce sobie zdobyć wielbicieli. A ja tem gardzę. Ja jestem sarn w sobie. Co mam, to dla siebie, i sam to najlepiej ocenić potrafię. Świat dla mnie nie istnieje i nie obchodzi mię wcale.

To powiedziawszy, schował się do swego domku i otwór zasłonił śliną.

— Jaki on mądry! — rzekła róża w zamyśleniu. — Szkoda, że niebardzo go rozumiem. Ale to nic dziwnego, nie mam przecież takiej głowy. Nie mogę się też schować, jak on, do swego domku i muszę tu stać ciągle pod otwartem niebem i oddawać światu różę. Biedne różę! wędną, tracą wonne płatki i wiatr niemi pomiata. Ale jedną śliczną dziewczyna włożyła do książki o złoconych brzegach, w której muszą być także piękne kwiaty, bo kiedy ją czytała, widziałam uśmiech na jej twarzy, a łzy przejrzyste w oczach. A drugą różę przypięła do piersi i dobrze jej tam było na gorącym sercu. A trzecią różę całowało dziecię i oddało ją matce. Czwartą złożono na trumnie staruszka, co kochał kwiaty. To wszystko daje mi radość i szczęście, krąży koło mnie jak błogosławieństwo. Lubię wspominać o tem, — to jest życie!

Róża kwitła co roku i oddawała światu kwiaty swoje, tylko myśleć nie mogła, bo nie miała głowy, jak ślimak. A ślimak siedział w swoim ciasnym domku i rozmyślał o sobie. Świat nic go nie obchodził.

Wiele lat upłynęło. Ślimak żyć przestał i w proch się zamienił, przestała żyć i róża, a jej krzaczek także spróchniał, w proch się zamienił. Została po nim jedna tylko róża w książce ze złoconymi brzegami.

W ogrodzie jednak kwitną inne różę, a ślimaki wygrzewają się na słońcu i rozmyślają o swojej wartości. Świat nic ich nie obchodzi.

CIEŃ.

W gorących krajach słońce pali tak okropnie, że skóra ludzka od jego promieni ciemnieje, aż staje się zupełnie czarną u Murzynów.

Pewien młody uczoney z naszych stron północnych udał się w kraje gorące. O różnicy klimatu wiedział bardzo dobrze z książek, ale się wielu rzeczy nawet nie domyślał. Nie przypuszczał naprzykład, że w ciągu dnia, kiedy słońce świeci jasno, będzie musiał, jak wszyscy tamtejsi mieszkańcy, siedzieć zamknięty w domu. Wyglądało to, jakby wszyscy w mieście spali: zamykano okienice, drzwi i bramy, zapuszczano ciężkie rolety. Na ulicach było pusto. Na tej ulicy zwłaszcza, gdzie zamieszkał nasz młody uczoney, niepodobna było wytrzymać: słońce świeciło na niej od rana do nocy i zdawało się biedakowi, że siedzi w rozpalonym piecu.

To gniewało go i męczyło, schudł i pobladł; nawet cień jego się skurczył i krył, jak mógł, przed słońcem, czekając, aż zajdzie, aby odżyć znowu. Przyjemnie i zabawnie było patrzeć na to: ledwo wniesiono światło do pokoju, cień prostował się, wydłużał, grubiał, rozpościerał po ścianie i suficie. Musiał się wyciągać, aby nabrać sił i rozmiarów.

I uczoney młodzieniec też oddychał. Otwierał okna, siadał na balkonie, a gdy zgasły ostatnie zorze i gwiazdy zamigotały na niebie, zdawało mu się, że wraca do życia. Całe miasto także budziło się ze snu: na balkonach, które przy każdym mieszkaniu znajdują się w tych krajach, ukazywali się ludzie, ażeby odetchnąć trochę chłodniejszym powietrzem; ulica się zaludniała. Krawcy i szewcy siadali przed swymi sklepami, wynoszono krzesła, stoliki i światła, rozlegały się śmiechy i rozmowy. Tu idą na przechadzkę wesołe gromady, strojne panie, panowie, tam ubożsi, spracowani robotnicy. Słychać śpiewy i krzyki. Cisną się powozy, dzwonią dzwonki osłów. Tam prowadzą nieboszczyka z muzyką, śpiewami, biją w kościelne dzwony. Pełno życia i wrzawy na ulicy.

W jednym tylko domu, właśnie naprzeciw mieszkania uczonego młodzieńca, dziwnie było cicho. A przecież ktoś tam mieszkał: stały kwitnące kwiaty na balkonie, musiał je ktoś podlewać, skoro nie pomdlały od słonecznego żaru; drzwi uchylano także przed wieczorem, choć w pokoju było ciemno, przynajmniej w tym od ulicy; a z głębi domu dochodziły ciche, słodkie dźwięki muzyki.

Młodzieńcowi wydawało się to cudownie pięknem, — być może jednak, że tylko mu się tak zdawało, gdyż wszystko podobało mu się w ciepłych krajach prócz palącego słońca. Chcąc się czegoś dowiedzieć o sąsiadach, dopytywał gospodarza swego domu, ale ten nic nie wiedział. Ktoś niezawodnie mieszkał naprzeciwko, ale kto — niewiadomo. A co do muzyki, uważał ją za bardzo nudną.

— Ktoś się uczy jednej i tej samej sztuki; jedno i jedno w kółko. To nieznośnie nudne.

Razu pewnego uczoney młodzieniec zbudził się w nocy. Spał przy otwartym oknie i kiedy wiatr lekko uniósł firankę, wydawało mu się, że na balkonie sąsiedniego domu widzi szczególne światło. Podniósł się na łóżku i spojrzał

naprzeciwko: — kwiaty na balkonie jaśniały dziwnym blaskiem, jak płomyki, a pomiędzy nimi stała prześliczna dziewczyna. I spostrzegł nagle, że to od niej bije ten blask cudowny, który go olśniewa.

Czy to nie senne złudzenie? Zerwał się z pośłania, odsunął firankę — ale dziewczyna zniknęła natychmiast, zniknęło dziwne światło, kwiaty nie płonęły niby żywe ogniki, choć wydawały się piękne jak zawsze. Drzwi do pokoju były uchylone i z wnętrza domu płynęła muzyka tak cicha, słodka, iż można było przy niej zapomnieć rzeczywistości i marzyć, marzyć bez końca.

Prawdziwe czary. Ale kto tam mieszka? I którądy się wchodzi do tego mieszkania, bo od ulicy ani z boków domu niema bramy ani furtki, a dół zajmują same sklepy.

W kilka dni potem pewnego wieczora usiadł młodzieniec znowu na balkonie. Za nim w pokoju paliło się światło, więc też cień jego padał na dom przeciwległy.

I siedział tam na balkonie pośród kwiatów; a gdy się uczony poruszył, cień wykonywał takie same ruchy na tajemniczym balkonie.

— Zdaje mi się — pomyślał, patrząc na to młody człowiek że cień mój jest jedyną żyjącą istotą, która przebywa w tym szczególnym domu. Siedzi sobie między kwiatami, niby ich pan i właściciel, a ponieważ drzwi od pokoju uchylone, mógłby się zręcznie wsunąć i do środka, obejrzeć wszystko, co się tam znajduje i za powrotem opowiedzieć mi dokładnie.

— Tak, tak — rzekł żartobliwie — mój kochany cieniu, choć raz w życiu powinienes przydać mi się na co. No, cóż? Idziesz? Dalej, śmiało, wchodź do środka!

I skinął głową. Cień skinął także.

— No, to idź, tylko nie baw tam za długo. Czekam pana.

Podniósł się z krzesła, cień podniósł się także na przeciwległym balkonie; a ktoby patrzył wtedy uważnie na wszystko, łatwoby dostrzegł, że w tej samej chwili, kiedy młodzieniec wchodził do swego pokoju i zapuszczał firankę, cień przez drzwi uchylone wsunął się do tajemniczego mieszkania.

Kiedy nazajutrz z rana młody człowiek wyszedł jak zwykle, aby przeczytać gazety i wypić szklankę kawy, ze zdziwieniem spostrzegł, przechodząc ulicą, że nie ma wcale cienia.

— A to co? — rzekł zdziwiony. — Nie mam cienia? Czyżby wczoraj poszedł naprawdę i nie powrócił dotąd?

I rozgniewało go takie zuchwalstwo.

Wieczorem usiadł znowu na balkonie i postawił światło za sobą w pokoju, wiedząc dobrze, że cień musi mieć przed nim tarczę ze swego pana. Ale cienia nie było. Podnosił się i siadał, przeciągał, kurczył — nic nie pomagało. Chrząknął kilka razy głośno — i to na nic.

To mogło go rozgniewać.

Lecz że w gorących krajach wszystko szybko rośnie, więc po tygodniu zauważył

z przyjemnością, że nowy cień zaczyna muż pod nóg wyrastać, kiedy idzie po słońcu; widocznie korzenie zostały. Po trzech tygodniach cień był całkiem przyzwoity, a gdy wrócił z podróży do ojczyzny, nieodstępny towarzysz każdego człowieka był tak duży, że mógłby oddać połowę bliźniemu.

Powróciwszy do domu, uczony pisał książki o wszystkim, co na świecie poznał, co jest prawdą, co jest piękne i dobre. — Tak upłynęło dni wiele, lat wiele. Wiele lat upłynęło.

— Uczony — już niemłody — siedział raz w swoim pokoju; wtem zapukano do drzwi.

— Proszę! — rzekł, — ale nikt jakoś nie wchodził.

Więc wstał, drzwi otworzył. Przed nim stał człowiek nadzwyczajnie chudy, który dziwnie mu się podobał. Zresztą był ubrany bardzo przyzwoicie i wyglądał na niepospolitą osobę.

— Z kim mam honor? — spytał uczony.

— Wiedziałem, że mię pan nie pozna — odparł z uśmiechem obcy. — Bo też stałem się o tyle człowiekiem, że już mogę nosić ubranie. Nie spodziewał się pan naturalnie spotkać mię w takim stanie? Czyż nie poznaje pan swojego cienia? Pewno pan nie przypuszczał, że powrócę kiedy? Ale powiodło mi się nadzwyczajnie, jestem dzisiaj bogaty i chciałem się wykupić.

Zadzwoił kosztownymi brelokami, na rękę błysnął mu pierścień z brylantem, gruby, złoty łańcuch wisiał u zegarka.

— Nie mogę przyjść do siebie — rzekł uczony. — Co to ma wszystko znaczyć?

— Naturalnie, że to niezwykła historia — odrzekł cień z całą powagą — ale pan jesteś także człowiekiem niezwykłym, a ja od pierwszej chwili mego życia uczyłem się wstępować w twoje ślady. Nic też dziwnego, że skoro uznałeś, iż jestem zdolny iść o własnej sile, sam mię w świat wyprawiłeś. Dziś mam świetne stosunki i majątek. Ale opanowała mię tęsknota zobaczenia pana raz jeszcze, nim umrzesz, i odwiedzenia zarazem ojczyzny. Każdy ma przywiązanie do swojego kraju. Wiem, że masz pan cień inny, więc czy jemu czy też panu mam dług spłacić? Racz powiedzieć mi bez ceremonii.

— Czy to naprawdę ty jesteś? — mówił tymczasem uczony. — To nie do uwierzenia! Nigdybym nie przypuścił, że można swój własny cień spotkać, jako człowieka!

— Powiedz mi pan tylko, ile mam zapłacić — nalegał gość — długów nienawidzę.

— Jak możesz o tem mówić? — rzekł uczony. — Nie wiem o żadnym długu. Jesteś wolnym jak każdy! Cieszę się niezmiernie, że ci się tak powiodło. Siadaj, stary przyjacielu i opowiedz mi coś o sobie. I cóżeś tam zobaczył w tym domu zaczarowanym, który mi cię odebrał?

— Najchętniej to panu opowiem — rzekł cień, siadając — musisz mi jednakże przyrzec, że nikomu nie powiesz tutaj w mieście, iż byłem twoim cieniem. Widzisz pan, chcę się żenić. Mam na to.

— Ależ bądźże spokojny, mój kochany — rzekł uczony serdecznie — nikomu ani słówka nie powiem, kim jesteś rzeczywiście. Masz na to moje słowo.

— Słowo — cień, — szepnął gość z dziwnym uśmiechem.

Można było jednak poznać, że on sam rzeczywiście nie jest już cieniem, ale prawdziwym człowiekiem. Ubrany był doskonale: miał czarny, wykwintny garnitur, krawat czarny w najlepszym guście, cienkie lakierki, składany kapelusz, nie mówiąc o brelokach, brylantach w pierścieniu i kosztownym łańcuszku. Taki strój nie mógł przecież należeć do cienia.

— Więc posłuchaj pan — rzekł, wygodnie opierając swoje lakierki na ramionach nowego cienia, który niby pies wierny spoczywał u nóg swego pana. Gość chciał mu przez to może okazać swą wyższość, a może przykuć go mocniej do ziemi; — ale cień nowy zniósł to pokornie, bez ruchu, nasłuchując w milczeniu, jakim to sposobem można się stać niezależnym.

— Wiesz pan, kto mieszkał w domu naprzeciwko? — przemówił wreszcie gość z uśmiechem. To było najciekawsze. Wyobraź pan sobie — Poezya? Zabawiłem u niej trzy tygodnie, a to znaczy to samo, co żyć lat trzy tysiące i przeczytać wszystko, co stworzono i napisano. Mogę też powiedzieć śmiało: znam wszystko i wszystko widziałem na świecie!

— Poezya! — cicho powtórzył uczony. — Tak, ona często bywa samotnicą w wielkich i ludnych miastach. Poezya!... Tak, widziałem ją na mgnienie oka, choć sen mi ciążył jeszcze na powiekach. Widziałem jednak: stała na balkonie i jaśniała jak zorza północna; kwiaty ją otaczały jak żywe płomienie. Opowiadaj, mój drogi, opowiadaj! Jakież to zajmujące! Więc cóż? Skoro wszedłeś przez drzwi wpółotwarte do pierwszego pokoju...

— To był przedpokój panie. Mieliśmy jej przedpokój naprzeciw naszego balkonu. Tam nie było światła, tylko półmrok bardzo przyjemny, ale przez cały szereg drzwi otwartych widziałem mnóstwo komnat oświetlonych, coraz jaśniej, coraz wspanialej. Światło zabiłoby mię niezawodnie, gdybym był lekkomyślny i chciał się zbliżyć do dziewczycy, stanowiącej punkt środkowy tego blasku, — ale jestem przezorny. Człowiek przedewszystkiem musi być cierpliwy i przezorny.

— Więc cóżeś w końcu ujrzał? — zapytał uczony.

— Wszystko, panie, i to ci pragnę opowiedzieć, ale — doprawdy, to nie duma z mojej strony — lecz jako człowiek wolny, z mojem wykształceniem, nie mówiąc o stanowisku, majątku, stosunkach, doprawdy chyba mam prawo wymagać, abyś mi pan "ty" nie mówił?

— Ach, przepraszam! — rzekł uczony. — Rzeczywiście! To stare przyzwyczajenie, na które nie zwróciłem uwagi. Masz pan zupełną słuszość, postaram się pamiętać o tem, tylko mi opowiedz wszystko, co widziałeś u Poezyi.

— Najchętniej — rzekł cień — wszystko, bo wszystko wiem przecież i wszystko sam widziałem.

— Więc jakże tam było dalej? — Jak wyglądało Jej mieszkanie? — pytał uczony z niezmiernem zajęciem. — Czy przypominało cichy gaj cienisty, czy świątynię?

Czy niebo gwiazdziste widziałeś nad sobą, z tem uczuciem, że stoisz na wysokiej górze?

— Wszystko to, wszystko razem — rzekł cień. — Wprawdzie nie poszedłem dalej, bo jak panu wiadomo, światło tam oślepia, lecz z przedpokoju wszystko widać bardzo dobrze. Wygodnie mi tam było w tym półmroku; widziałem wszystko i wiem teraz wszystko. Niedarmo przebywałem na dworze Poezyi.

— Ale cóżeś pan widział na nim? Czy bogowie przeszłości przechadzają się po wielkich salach? Czy przebywają w nich bohaterowie, otoczeni blaskiem sławy? Czy niewinne dzieci igrają wesoło, opowiadając sobie sny cudowne?

— Zapewniam pana przecież, że tam byłem, więc musiałem widzieć wszystko, co godnem było zobaczenia i dzisiaj wiem to wszystko. Pan na mojem miejscu przestałbyś tam zapewne być człowiekiem, ale ja nim właśnie zostałem! Tam dopiero zrozumiałem swoją wartość i poznałem bardzo blizkie pokrewieństwo, jakie mię łączy z Poezyą. Służąc panu, nigdy nie myślałem o tem, nie zwróciłem uwagi, jak dziwnie rosnę zawsze przy zachodzie lub wschodzie słońca, jak wyraźnie występuje moja postać w księżycowym oświetleniu. Teraz dopiero wszystko to stało się jasnem i zrozumiałem dla mnie, tam też postanowiłem zostać człowiekiem!

— Z tem postanowieniem wróciłem do pana, ale już wyjechałeś, porzucając mię bez żadnej pomocy. Było to bardzo przykrem: wstydzilem się jako człowiek chodzić bez obuwia i tych wszystkich dodatków, po których się ludzie poznają. Ale cóż było robić? Musiałem się puścić w drogę — mówię to panu w zaufaniu, wierząc, iż nie pomieścisz mojej tajemnicy w żadnej ze swoich książek — otóż wyruszyłem wreszcie pod fartuchem pewnej kucharki, która nie domyślała się nawet, kogo kryje w fałdach swej szaty.

— Wychodziłem zresztą tylko wieczorami i przy blasku księżycy przebiegałem ulice miasta. Rozciągałem się wtedy wygodnie po murach, wspinałem w górę, zaglądałem w okna, do parterowych mieszkań, na piętra, poddasza. Widziałem rzeczy, których nikt nie widział, i przyszedłem do przekonania, iż człowiek jest tak nędzną i lichą istotą, że niewarto ubiegać się o jego imię.

— Nie jestem jednak zmienny, więc gdy raz zdecydowałem się wejść pomiędzy ludzi, jako istota im równa, nie chciałem zrzekać się tego zamiaru. Widziałem i wiedziałem teraz wszystko, co się dzieje na świecie, więc mogłem z wiedzy tej korzystać. Gdybym zaczął wydawać pismo, byłbym się stał bogaczem w mgnieniu oka, bo wszyscy rozchwytywaliby je na wyścigi, ażeby poznać tajemnice bliźnich. Lecz nie lubię skandalu, inną też obrałem drogę: pisałem prosto do tych, których tajemnice przeniknąłem i otoczyli mię wszystkiem, czego pożądałem. Przez obawę stali się mymi przyjaciółmi. Drżeli przede mną, lecz opowiadali, że mię kochają. Fe, pogardzam kłamstwem, kazałem sobie też dobrze zapłacić za to, że raczyłem znosić ich obłudę. I krawcy dostarczali mi ubrania (jestem świetnie zaopatrzony), uczeni i profesorowie wszelkich możliwych tytułów, odznaczeń, bogacze — złota. Tym sposobem stałem się tem, czem dziś jestem.

— A teraz do widzenia! Oto bilet wizytowy; mieszkam po słonecznej stronie, a podczas deszczu bywam stale w domu.

I wyszedł.

— Dziwne, dziwne zdarzenie! — powtarzał uczony. I znowu upływały dni i lata. Cię zjawił się powtórnie.

— Jak się pan miewa? — spytał.

— Ach — odparł uczony — źle mi się wiedzie. Piszę0 wszystkim, co prawdą jest na świecie, co jest pięknem i dobrem, a nikogo to nie obchodzi. Doprawdy, jestem w rozpacz, — to boli!

— Złą pan obrałeś drogę — rzekł cię z wielką powagą — patrz: ja tyję, mnie dobrze, a przecieź o to chodzi? Nie umiesz żyć na świecie i dlatego jesteś chory. — Trzeba się przejechać, podróż panu dobrze zrobi. Właśnie się wybieram w dalszą trochę drogę, może zechcesz

mi towarzyszyć jako cię mój, — zgoda? Koszta biorę na siebie. Będzie nam bardzo przyjemnie.

— Pańska podróż długo potrwa? — zapytał uczony.

— To zależy. W każdym razie dla pana byłaby z pożytkiem. Zostań moim cieniem, a nic cię kosztować nie będzie.

— Ależ to szaleństwo!

— Tak bywa na świecie, — i tak będzie zawsze — rzekł cię na pożegnanie.

Coraz gorzej się działo uczonemu: gnębiły go zmartwienia i kłopoty, a jego piękne myśli, które oddawał ludziom, nie zwracały nawet uwagi. Ot — groch na ścianę.

W końcu zachorował.

— Wyglądasz pan jak cię — mówili ludzie, nie domyślając się, że przy tych słowach dreszcz przebiegał po ciele biednego człowieka. ;.

— Trzeba się leczyć, jechać do wód, do kąpieli — powtarzał dawny cię, który go znowu odwiedzał. — To konieczne. Inaczej nie powrócisz pan do zdrowia. Po starej znajomości zabiorę cię z sobą, opiszesz za to naszą podróż i będzie nam we dwóch przyjemniej. Sam muszę jechać do wód, bo mi broda rosnać nie chce, a to przecie choroba. Muszę koniecznie mieć brodę. Bądź pan rozsądny i przyjmij moją propozycję, — jesteśmy przecieź stworzeni dla siebie.

I pojechali razem. Cię był panem, a pan cieniem, lecz nikt się tego nie domyślał. Jeździli razem konno i powozem, przechadzali się, a zawsze uczony musiał iść obok, za — albo przed — cieniem, stosownie do położenia słońca. Cię zajmował miejsce główne, honorowe, ale uczony na to nie zwracał uwagi; był to człowiek dobrego serca i łagodny.

Raz przemówił serdecznie:

— Wzrosliśmy razem i jesteśmy dzisiaj nierozłączni, po co ten" pan" między nami? Czy nie lepiej, jak przyjaciele, mówić sobie po imieniu?

— Mówisz pan rzeczywiście rozumnie i szczerze — rzekł cię — i powinienem równie szczerze ci odpowiedzieć. Jako człowiek uczony, wiesz najlepiej, jak szczególne bywają usposobienia. Są ludzie, co nie mogą znieść zapachu róży,

mdleją od tego, — innych dreszcz przebiega na samo wspomnienie zgrzytu żelazu po szkłe; ja podobnego doznaję wrażenia, gdy ktoś do mnie "ty" mówi. Ten krótki wyraz wciska mię do ziemi. To nie duma, jak pan widzisz, ale nadwrażliwość. Nie mogę. Dlatego tylko nie mogę się zgodzić, abyś pan mi "ty" mówił; ale sam chętnie będę nazywał cię po imieniu i tym sposobem spełnię choć połowę twego życzenia.

I odtąd dawny cień mówił "ty" do swego pana.

— To jednak trochę zawiele! — pomyślał sobie uczony, ale nic nie powiedział i tak pozostało.

W miejscu kąpielowem pełno było gości, a pomiędzy innymi prześliczna królewna, która była chora na wzrok zbyt przenikliwy, co ją czyniło bardzo niespokojną.

Ujrzawszy nowoprzybyłych, poznała natychmiast, że różnią się od innych ludzi.

— Mówią, że tu przyjechał, aby mu broda wyrosła, — rzekła sama do siebie — ale ja widzę jego prawdziwą chorobę: ten człowiek nie ma cienia.

To ją zaciekawiło, a że była królewną, więc nie robiła sobie z ludźmi ceremonii i na przechadzce pierwsza zagadnęła nieznanomego.

— Pańska choroba polega na tem, że nie masz cienia — rzekła.

— Z radością widzę — odparł cień spokojnie — znaczne polepszenie w zdrowiu waszej królewskiej mości i cieszę się z tego niezmiernie. O wzroku chorobliwie przenikliwym nie może być już mowy, jeśli nie widzisz pani mego cienia. To bardzo pocieszające. Prawda, że cień ten także jest dość oryginalny, ale gdybyś była chorą, poznałabyś go w jednej chwili.

— Jakto? — rzekła królewna, zadziwiona i ucieszona zarazem.

— Czy nie widzisz pani osoby, która nie odstępuje mię ani na chwilę i zawsze jest po stronie przeciwległej słońcu? To mój cień. Różni się trochę od cienia innych ludzi, ale to jego zaleta. Lubię rzeczy oryginalne, pospolitych nie znoszę. Jeśli więc ubieramy służbę w kosztowną liberyę, dlaczego nie miałbym ubrać cienia swego jak człowieka? Pozwalam nawet, aby miał jeszcze cień własny. To są rzeczy kosztowne, ale stać mię na to, a lubię oryginalność.

— Czyżbym rzeczywiście była uleczoną? — pomyślała królewna. — Wprawdzie te wody mają cudowne własności, ale — W każdym razie jeszcze nie wyjadę, gdyż podoba mi się tutaj towarzystwo i czas mi wesoło upływa. Ten obcy książę — (bo musi to być książę!) — także bardzo zajmujący, żeby mu tylko broda nie urosła, bo zarazby wyjechał.

Wieczorem był bal świetny i królewna tańczyła z cieniem. Ona tańczyła lekko, lecz on lżej bez porównania; takiego tancerza jeszcze nie widziała. Rozmawiała z nim potem o swojej ojczyźnie, którą on zwiedzał podczas jej nieobecności; a że wszędzie ciekawie zaglądał przez okna, zarówno do pałaców, jak. do zwykłych domów, więc mógł jej opowiedzieć wiele rzeczy, które ją ubawiły i zdziwiły.

Musi to być niezmiernie wykształcony człowiek — pomyślała i zaczęła zwracać się do niego z nadzwyczajnym szacunkiem.

Tańczyli z sobą znowu i królowa zakochała się w cieniu zupełnie; chciała mu nawet powiedzieć, że wybiera go sobie na męża, ale się jeszcze powstrzymała. Była to osoba przezorna.

— Jest wykształcony — rzekła, rozważając wszystko — to dobrze; tańczy cudownie — to też wielki przymiot; ale czy ma gruntowne wiadomości z nauk ścisłych? Pod tym względem trzeba go wyegzaminować.

I zadała mu zaraz tak trudne pytanie, że sama nie umiałaby na nie odpowiedzieć. Ale cień tylko uśmiechnął się dziwnie.

— Nie możesz mi pan na to odpowiedzieć? — dopytywała ciekawie królowa.

— Uczyłem się tego, będąc dzieckiem — odparł — i myślę, że cień mój nawet, który tam przy drzwiach stoi, odpowie ci, pani, zadawalniająco.

— Cień pański? — powtórzyła zdumiona królowa. — To byłoby ciekawe!

— Nie ręczę za to — rzekł cień — lecz przypuszczam. Od tylu lat nie rozłączamy się z sobą, słyszy wszystko, co mówię, więc mam prawo się spodziewać, że coś przy nim zostało. Zresztą możemy się przekonać, tylko niech wasza królewska mość zwróci uwagę, że to nie cień zwyczajny, ale osobistość, która jest bardzo dumną z podobieństwa swego do człowieka; więc jeżeli mieć chcemy dobre odpowiedzi, musimy go wprowadzić w dobry humor, obchodząc się z nim, jak z człowiekiem.

— Ależ to mi się niezmiernie podoba! — zaśmiała się królowa.

Podeszli razem do uczonego męża, który stał spokojnie we drzwiach, i królowa rozpoczęła z nim rozmowę o księżycu, słońcu i pięknej naturze, o człowieku, jego życiu, duszy i dążeniach, a uczonego odpowiadał pięknie i rozumnie.

Co to być musi za człowiek, kiedy ma cień laki mądry! — pomyślała królowa. — Prawdziwe szczęście i błogostawieństwo dla kraju mego i poddanych, że wybiorę takiego męża.

Tak też uczyniła, lecz umówili się z cieniem zachować pod tym względem tajemnicę, póki królowa do swego państwa nie powróci.

— Tajemnicę zachowam nawet przed własnym cieniem — przyrzekał cień uroczyście i miał do tego poważne powody.

Wkrótce przybyli razem do ojczyzny narzeczonej.

— Posłuchaj, przyjacielu — rzekł wówczas cień do uczonego — jestem dzisiaj szczęśliwy i potężny, jak mało kto na tym świecie, — chcę też coś zrobić i dla ciebie. Zrobię nawet bardzo wiele. Daję ci w moim pałacu mieszkanie, będziesz jeździł ze mną w królewskim powozie i wyznaczam ci pensji sto tysięcy talarów rocznie; ale musisz za tę cenę nazywać się moim cieniem i nikt wiedzieć nie powinien, że niegdyś byłeś człowiekiem. Oprócz tego musisz raz na rok, kiedy będę z balkonu ukazywał się memu ludowi, leżeć u nóg moich, niby cień prawdziwy. Bo widzisz — dzisiaj zaślubiam królową, — wieczorem nasze wesele.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał uczonego. — Na to się nie zgadzam i nie zgodzę nigdy! Chcesz oszukać królową i cały jej naród, a ja mam ci dopomagać! Nie, nie! Całą prawdę powiem jej natychmiast, powiem, że jest człowiekiem, a ty tylko

cieniem, w suknie przebranym.

— Nikt ci nie uwierzy; — zupełnie szczerze radzę: bądź rozsądny, przyjacielu, nie zmuszaj mię, ażebym wezwał pomocy straży.

— Idę wprost do królowny!

— To ja, mój kochany, a ty tylko do więzienia. Tak się też stało rzeczywiście, gdyż straż była posłuszną narzeczonemu królowny.

Cień udał się do pokoju przyszłej żony.

— Drżysz? — zapytała go królowna. — Co się stało? Nie rozchorujże się dzisiaj, w dzień naszego ślubu!

— Straszłą chwilę przeżyłem — odparł cień, siadając — nic dziwnego, że nie mogę zapanować jeszcze nad wzruszeniem. Wyobraź sobie tylko — biedny mój cień zwaryował! Co za przykrość! Zdaje mu się, że się stał człowiekiem, i nie dość na tem — że ja jestem jego cieniem!

— Ależ to okropne! — szepnęła królowna. — Czy go uwięziono?

— Rozumie się. Biedny cień mój! wątpię, czy kiedy odzyska przytomność.

— Biedny! — powtórzyła ze współczuciem królowna. — Co za nieszczęście. Dobrodziejstwem byłoby dla niego, gdyby mu teraz odebrano życie. I z drugiej strony — dla spokoju państwa — kto wie — ludzie nieraz tak łatwo się łudzą. — Tak, zdaje mi się, że jest naszym obowiązkiem skazać go na śmierć dla spokoju państwa i jego własnego dobra.

— Smutna konieczność! Wierny sługa od lat tylu! — wzdychał cień, niby głęboko zmartwiony.

— Jesteś szlachetny! — rzekła wzruszona królowna. Wieczorem miasto było iluminowane, działa grzmiały na wiwat! wojsko stało pod bronią, — wesele było, co się zowie! Nowy król z piękną żoną ukazali się na balkonie, by dziękować ludowi za radosne okrzyki.

Nieszczęśliwy uczoney ich nie słyszał, więzienie było puste, — niewiadomo, gdzie go pochowano.

DZWONY.

W wielkiem mieście, wśród gwaru i wrzawy ulicznej, w chwili gdy słońce kryło się za domy i tylko niebo jaśniało jak złote pomiędzy kominami, słycać było czasem dźwięk szczególny, podobny do odgłosu dzwonu. Zdarzało się to rzadko i na krótką chwilę, gdyż turkot głuszył tajemnicze tony, a ludzie tak byli zajęci rozmaitemi sprawami, iż nie zawsze zwracali uwagę na wszystko, co dokoła nich brzmiało. Dziś ten usłyszał ów dzwon, jutro inny, każdy spoglądał w górę i powtarzał: słońce zachodzi.

Ci jednak, którzy mieszkali za miastem lub byli przed wieczorem na przechadzce między małymi wiejskimi domkami, pośród pól i ogrodów, ci lepiej widzieli prześliczne niebo złoto purpurowe i wyraźniej słyszeli odgłos dzwonu. I zdawało się wszystkim, że to dzwon kościelny, płynący z głębi lasu, który czernił się w oddali, i w tę stronę zwracały się wszystkie spojrzenia.

Nakoniec ludzie zaczęli rozmawiać o tajemniczym dźwięku, który nie był przecież złudzeniem, choć niewiadomo, skąd pochodził, skoro go słyszało tylu. Bardzo wiele osób żartowało z tej historii, dowodząc, że nigdy, pomimo uwagi, nigdy nie słyszeli podobnego głosu ani o zachodzie ani o wschodzie słońca.

— A jednakże coś dźwięczy — odpowiadali inni. — Tylko — czy to dzwony? Czy kościelne? Czy naprawdę płyną z tego cichego lasu? Dźwięk jest jakiś dziwny, dziwnie potężny, silny, chociaż niby daleki.

Możnaby to sprawdzić.

Bogaci i biedni zapragnęli jednocześnie udać się do lasu, jedni wyruszyli powozami, piechotą drudzy. Droga okazała się jednak daleką i wielu powróciło zniechęconych, a inni znalazłszy się pośród zieloności i rozkosznego cienia, poprzestali na wypoczynku. Przyjemnie było leżeć na mchu miękkim, pod giętkimi gałązkami brzoź płaczących, przez które przedzierały się promienie słońca. Jakiś cukiernik z miasta rozpiął tu swój namiot i sprowadził słodki towar. Drugi zrobił to samo, ale nad namiotem zawiesił dzwonek, bardzo zgrabny i świecący, aby mu wabił gości.

Po powrocie do domu, wszyscy zapewniali, że wycieczka do lasu jest przyjemną; trzy osoby utrzymywały, że przebyły go aż do końca, nie zważając na utrudzenie i przeszkody; dźwięk dzwonu słyszały ciągle i wyraźnie, lecz tam zdawało im się, że pochodzi z miasta. Ktoś napisał nawet bardzo ładną piosnkę, porównywając dzwon do głosu matki, śpiewającej dla swego dziecka.

Dowiedział się nakoniec i król tego kraju o tajemniczym dzwonie, więc kazał ogłosić, że kto naprawdę wykryje, skąd płyną cudowne dźwięki, ten otrzyma tytuł "Najwyższego dzwonnika" nawet w takim razie, gdyby się okazało, że dzwonu nie ma wcale.

I znowu podążyło wielu w stronę lasu, lecz jeden tylko przyniósł pewne wyjaśnienie. Nikt nie przeniknął w puszcze dość głęboko i wielki wynalazca nie

zbadał jej wnętrza, twierdził jednakże, iż słyszał głos dzwonu i poznał jego źródło. Jest to wielka sowa, jak utrzymywał, która zamieszkała w pustym pniu drzewa; stąd drzewo potęguje głos jej silnym echem. Trudno wszakże rozwiązać ciekawe pytanie, co mu nadaje takie podobieństwo do kościelnego dzwonu? Czy jest to przymiot sowy, czy też drzewa?

Sumienny badacz otrzymał tytuł zasłużony "Najwyższego dzwonnika", i od tego czasu co rok wydawał dzieło uczone o sowie. Lecz wszyscy tyle wiedzieli, co przedtem.

Była wiosna. Dzień piękny, jasny i słoneczny. Gromadka dzieci, wesołych, niewinnych, biegła za miasto. Ukończyły trudny rok szkolny, rodzice byli z nich zadowoleni, nauczyciele także, więc czuły w duszy pogodę i błogostawieństwo, były szczęśliwe.

Wtem słońce pochyliło się nad widnokrzem, a z za lasu wyraźnie dał się słyszeć dzwonek, donośny, czysty, dźwięczny.

— Chodźmy tam wszyscy razem! — zawołały dzieci. — Może go dziś znajdziemy.

Troje tylko nie chciało należeć do wyprawy: dziewczynka, która śpieszyła do domu, gdyż dziś przymierzyć miała pierwszą sukienkę balową; chłopczyk, który pożyczył szkolnego mundurka od przyjaciela, gdyż własnego nie miał, a teraz musiał zwrócić go właścicielowi, — i drugi chłopczyk, który się tłumaczył, że nie może iść nigdzie bez pozwolenia rodziców.

Reszta wesoło ruszyła do lasu. Trzymali się za ręce i śpiewali głośno, na wyścigi z ptaszkami; chłopcy i dziewczęta wszyscy się czuli równi w szkolnym koleżeństwie i wobec Boga; dusze mieli czyste, niewinne serca, więc byli tak szczęśliwi, jak może nigdy już potem na świecie.

Lecz dwie młodsze dziewczynki zmęczyły się wkrótce i wróciły do miasta; dwoje innych dzieci na brzegu lasu wołało pleść wieńce; inne skusił wreszcie namiot cukiernika.

— Jesteśmy w lesie, czyż nam tu niedobrze? Po co się męczyć dłużej? Naprawdę przecież dzwonu żadnego niema, tylko sobie ludzie tak wyobrażają.

Wtem zabrzmiał uroczyście dźwięk taki potężny i tak cudownie czysty, że kilkoro dzieci wyrzekło się spoczynku, ażeby iść dalej za tym głosem. Było ich niewiele, troje lub czworo, w sercach których ten dziwny dźwięk i tajemniczy przemówił silniej, niż wszystkie pokusy.

I poszli znowu.

Ale droga teraz była trudniejsza, a właściwie nie było nawet ścieżki. Musiały się przedzierać przez leśną gęstwinę, przez masę drzew, splątanych kolczastą jeżyną, dzikimi malinami i powojem. Konwalie i storczyki rozlewały zapach upajający, słowiki śpiewały, a promienie słoneczne, niby złote strzały, padały przez gałęzie. Wspaniale tu było, uroczyście, świątecznie i dziko zarazem, bo wszystko rozwijało się swobodnie, bez woli i pomocy ręki ludzkiej.

W jednym miejscu leżały kamienie ogromne, mchem różnobarwnym, niby

kobiercem, okryte. Czyste źródółko wytryskało z ziemi i jasna woda pluskała po głazach, jak dzwonek szklany.

— I to także dzwonek — rzekł jeden z chłopców, kładąc się na ziemi. — Warto posłuchać.

Nie chciał iść już dalej, był zmęczony. Koledzy odeszli bez niego.

Bardzo daleko w lesie, na jasnej polance znaleźli dziwny domek z kory drzewnej i gałęzi, zbudowany dokoła rozłożystej, starej jabłoni. Wielkie konary drzewa rozpostarły się nad dachem, jak ręce opiekuńcze, pełne błogostawieństwa i owocu; dzikie róże pięły po ścianach kolczaste lecz kwieciste gałązki, a na szczycie drzewa zawieszony był mały dzwonek.

— Czyżbyśmy ten słyszeli tak daleko?

Wszyscy byli tego zdania, jeden tylko twierdził, że to być nie może. Dzwonek jest za mały, aby go słyszać było w takim oddaleniu, i nie wydaje takich wzruszających dźwięków, jakie głos tajemniczy budził w sercach ludzi.

Ten, który utrzymywał tak, był Królewiczem, więc inni powiedzieli, że dlatego chce być mądrzejszym od towarzyszy i mieć swoje zdanie.

Znowu się rozłączono. Wszyscy pozostali przy małym dzwonku na dzikiej jabłoni, ciesząc się szczerze ze swego odkrycia, a Królewicz sam jeden poszedł dalej. Otoczyła go cisza i samotność lasu i napełniła mu serce uczuciem, którego nie znał dotąd. Zdaleka słyszał lekki, przyjemny dźwięk dzwonka na jabłoni; czasem wiatr przynosił mu ton daleki, delikatny cukierniczego dzwonka z namiotu pod lasem; ale oba te głosy nie miały nic wspólnego z dźwiękiem oddalonym, silnym i potężnym, który w lesie brzmiał chwilami, niby organy, gdzieś na lewo, po stronie serca.

Nagle coś poruszyło się między krzakami i wysunął się ubogi chłopczyna w krótkiej kurteczce i ciężkich sabotach. Był to ten sam, co nie mógł iść razem do lasu, bo musiał odnieść pierwaj pożyczony mundurek szkolny i skórzane buty. Nie wytrzymał jednak w domu, dzwon leśny wzywał go dzisiaj z niezwykłą potęgą.

— Chodźmy razem — rzekł królewicz do kolegi. Ale ubogi malec wstydził się swego ubrania, więc powiedział, że nie może chodzić prędko, przytem zdawało mu się, że dzwon brzmi na prawo.

— W takim razie nie spotkamy się zapewne — powiedział syn królewski i życzliwie skinął mu głową. Chłopiec szybko skierował się pomiędzy ciernie i najgęstsze zarośla i szedł za głosem serca, chociaż ostre kolce szarpały mu suknię, kaleczyły twarz i ręce.

I Królewicz niejedną miał kresę na twarzy, ręce i nogi nosiły też ślady trudnej podróży, ale jasne słońce rzucało mu promienie na obraną ścieżkę, więc dążył za niem śmiało.

— Muszę dzwon odnaleźć, choćbym zaszedł na koniec świata — mówił sobie. — Odnajdę go. Prędzej nie wrócę do domu.

Nieustraszony szedł dalej i dalej, powoli otaczały go dziwy nieznanne, niespotykane dotąd. Wielkie ptaki krążyły ponad jego głową, nawołując się głosem

donośnym i przykrym; do małych podobne zwierzęta krzyczały z konarów drzew, groźnie wstrząsały pięściami albo rzucały nań twarde owoce.

Dokoła znowu najdziwniejsze kwiaty: błękitne tulipany, purpurowe lilie, różowe narcyzy, jabłonie, okryte owocem przezroczystym i błyszczącym, niby mydlane bańki. A wszystko błyszczący, jaśnieje i pachnie. Na aksamitnej trawce igrają jelenie i sarny płocze, dęby i buki wznoszą, dumne czoła, niby królowie lasu; tu ciche jezioro drzemie pod cienistymi konarami drzew starych, białe łabędzie mkną po nim leciuchno, podniósłszy skrzydła, jak żagle wydęte.

I nieraz zatrzymywał się królewicz, oczarowany pięknosciami lasu i nasłuchiwał, czy nie z nad jeziora płynie głos dzwonu?

Nie, nie, — jeszcze dalej, — het, het z głębi lasu.

Wtem zgasły złote promienie słoneczne, wierzchołki drzew stanęły w ognistej purpurze, blask czerwony, jak ogień, rozlał się w powietrzu. W lesie zapanowała dziwna cisza.

— Słońce zachodzi! — szepnął wzruszony królewicz i upadł na kolana, ażeby zaśpiewać pieśń wieczorną na chwałę Pana.

Potem wstał smutny.

— Słońce się już skryło i noc nadchodzi. Nie znalazłem, czego szukam nadaremnie, może nie znajdę nigdy! Lecz słońce jasne jeszcze chcę zobaczyć chociaż na chwilę. Z tej wysokiej skały ujrzę je, zanim skryje się pod widnokrzem, pośpieszmy tylko.

Czepiając się korzeni i roślin kolących, wdziera się szybko na wilgotne skały, gdzie woda sączy się przez mech zielony, a ropuchy i żmije kryją pośród liści i poplątanych łodyg. Śpieszy się, ale zdążył, zanim okrąg słońca zniknął pod horyzontem. I z piersi dziecka wyrwał się okrzyk zachwyty.

Przed nim, jak oko daleko zasięganie, morze niezmierne, wspaniałe, bez końca, lśni purpurą i złotem, dąży do wybrzeży falą spienioną. A tam hen, daleko, gdzie błękitne niebo opiera swe brzegi na przejrzystej wodzie, jak ołtarz purpurowy i złoty, stoi płomienne słońce.

I wszystko korzy się, niby w świątyni: niebo i ziemia, las śpiewa pieśń chwały, a w sercu dziecka brzmi potężnie druga, jak wichler rwąca się pod Boże stopy. Cała natura stała się nagle kościołem, wystanym kobiercami żywych kwiatów, podpartym kolumnami drzew zielonych, o sklepieniu płonącym, niby stos ofiarny, na którym blaski gasnące za chwilę nowe zastąpią światła — gwiazd miliardy.

Syn królewski wyciągnął ku niebu ramiona, a głos dzwonu słyszał wyraźnie nad sobą i w głębi serca. Teraz go zrozumiał! Teraz wie, skąd pochodzi, i wie, że nie w każdym sercu zna echo równie silne i potężne, które iść każe za nim!

Obok siebie usłyszał jakby ciche łkanie i zwrócił się w tę stronę. Nie sam był tutaj: obok niego na kamieniu stoi ubogi chłopiec w krótkiej kurtce i drewnianych sabotach; po twarzy mu spływają łzy wielkiego szczęścia. I on wie i on pojął!

Uścisk serdeczny złączył ręce dzieci i stali tak, jak bracia, syn królewski obok ubogiego chłopca w świątyni Bożej, gdzie jeden głos dzwonu wzywa wybrane

serca.

POD STARĄ WIERZBĄ.

Duńskie miasteczko Kjöge leży nad brzegiem morza na równinie piaszczystej, jednostajnej; las duży widać wprawdzie w oddaleniu, ale droga do niego ciężka i daleka, a za miasteczkiem ciągną się pola i łąki, ot jak zwyczajnie na wsi.

Każdy wie jednak, że wszędzie można znaleźć coś ładnego, gdzie nam dobrze i miło, i nieraz potem w najpiękniejszych krajach tęsknimy do zakątka, gdzieśmy się chowali szczęśliwie jako dzieci i wydaje nam się piękniejszym od wspaniałych krajobrazów i ludnych stolic.

To samo można powiedzieć o Kjöge. Mieszkańcom podobało się czyste miasteczko, z szeregiem małych ogródków nad rzeczką, tu właśnie wpadającą do zatoki.

Kochali je, bo tu im upłynęło życie, przyjemnie i szczęśliwie, jak dziecięce lata dzieciom sąsiadów, o których właśnie chcemy opowiedzieć.

Ogródki ich leżały tuż nad rzeczką, w jednym był bez wysoki, w drugim stara wierzba, trochę wypróchniała, lecz tutaj właśnie dzieci najlepiej bawić się lubiły, chociaż rosła nad wodą i łatwo któremu mógł się zdarzyć wypadek.

Ale nad dziećmi Bóg czuwa, bez tego któżby je upilnował?

Zresztą były ostrożne, a szczególnie mały Kanut, który tak lękał się wody, że nawet podczas lata nie można go było namówić, aby wszedł w morze. Inne dzieci lubiły pluskać się przy brzegu, wyśmiewały się też z niego, ale Kanut znosił cierpliwie ich żarty i nie przewycięzał dziwnej trwogi.

Raz Joasi, córce sąsiada, śniło się, że sama płynęła czółenką, ale się bała i zaczęła wzywać pomocy, a wtedy Kanut chciał się do niej dostać i wszedł odważnie w morze. Łódka była dosyć daleko od brzegu, więc woda dochodziła mu wkrótce do pasa, potem była po szyję, aż na koniec cały zniknął w niej z głową.

Sen Joasi w Kanucie dziwną obudził ambycję: nie pozwalał odtąd dzieciom wyśmiewać się ze swego strachu i dowodził, że tak samo zrobiłby jak we śnie, gdyby Joasia na niego wołała. Nie próbowano sprawdzić tego zapewnienia, ale Kanut był dumny, jak gdyby naprawdę spełniły czyn bohaterski.

Rodzice dwojga tych dzieci żyli z sobą w sąsiedzkiej zgodzie i przyjaźni, schodzili się też często w jednym lub drugim ogródku i rozmawiając, patrzyli na swoje pociechy, bawiące się wesoło na ulicy, lub nad rzeką, pod starą wierzbą. Tutaj najlepiej bawić się lubiły. Środek miasteczka zajmował rynek dość obszerny, na którym podczas jarmarków ustawiano budy i kramy z trzewikami, wstążkami i wszelkim towarem. Tłok bywał wtedy straszny, a wedle zwyczaju zarazem deszcz i błoto, zapach koni, chłopskich kozuchów i smoły, lecz obok tego i zapach miodowy pierników, które rozkładano na wielkim straganie.

A najprzyjemniejsze było to, że człowiek, który sprzedawał owe prześliczne pierniki, corocznie podczas jarmarku wynajmował sobie izdebkę u rodziców Kanuta. Rozumie się, że przy okazji chłopczyk zarabiał na tem niejedną

przysmaczek, a zawsze dzielił się tym podarunkiem z przyjaciółką swoją Joasią.

Najbardziej jednak cieszyły się dzieci z przyjazdu "piernikarza" dlatego, że umiał opowiadać niezmiernie ciekawe historie o każdej rzeczy, nawet o piernikach. Raz wieczorem opowiedział obojgu prześliczną, której przez czas długi zapomnieć nie mogły.

Bo też nie była to zwykła historia, sami posłuchajcie tylko:

Na straganie leżały dwa śliczne pierniki: żółty chłopiec w kapeluszu i różowa pasterka bez kapelusza. Twarze miały zwrócone na bok i mogły się na siebie patrzeć, chociaż trochę zezem; ale oprócz tego chłopiec miał z lewego boku gorzki migdał, zamiast serca, dziewczynka za to była z najczystszej miodu. Rozumie się, że wyglądali tak wspaniale tylko z tej strony, na którą się patrzy, bo drugiej i tak nie widać.

Chłopiec i pasterka leżeli obok siebie na straganie bardzo długo, nie sprzedawano ich, gdyż przeznaczone były na wystawę, jako najpiękniejsze. A ponieważ leżały obok, patrzyły wciąż na siebie i były bardzo piękne, więc się podobały sobie i pokochały się nawzajem. Tylko żaden z pierników nic nie mówił o tem drugiemu.

— On powinien odezwać się pierwszy, bo jest chłopcem — mówiła do siebie dziewczyna, ale nie wymagałaby nawet wyrazów, gdyby tylko wiedziała, że jest kochaną nawzajem.

Chłopiec myślał inaczej: różowa sąsiadka bardzo mu się podobała i marzył, że jest bogatym paniczem, ma pełną kieszeń złota, więc ją kupuje dla siebie i zjada.

Kilka tygodni leżały pierniki na stole i bardzo wyschły, ale kochały się zawsze, tylko nic nie mówiły, co było całym nieszczęściem.

— Dobrze, że chociaż leżę obok niego i mogę na niego patrzeć — myślała pasterka.

Wtem — knak! — bardzo po cichu — i złamała się w pasie, gdzie była najcieńsza.

— Gdyby wiedziała, jak bardzo ją kocham, nie byłaby się może złamała tak prędko — pomyślał chłopiec.

Taka była historia, a oto są oba pierniki — rzekł dobry kupiec i dał Joasi chłopca, który był jeszcze cały, a złamaną pasterkę Kanutowi.

Ale dzieci były tak bardzo wzruszone, że nie miały serca zjeść zakochanej pary.

Nazajutrz zabrały oba prześliczne pierniki i całą gromadą powędrowały aż na cmentarz. Tu ustawiły chłopca i dziewczynę pod murem, który osłaniał kobierzec wiecznie zielonego bluszczu, i zaczęły opowiadanie. Dziewczyna, zaczepiona rękami o liście, wyglądała, jakby nie była złamaną, słońce padało na oba pierniki i cała powieść zdawała się jeszcze piękniejszą, niż wczoraj wieczorem w domu. Wszystkie dzieci słuchały zachwycone i milczące a wtem spostrzegły, że najstarszy chłopiec — zapewne przez złośliwość — zjadł oba kawałki pasterki. Płakały po niej z żalu, ale potem — z litości naturalnie, ażeby biedaka nie zostawić samego na tym świecie — zjadły i chłopca.

Historji jednak o wiernej miłości bez słów tej pięknej pary piernikowej nie zapomnialy nigdy.

Kanut i Joasia byli zawsze razem, nie umieli nawet bawic się oddzielnie, pod bzem lub starą wierzbą opowiadali sobie codzienne przygody, śpiewali i biegali. Joasia miała głosik, niby srebrny dzwonek, Kanut śpiewać nie umiał, ale zawsze dobrze pamiętał słowa. I to coś znaczy przecie, a głos Joasi podziwiała sama właścicielka sklepu galanteryjnego i bardzo lubiła słuchać jej śpiewu z daleka.

Były to dni szczęśliwe, — ale nie mogły trwać wiecznie, bo wszystko się zmienia na świecie. Trzeba się było rozstać. Matka Joasi umarła, a ojciec zamierzał się ożenić powtórnie w stolicy, gdzie mu obiecywano korzystne zajęcie. Dzieci przy pożegnaniu płakały serdecznie, a rodzice przyrzekli sobie pisywać przynajmniej raz na rok.

Kanuta oddano także na naukę do szewca w Kjöge; zaduży był chłopiec, aby mógł zbijać baki całymi dniami po ulicy.

Przy pracy często myślał o Joasi. Jakżeby ją. chętnie odwiedził w stolicy, która o pięć mil tylko była oddaloną! W dni pogodne mógł nawet widzieć kościelne wieże, a złoty krzyż wyraźnie połyskiwał w słońcu.

Czy też Joasia o nim myślała nawzajem?

Na Boże Narodzenie rodzice Kanuta odebrali list ze stolicy. Dawny sąsiad zupełnie zadowolony był z miejsca, a Joasi powodziło się wybornie: jej piękny głos zwrócił uwagę i dostała miejsce przy teatrze, a doświadczeni ludzie obiecują jej tam świetną przyszłość; i teraz nawet już troche zarabia. Ze swoich oszczędności przysłała sąsiadom srebrnego talara, aby wypili jej zdrowie. Dopisała tę prośbę sama i dołączyła jeszcze "pozdrowienie dla Kanuta!"

Wszyscy płakali z radości i pili za zdrowie Joasi i jej ojca. Odtąd Kanut myślał o niej jeszcze więcej, i pracował z takim zapalem, że igła nieraz kłuła mu palce głęboko. Ale to nic nie znaczy, głupstwo! Joasia o nim pamięta serdecznie, a on ją kocha i pragnie ją pojąć za żonę, skoro się tylko wyuczy rzemiosła i zostanie czeladnikiem. Wtedy powędruje prosto do stolicy i opowie jej o swych zamiarach, żeby nie powtórzyła się historia nieszczęśliwej pary pierników.

Nadszedł nakoniec czas oczekiwany: Kanut był czeladnikiem i szedł po raz pierwszy w życiu do stolicy, do znajomego majstra. Co to będzie za radość zobaczyć Joasię! Już nie są dziećmi: ona ma lat 17, on o dwa lata starszy.

Chciał jeszcze w Kjöge kupić dla niej złoty pierścionek, ale się zastanowił, że w Kopenhadze muszą być ładniejsze.

Pożegnał więc rodziców, zarzucił na plecy niewielki tłómczek i ruszył w drogę późnym wieczorem jesiennym, mimo drobnego i chłodnego deszczu. Porzucił swoje rodzinne miasteczko może na długo, lecz nie myślał o tem; liście spadały z drzew z cichym szelestem, błoto było na gościńcu, niebo szare.

Przybył do nowego majstra mokry i zabłocony, ale z tem sobie poradził bez trudu, a nazajutrz dał się poznać przy robocie.

W niedzielę dopiero jednak mógł odwiedzić rodziców Joasi. Ubrał się też

starannie, w nowy garnitur i kapelusz, chociaż dotąd chodził w czapce. Ale przecież był już teraz czeladnikiem. Znalazł dom, ulicę i po wielu schodach wszedł tak wysoko, że w głowie mu się zakręciło. Jak ci ludzie w stolicy mieszkają tak jedni na drugich!

W pokoju, do którego wszedł po zapukaniu, było czysto i dostatnio, ojciec Joasi przyjął go bardzo serdecznie, a żona jego, choć obca osoba, poczęstowała gościa szklanką kawy.

— To się Joasia ucieszy! — rzekł ojciec. — Tęgi chłopak wyrósł z ciebie i przystojny. No, i ty zobaczysz, co się z niej zrobiło. Niejedną już pociechę miałem z tej dziewczyny, a da Bóg, więcej się jeszcze doczekam. Teraz, choć mieszka przy nas, ma swój osobny pokoik i sama za niego płaci!

Zapukał do córki, jakby człowiek obcy, i wszedł razem z Kanutem. Tu dopiero było prześlicznie. Takiego pokoiku niktby nie znalazł w Kjöge i królowa piękniejszego mieć nie mogła. Na podłodze leżał dywan, okno zasłaniały długie, białe firanki, kwiaty, na ścianach obrazy i lustro wielkie jak drzwi! Przy stole fotel aksamitny — niby w pałacu.

Kanut objął to wszystko jednym rzutem oka, gdyż naprawdę nic nie widział prócz Joasi. Była zupełnie inna, niż ją sobie wyobrażał, lecz daleko piękniejsza. Żadna dziewczyna w Kjöge z nią się porównać nie mogła. W pierwszej chwili wydała mu się strasznie obcą, ale to trwało tylko mgnienie oka i zniknęło zupełnie, kiedy z okrzykiem radości rzuciła się ku niemu. O mało co go nie pocałowała, — powstrzymała się jednak: nie są prze ciąż dziećmi. Och, ale ucieszyła się niezmiernie! Oboje łzy mieli w oczach, kiedy stali naprzeciw siebie, trzymając się za ręce.

A potem tyle pytań! tyle do opowiadania! O rodzicach; o starej wierzbie. O niczem nie zapomniła. Nawet o piernikowych lalkach rozmawiali, ich stałej miłości i okrutnym losie.

Joasia się śmiała, ale Kanutowi serce biło bardzo mocno. W każdym razie nie była dumną: na jej życzenie rodzice zatrzymali Kanuta na wieczór, Joasia sama nalewała mu herbatę, rozmawiała wesoło. Potem czytała głośno taką piękną książkę, jak gdyby ją wyjęła z jego serca. Nakoniec zaśpiewała. Słuchając, Kanut nie mógł się od łez powstrzymać, ale Joasia uścisnęła go za rękę i powiedziała:

— Jesteś dobrym chłopcem, masz serce. Takim zostań.

A ojciec przy pożegnaniu rzekł do niego:

— No, teraz nie powinieneś o nas zapominać, spodziewam się, że zobaczymy cię niedługo.

Aż za tydzień! pomyślał Kanut, ale co dzień wieczorem, gdy skończył robotę, szedł na przechadzkę, naturalnie na ulicę, gdzie mieszkała Joasia. Miło mu było patrzeć na jej oświetlone okno, a raz nawet wyraźnie widział jej główkę przez szybę.

W niedzielę jej powiem, że musi zostać moją żoną — myślał sobie, — nie chcę, żebyśmy zmarnowali życie, jak piernikowe lalki. Jestem wprawdzie dopiero

czeladnikiem, ale nie lękam się pracy i niedługo zostanę majstrem. A wtedy się pobierzemy.

Ale w niedzielę Joasia była zaproszoną z rodzicami na wizytę i musiała mu o tem powiedzieć. Jaka szkoda!

Miał widać bardzo smutną minę i Joasi żal się zrobiło biedaka.

— Zobaczymy się wkrótce — rzekła. Pewno nigdy w życiu nie byłeś w teatrze? Czekał, śpiewam we środę, więc przyślę ci bilet. Ojciec wie, gdzie mieszka majster, u którego pracujesz.

Dobra Joasia. We środę rzeczywiście przysłała mu bilet, jak list, w kopercie, i Kanut po raz pierwszy był tego wieczora w teatrze.

Co tam widział, nie umiałby nawet opowiedzieć, ale Joasia śpiewała prześlicznie, choć była żoną jakiegoś obcego człowieka. Na żarty, naturalnie, Kanut dobrze to rozumiał, to też razem z innymi krzyczał i klaskał w dłonie, okazując jej przez to, jak mu się podoba. Podobała się wszystkim, sam król uśmiechał się do niej w swej loży i Kanut uczuł się strasznie nieśmiałym, takim oddalonym i maleńkimi

Odzyskał jednak prędko śmiałość i odwagę: przecież ją kochał najbardziej na świecie i gotów dla niej pracować do śmierci, żeby jej było dobrze. I ona kocha go też niezawodnie, tylko muszą rozmówić się zupełnie szczerze, żeby znów tak nie było, jak z owymi piernikami. On jest mężczyzną i powinien odezwać się pierwszy.

Z takim postanowieniem wybrał się w niedzielę. Szedł jak do kościoła. Joasię zastał samą i to go bardzo ucieszyło.

— Dobrze, żeś przyszedł — rzekła — chciałam nawet pojechać po ciebie, ale się spodziewałam, że dziś będziesz. Muszę powiedzieć ci o ważnej rzeczy: wyjeżdżam w piątek do Paryża. Muszę się uczyć, żeby coś ze mnie było.

Biedny Kanut oniemiał z żalu i zdziwienia, lecz Joasia serdecznie wzięła go za rękę i zaczęła pocieszać. Mówiła, że się uczyć musi, aby być wielką śpiewaczką i zarabiać dużo pieniędzy i żeby wszyscy zawsze ją chwalili.

Wtedy Kanut przemówił także, powiedział, jak ją kocha i jak bardzo pragnie, żeby została jego żoną. Nie potrzebuje wcale zarabiać pieniędzy, bo on dla niej pracować będzie życie całe, a pochwały obcych ludzi — cóż to warte?

Joasia zasmuciła się tem bardzo, a kiedy skończył, rzekła:

— Nie myśl o tem, Kanucie. Bylibyśmy oboje nieszczęśliwi. Ja cię bardzo, bardzo kocham, jak rodzona siostra, ale nie chcę być twoją żoną, bo wcale nie pójdę za mąż, chcę być tylko sławną śpiewaczką, żeby mię na całym świecie wszyscy podziwiali.

Wtem weszła do pokoju macocha Joasi i spojrzała ze zdziwieniem na bladą twarz Kanuta.

— Kanut tak się zmartwił, że wyjeżdżam — rzekła Joasia, jakby o niczem innem nie mówili. — No, bądź rozsądnym, mój poczciwy chłopcze, jak zawsze byłeś w Kjöge, czy pamiętasz? Pod naszą starą wierzbą!

Nie pozwoliła mu odejść do domu, sama nalewała herbatę i podawała ją

gościowi; potem śpiewała dla niego.

— Żegnam cię, dobry, kochany braciszku — rzekła na pożegnanie — najlepszy towarzyszu moich lat dziecięcych!

I łzy popłynęły jej po twarzy.

W piątek odpłynęła do Francji, a Kanut został w Kopenhadze.

Koledzy się dziwili, że taki posepny, wyśmiewali się z niego, namawiali do zabawy, do rozrywki.

Więc poszedł z nimi razu jednego do sali, gdzie się zbierano na tańce. Wszyscy się weselili, ale on był smutny, męczyła go zabawa i drażniła, widział Joasię ciągle koło siebie i nakoniec uciekł do domu.

I w domu było smutno. Cały świat wyglądał okropnie i ponuro; Kanutowi się zdawało, że jest na pustyni.

Była zima. Ziemia i wody zamarzły, świat stał się białą i cichą mogiłą.

Lecz gdy wróciła wiosna, ogarnęła chłopca wielka tęsknota i silne pragnienie iść w świat daleki. Spakował swój tłómaczek i wyruszył w drogę. Tylko nie do Francji!

Udał się na zachód i szedł od miasta do miasta, coraz dalej i dalej, bez wytchnienia; aż zaszedł do starożytnej, pięknej Norymbergii. Tu zapragnął odpocząć.

Zachwyciło go miasto malownicze, jak wycięte z obrazka, niepodobne do żadnego, które widział dotąd. Prostej ulicy nie było tu wcale, domy ani myślały stać w równych szeregach, ganki, wieżyczki, gzymsy, posągi, filary wyskakiwały z nich na wszystkie strony, a wysoko rozpościerały się rynny i zlewy, niby bajeczne smoki, aż do środka ulic.

Na rynku jakaś dziewczyna czerpała wodę ze studni, otoczonej kamiennymi figurami, i podała zmęczonemu chłopcu czysty napój; pęk róż miała w ręku, więc dała mu jedną. To wydało się Kanutowi dobrą wróżbą.

W kościele odezwały się nagle organy takim znajomym dźwiękiem, jakby pochodziły z Kjöge. Kanut wszedł do świątyni. Cicho tutaj było i uroczyście; promienie słoneczne przez różnobarwne szyby wpadały smugami i krzyżowały się pośród wysmukłych, w górę strzelających kolumn. I wielka, uroczysta cisza przeniknęła aż do serca Kanuta. Został w Norymberdze.

Majster jego mieszkał w małym, malowniczym domku, za starymi murami, które stoją dotąd, nad kanałem, oblewającym piękne miasto; bzy rozrastały się nad niskim domkiem i zaglądały do małego okna, w którym pracował Kanut.

Tutaj przebył lato i zimę, lecz na wiosnę powędrował znowu dalej. Bez był winien wszystkiemu: pachniał tak zupełnie, jak w ogrodach w Kjöge i zanadto przypominał mu ojczyznę. Przeniósł się więc w głąb miasta, gdzie bów nie było wcale i u innego majstra znalazł pracę.

Warsztat jego teraz znajdował się blisko starego, kamiennego mostu, koło wodnego młyna, wiecznie szumiącego bystro spadającą falą. Wszystkie domy

skupiły się tutaj w gromadkę i wysunęły naprzód swoje ganki i figury, jakby je chciały rzucić w nurty rzeki. Tu nie było ogrodów ani zieloności, nawet kwiatka w doniczce w żadnym oknie, ale naprzeciw szewckiego warsztatu rośła nad wodą wielka, stara wierzba, tuląc się do ścian domu, jak gdyby się bała, aby nie porwały jej szumiące fale. Giętkie gałęzie drzewa zwieszały się na dół i przeglądały w chłodnej, czystej wodzie, zupełnie tak samo, jak w Kjöge.

Prześladowały go widocznie drzewa; wieczorem zwłaszcza, przy świetle księżyca, stara wierzba wyraźnie zwracała ku niemu swoje zielone i wiotkie gałęzie. Coś nieokreślonego płynęło z niej wtedy prosto do serca.

Kanut jej niecierpiał. Nie mógł patrzeć na nią dłużej i pożegnał majstra. Powędrował w świat dalej.

O Joasi nigdy nie mówił nikomu, ale nie mógł zapomnieć o niej. I stara historia piernikowej pary dziwnie często snuła się przed nim. Zdawało mu się teraz, że ją rozumie lepiej. Chłopiec miał gorzki migdał zamiast serca, a czyż jego serce nie było też gorzkim? Złe mu było na świecie, nie mógł znaleźć kąta, gdzieby odpoczął spokojnie, gdzieby go nie ścigały wspomnienia i drzewa. Duszno mu było; rozluźniał rzemienie swego tłumocznika, lecz to nic nie pomagało.

Dopiero widok gór sprawił mu ulgę. Leżały przed nim, niby skrzydła ziemi, złożone do spoczynku. Czy je rozpostarła kiedy? Czy próbowała na nich wzlecieć aż do nieba, ale opadła, jak bańka mydlana?

I patrzył na szeroki, rozległy krajobraz gór, lasów, chmur i jezior, szczytów i przepaści!

Szedł wciąż dalej; doliny wydawały mu się jednym szeregiem owocowych sadów; gdy przechodził, dziewczęta, zajęte robotą, przyjaźnie pozdrawiały go skinieniem głowy; śnieżne szczyty płonęły o zachodzie słońca; a gdy wśród ciemnych lasów ujrzał błękitne jezioro, wydało mu się, że czar jakiś przeniósł go nad brzeg morza w Kjöge.

I ogarnęła go znowu tęsknota, ale bez bólu.

Gdzie Ren szumiące fale rzuca w przepaść, która zamienia je w mgłę przezroczystą, w śnieżne obłoki, i w świat je wysyła, jakby tu było ich gniazdo rodzinne, — gdzie tęcza siedmiobarwne wstęgi rozwiesza nad przepaściami: — tam Kanut widział młyn na rzece w Kjöge, gdzie woda także burzy się i szumi.

Zostałby może chętnie w tej pięknej dolinie, ale zawiele wierzb i bzów tu rośło, — więc poszedł dalej. Wdzierał się wytrwale na szczyty śnieżne, na urwiste skały, przebywał drogi, jak gniazda jaskółek nad przepaściami czarnymi wiszące. W głębi szumiały potoki srebrzyste, chmury się przesuwały pod jego stopami, deptał po ostach górskich i różach i śniegu, aż z północnego skłonu przedarł się na stoki gór południowe i wstąpił w krainę wiecznie zielonych drzew, winnic i słońca. Powitały go wonią kwitnące kasztany, pola kukurydżowe i żyzne doliny. Góry zostały za nim, niby mur wysoki, który oddzielał go od wspomnień dawnych.

Zatrzymał się przed wielkim i wspaniałym miastem, które zowią Medyolan. Robotę znalazł łatwo u dobrych staruszków, którzy się przywiązali prędko do

cichego i pobożnego chłopca. Niewiele on mówił, lecz pracował dzielnie, gdyż jakiś wielki ciężar spadł mu tutaj z serca.

Wszystko tu było nowe, a takie odmienne, że w nim budziło podziw i zdumienie. Marmurowe kościoły, wieżycy, posągi zdawały się ze śniegu czystego wykute; nad nim błękitne niebo, a dalej zielona, nieskończona równina, od północy tylko zasłonięta szeregiem niebotycznych szczytów.

I przychodził mu na myśl kościół z czerwonej cegły, obwieszony festonami zielonego bluszczu — tam, na północy, w Kjöge. Nie tęsknił do niego, woli być pochowany tutaj, w górach.

Rok upłynął w ten sposób. Od trzech lat opuścił już kraj rodzinny, lecz nie myślał o tem; nie powróci tam nigdy.

Razu jednego majster, poczciwy staruszek, który serdecznie polubił Kanuta, zabrał go z sobą na wielką operę. I w teatrze jest sala, którą poznać warto!

Prawda, że warto! Jasno jak w dzień biały, piętra się wznoszą jedne nad drugimi, aż pod sklepienie, a dokoła w łóżach damy strojne, z kwiatami, panowie, muzyka — wszystko jak w Kopenhadze, tylko daleko piękniejsze; lecz tam — była Joasia...

I tu jest Joasia! Czy to czary? — Podniosła się wielka zasłona i stoi przed nim w jedwabiach i złocie, w złotej koronie, a śpiewa! — tak chyba w niebie Boże anioły śpiewają! To ona, ona! uśmiecha się, patrzy prosto na niego —

— Joasia! — krzyknął Kanut, chwytając za rękę starego majstra.

Szewc spojrzął na afisz.

— Tak, Joanna — rzekł cicho, pokazując palcem jej imię i nazwisko.

Ludzie krzyczeli i klaskali w dłonie, rzucali wieńce i kwiaty na scenę, wywoływali ją, skoro odeszła, — musiała wracać znowu.

Na ulicy tłum cały otoczył jej powóz, ciągnął go zamiast koni. Kanut ciągnął także i krzyczał wraz z innymi; krzyczał głośniejsz od nich; a kiedy zatrzymano się wreszcie przed domem wspaniałym, oświetlonym, on otworzył drzwiczki, przez które wyskoczyła, lekka, jasna, uśmiechnięta... Joasia. Dziękowała spojrzeniem i skinieniem głowy, była wzruszoną. Kanut stał tak blisko, patrzył jej prosto w oczy; i ona spojrzała na niego, uśmiechnęła się wdzięcznie — lecz go nie poznała!

Jakiś pan z gwiazdą błyszczącą na piersi podał jej rękę i zniknęli razem na marmurowych schodach, wśród blasku i kwiatów.

Kanut wrócił do domu, spakował tłómoczek i zebrał się do drogi. Powróci do ojczyzny, do bzów, do starej wierzby. Przeżył już całe życie.

Poczciwi staruszkowie chcieli go zatrzymać, prosili, aby został, zwracali uwagę na blizką zimę; śnieg upadł już w górach.

Lecz Kanut się nie lękał, — drogę znajdzie zawsze, a kij w ręku przyjaciela.

I poszedł.

Szedł znowu długo przez góry i skały, po ciężkich drogach; siła ubywa prędko, ale przed sobą nie widzi miasteczka ani osady ludzkiej. I nikogo. Tylko gwiazdy nań

patrzą z wysokiego nieba. A spoczynku już pragnie: nogi mu odmawiają posłuszeństwa, w głowie się kręci. Nagle w dolinie pod nim błysną gwiazdy. Czy to w jeziorze niebo się przegląda? Coraz ich więcej i coraz jaśniejsze; zmieniają miejsca. To małe miasteczko!

Ta pewność sił dodaje Kanutowi. Już niedaleko! Otóż i oberża; mała, uboga, ale dla niego wystarczy.

Noc i dzień w niej przepędził, gdyż potrzebował wypoczynku. Był chory, a deszcz padał, drogi się popsuły, ciężko iść dalej.

Lecz na trzeci dzień rano przyszedł wędrowny muzykant z katarynką i zagrał melodyę, która tak żywo przypomniła mu ojczyznę, że tu dłużej wytrzymać nie mógł.

I znów ruszył na północ, a szedł lakim pośpiechem, jak gdyby się obawiał, że zanim powróci, wszystkich mu śmierć zabierze. Nie mówił do nikogo o swojej tęsknocie i nikt nie wiedział, co się działo w jego sercu, szedł przecież obcy pomiędzy obcymi, do swoich, do swej wioski dalekiej nad morzem, tam na północy.

Wieczór się zbliżał. Mróz wzmagał się zwolna, kraj był coraz równiejszy: pola, łąki, drogi. Przy gościńcu rosła wielka, stara wierzba; wyglądała tak dziwnie swojsko — jakby tamta.

Kanut był znużony, więc usiadł pod drzewem; potrzebował odpocząć, — głowa mu ciążyła, oczy się zamykały. Zauważył jednak, jak troskliwie stara wierzba otuliła go swymi gałązkami, — jak najtroskliwszy ojciec!

Bo też to była tamta! Wzięła go na ręce i jak małe dziecko niosła teraz do ojczyzny, do Kjöge, na znajome, piaszczyste wybrzeże, gdzie biegał dzieckiem. Tak, to była ona, ta sama wierzba. Wyszła naprzeciw niego, bo długo nie wracał i znalazła go wreszcie i przyniosła sama do małego ogródka nad rzeczką, gdzie czeka już Joasia w złocistej koronie i wita go z daleka radosnym okrzykiem.

A oto znowu jakieś dwie postacie, podobniejsze do ludzi, niż przed laty. Szczególniej się zmieniły! To chłopiec z piernika i jego ukochana. Piękną stroną odwrócili się do niego, trzymają się za ręce.

— Dziękujemy ci — rzekli — nauczyłeś nas mówić i otosmy zaręczeni!

Idą przez ulicę razem, rękawkę, wprost do kościoła w Kjöge. Kanut i Joasia idą tuż za nimi, trzymają się także za ręce. Widać czerwone mury, bluszczem obwieszony, drzwi otwarte szeroko, słyhać organy, światła płoną na ołtarzu.

Orszak przez główne wejście wchodzi do kościoła.

— Państwo naprzód! — odzywa się chłopiec z piernika i ustępują miejsca Kanutowi, który z Joasią klęka przed ołtarzem. Joasia schyla wdzięcznie śliczną główkę, a z oczu jej spływają łzy, jak perły szronu. To lód, który niegdyś zamroził jej serce, a teraz stopniał pod tchnieniem wytrwałej, wiernej miłości. Te łzy zimne —

W tej chwili Kanut się obudził. Siedział pod starą wierzbą, w obcym kraju, w chłodny zimowy wieczór. Z chmur zimne krople na twarz mu padały.

— To sen! — szepnął ze smutkiem. — Najpiękniejsza chwila mego życia! Pozwól

mi jeszcze tak marzyć, o Boże!

I zamknął oczy.

I znów zasnął — i marzy.

Nad ranem śnieg spadł duży, wiatr miota! nim mroźny, — Kanut spał.

Szeroką drogą ludzie idą do kościoła; pod starą wierzbą siedzi czeladnik wędrowny. Zmarzył, nie żyje. Pod starą wierzbą usnął, jak w dzieciństwie, ale — na wieki.

ŚPIEWAK: Z POD STRZECHY.

Zima. Ziemia śnieżny okryta zasłoną wygląda jak wykuta z marmurowej skały; powietrze jasne, czyste, wiatr kolący, ostry, niby miecz obosieczny; drzewa bezlistne, jak białe korale, jak migdałowe gaje w pełnym kwiecie: widok daleki, jak z wierzchołka góry.

I noce piękne pod niebem, usianem gwiazd miliardami, przy blaskach północnej zorzy.

Nadchodzi burza i z chmur ciemnych sypie puchy łabędzie; białe, lekkie płatki kołyszają się w powietrzu, pokrywają dachy, ulice, pola. drogi i gościńce. Białe, cicho i chłodno.

Lecz nam ciepło w izbie, przy płonącym kominku; wesoło w gromadce słuchać i opowiadać o czasach minionych, minionych dawno. Posłuchajmy baśni.

Na morzu, hen daleko, na szerokim, grób olbrzymi na skale. O północy siada na nim bohaterski duch pogrzebanego w tej mogile króla. Siada i ciężko wzdycha. Żłocisty dyadem świeci mu na skroni, wiatr włos rozwiewa; pierś ma w stal zakutą, lecz głowa ciężko spada mu na piersi, a z ust wyrywa się głuche westchnienie, westchnienie bólu.

Duch bohatera nie ma w mogile spokoju...

Okręt o białych żaglach płynie po morzu z daleka, przy grobowej skale zarzucił kotwicę, żeglarze na ląd wyszli. Pomiędzy nimi idzie pieśniarz stary, ten zbliża się do króla stopą śmiałą.

— Dlaczegoś smutny? — pyta. — Jaki ból cię tłoczy?

— Smutny jestem — odpowiada duch pogrzebionego — bo czyny moje umarły wraz ze mną, zostały zapomniane, jak ja pod tą skałą. Żaden śpiew o nich nie rozbrzmiał po świecie, żadna pieśń w sercach ludzkich nie zbudziła żalu, nie pozostała w pamięci mych wnuków. Więc smutny jestem, — zniknąłem bez śladu i ja i życie moje. Dlatego nie znam w mogile spoczynku. Duch bohatera świecić winien wiecznie, a mój zasłonił obłok nie pamięci. Pieśń tylko takie zasłony rozdziera.

I mówił długo o swych wielkich czynach, które współcześni wielbili i czcili, lecz nie miał kto opiewać, gdyż pomiędzy nimi nie było ani jednego śpiewaka.

Wtedy położy! pieśniarz dłoń natchnioną na strunach harfy i pieśń się rozległa potężna i wspaniała. Opiewał odwagę młodzieńczą bohatera, jego śmiałe czyny, gorące serce i ducha wzniosłego. Śpiewał w miłości i wierze i prawdzie.

Na grobowcu podniosła się postać królewska, a twarz jej zajaśniała jak chmurka srebrzysta w blasku miesiąca. I rozplynęła się w blasku jak zorza, duch bohatera zniknął we własnych promieniach, rozwiął się razem z pieśnią.

Na samotnej skale pozostał tylko zielony pagórek, a na nim kamień grobowy bez znaku.

Ale z ostatnim tonem wieszczcej harfy ze strun jej zerwał się ptaszek maleńki, ptaszek o cudnym głosie, w którym drżą naprzemian wszystkie tony serca ludzkiego: radości, bólu, tęsknoty i szczęścia. Ptaszek wzniósł się wysoko i leciał nad morzem ku oddalonym lądom, ku góróm i lasóm, ponad polami i ponad łąkami, gdzie go witano serdecznie, radośnie. Śpiewak to znany, śpiewak pieśni gminnej, co nigdy nie umiera.

I dziś go słyszymy, tu, koło kominka, kiedy puchy białe bujają w powietrzu i pod niebem burza się sroży. On śpiewa nam, co było, — pieśni wesołe i smutne, o surowych krajach dalekiej północy i rozkosznych dolinach południowych; on ma słowa i tony, ma łzy i uśmiechy i w sercach ludzkich budzi wiosnę młodą, albo okrywa je szronem jesieni.

Ptak pieśni gminnej nigdy nie umiera, a żyje dawno i wszystko pamięta: i wielkich bohaterów i klęski okropne, wszystkie nadzieje i wszystkie zawody i język ojców naszych zapomniany i zapomniane prastare pamiątki on nam tłumaczyć umie słowem żywym.

A kiedy śpiewa, to burza nadchodzi, biją pioruny, lód pęka, świat płonie i drży w posadach ziemia — bo on potęgę ma i władzę wielką i królem jest i twórcą — choć nie Bogiem.

Zima. Wiatr ostry jak miecz obosieczny niesie tumany śniegu, góry całe. I wszystko sypie na miasto, skazane, aby zniknęło z ziemi. Dziwny sen zimowy. Skryły się domy i krzyże kościołów; goni śnieżna jaśnieje w przejrzystym powietrzu i odbija promienie słońca.

Nad pogrzebanem miastem krąży ptactwo, świergocze, krzyczy, śpiewa.

Wróble chmurą całą przysiadły na śniegu, wzrusza je każda drobnostka; opowiadają tak wiele, tak wiele o tem, co było w kuchni, na podwórzu. Wszystko wiedzą, wszystko wiedzą. Pi! pi! my znamy pogrzebane miasto, znamy każdy zaułek, każdy kącik. Pi, pi! wszystko, co żyło tam, leży pod śniegiem, wszystko, co żyło, pi! pi!

Czarne kruki i wrony unoszą się nad białym śniegiem, niby żałobne plamy. Grab! Grab! krzyczą co chwila. Tyle rzeczy do jedzenia zostało pod śniegiem! Tyle rzeczy wybornych i pożywnych, kra! kra!

Lecą dzikie łabędzie, szumiąc wspaniałemi skrzydłami w górze, a pieśń ich mówi o tem, co wielkie i piękne w umarłym mieście było, w mieście pogrzebionem pod górą śniegu.

Ale ptaszek drobny głos podniósł także dźwięczny:

— O, nic nie umiera! Bo niema śmierci, a życie trwa wiecznie, choć się przelewa czasem w tony pieśni, w słowa prorocze, w promienie światłości, w mądrości wiare. Lecz nie ginie życie, ono wstępuje tylko w nowe serca, i bicia ich przyśpiesza, ono ożywia nasze myśli i wspomnienia i powstaje przed nami z każdego grobowca wieczne i nieśmiertelne. Co żyło, żyć będzie!

Tak śpiewał ptak natchniony pieśni gminnej, co nigdy nie umiera.

I w tej samej chwili spłynęło z nieba ciepłe tchnienie Boże, pękły śnieżne

otchłanie, słońce je zwycięża, przenika wewnątrz góry, kruszy jej potęgę i nową wiosnę budzi na mogile, i nowe życie na starym pniu szczepi.

Bo niema śmierci: co żyło, żyć będzie. Zwiastunem prawdy tej ptaszek maleńki, ptak pieśni gminnej, który nigdy nie umiera.

TOWARZYSZ PODRÓŻY.

Biedny Janek! Ojciec jego umierał po długiej i ciężkiej chorobie, lampa gasła na stole w ubogiej izdebce i nikogo z nim tu nie było.

— Byłeś dobrym synem, Janku — rzekł umierający — i Bóg cię nie opuści, chociaż sam zostaniesz. Pamiętaj tylko zawsze kochać ludzi i czynić im tyle dobrego, ile będzie w twojej mocy.

Chory spojrzał na syna łagodnie, serdecznie i zamknął oczy — już na zawsze. Wyglądał, jakby zasnął. Janek płakał, bo nie miał nikogo na świecie, był zupełnym sierotą bez rodziny. Długo klęczał przy łóżku umarłego, całował ręce ojca, aż wreszcie znużony, oparł głowę na twardej poręczy i zasnął.

Dziwny miał sen. Śniło mu się, że był w niebie, słońce i księżyc wyszły na jego spotkanie i witały go pięknie; ojciec zdrów śmiał się jak dawniej wesoło, a królewna w złotej koronie na głowie z uśmiechem podała mu rękę.

— Oto twoja narzeczona — rzekł mu ojciec — najpiękniejsza i najlepsza królewna na świecie. Ale trzeba na nią zasłużyć.

Wtem Janek się obudził i wszystko zniknęło; ojciec leżał zimny i martwy na łóżku, w ciemnym pokoju nie było nikogo.

W parę dni potem pochowano nieboszczyka. Biedny Janek szedł za trumną, gorzko płacząc: nie mógł się z tem pogodzić, że już nigdy w życiu nie zobaczy drogiego ojca. Trumnę złożono w głębokiej mogile i zasypano ziemią; Janek słyszał, jak ziemia padała na wieko, zakryła je i uczył tak wielki ból w sercu, jak gdyby pęknąć miało. Lecz zaśpiewano piękną pieśń pobożną, tak smutną, iż Jankowi łzy spływały z oczu i lżej mu było. Słońce świeciło naczystym błękitem, a drzewa uśmiechały się do niego świeżą, jasną zielonością. Zdawały się mówić:

— Nie smuć się, Janku, nie płacz. Spójrz na niebo pogodne i czyste, jak tam pięknie! Twój ojciec już tam mieszka i patrzy na ciebie; jest szczęśliwy i prosi Boga, aby błogosławił ci w życiu.

A Janek otarł oczy i pomyślał:

— Będę się starał być dobrym, aby ojciec widział, że pamiętam jego słowa. A kiedy umrę, pójdę do niego do nieba i spotkamy się znowu. Jakaż to będzie radość!

Opowiem mu wtedy wszystko, co się ze mną działo tu na ziemi, a on mi wytłomaczy cuda raju. Będzie mię uczył i obaj będziemy szczęśliwi!

Uśmiechnął się do tych myśli, choć łzy spływały mu jeszcze po twarzy. Po gałązkach ptaszki skakały wesoło i szczebiotały: kiwit! kiwit! chociaż przed chwilą były świadkami pogrzebu. Ale one wiedziały, że umarły w niebie szczęśliwszy jest niż tutaj, że ma piękne skrzydła i śpiewa cudne pieśni razem z aniołami. Więc to je tak' cieszyło. Potem odleciały daleko, daleko, a Janek patrzył za nimi z tęsknotą i także miał ochotę ruszyć w świat nieznaną, tylko przedtem zapragnął naznaczyć grób ojca choć prostym krzyżem. Zrobił go starannie i zaniósł wieczorem na cmentarz. Mogiłę zastał pięknie usypaną i przybraną kwiatami. Widocznie obcy

ludzie pamiętali, jak dobrym dla każdego był nieboszczyk.

Nazajutrz wczesnym rankiem Janek zwinął w mały tobołek swoje rzeczy, zabrał pięćdziesiąt talarów i kilka drobnych monet, które stanowiły cały jego majątek, i wyruszył w drogę.

Przechodząc koło cmentarza, raz jeszcze wstąpił na grób ojca, aby się pomodlić i pożegnać go może na długo.

Na polu kwiaty świeciły perłami rosy porannej, grzały się w słończku, kołysały główki na figlarnym wietrze i zdawały się mówić:

— Prawda, jak tu ślicznie? Jak zielono! Witaj nam, miły przechodniu!

Oto i koniec wioski i stary kościółek, gdzie go niegdyś ochrzczono, gdzie przychodził z ojcem co niedziela na nabożeństwo i śpiewy. Przystanął, zdjął kapelusz i zegnał go wzrokiem. A wtem na wieży wysokiej zobaczył krasnoludka w czerwonej czapce, który zasłaniał twarz ręką od słońca, aby patrzeć na drogę. Janek mu skinął głową życzliwie, z uśmiechem, a maleńki człowieczek potrząsnął czapeczką, przycisnął obie ręce na chwilę do serca i przesłał mu tysiące pocałunków, aby okazać, jak szczerze mu życzy przyjemnej i szczęśliwej drogi.

I poszedł Janek dalej. Było mu rażno na duszy, — myślał, jak wiele nowych, pięknych rzeczy zobaczyć może i szedł coraz dalej, tak daleko, jak nigdy jeszcze nie był w życiu. Nie znał też wcale miejsc, które przebywał, ani ludzi, których spotykał. Był już między obcymi.

Pierwszą noc przespał na otwartym polu na świeżym stogu siana, ale to mu się bardzo podobało. Sam król nie ma wspanialszej sypialni — pomyślał — jak to pole, zasłane zielonym kobiercem, przetykanym różnobarwnymi kwiatami, z błękitem nieba, zamiast zwykłego sufitu, z przezroczystym strumykiem, zamiast umywalni i krzakami róż dzikich i czeremchy. Nad strumieniem sitowie i trzcina śpiewają mi ciche "Dobranoc", na niebie jasny księżyc zastępuje lampę. Nie potrzebuję jej gasić z obawy pożaru, lub dla braku oleju i mogę spać sobie spokojnie.

Spał też do samego rana. Dopiero słońce i ptaki wesole zbudziły śpiocha, wołając: Dzień dobry! Dzień dobry, Janku! Czy dziś wstać nie myślisz?

Możeby pospał dłużej, gdyby nie te natrętniki, lecz nie gniewał się na nie. Dzwony się ozwały z blizkiego kościołka, gdyż była to niedziela i Janek pośpieszył aby być na nabożeństwie. Śpiewał i modlił się z całego serca, jak w swoim starym wioskowym kościele, gdzie go ochrzczono, gdzie przychodził z ojcem.

Potem zaszedł na cmentarz. Wiele grobów było tutaj zaniedbanych, zarosłych zielskiem, trawą. Pomyślał sobie, że tak może kiedyś wyglądać będzie i grób jego ojca, jeśli zabraknie mu synowskiej ręki. Więc powyrywał zielska, popoprawiał krzyże, które się pochylały, poukładał wianki na swoje miejsca, przez wiatr rozrzucone, i westchnął cicho: Może ktoś tak samo uporządkuje grób mojego ojca, kiedy mnie tam nie będzie!

Wychodząc z cmentarza, dał ubogiemu kilka sztuk monety i poszedł dalej.

Przed wieczorem pokryty niebo czarne chmury, deszcz zaczął padać. Janek przyśpieszał kroku, ażeby znaleźć schronienie pod dachem, lecz noc zapadła.

Spostrzegł wreszcie małą kapliczkę na wzgórzu i tutaj postanowił przenocować.

— Usiądę sobie w kącie i odpocznę — rzekł do siebie — jestem bardzo zmęczony i to schronienie mi wystarczy; — wygod nie potrzebuję.

Odmówił krótkie modlitwy wieczorne, usiadł w kącie i zasnął. Na świecie tymczasem szalała burza, padały pioruny.

Północ, była, gdy się obudził. Burza minęła, księżyc świecił jasno i zaglądał przez okno do kapliczki. Tu na środku stała trumna z nieboszczykiem, którego miano pochować nazajutrz.

Janek nie przestraszył się wcale. Miał czyste sumienie i wiedział, że umarli nic złego zrobić nie mogą żyjącym. Tylko żywi źli ludzie krzywdzą czasem innych. I właśnie takich dwóch złych ludzi chciało wyrzucić z trumny nieboszczyka.

— Co wy robicie? — zapytał ich Janek. — Dlaczego nie zostawicie go w spokoju? To wielki grzech i zbrodnia.

— Daj nam pokój — odpowiedzieli złoczyńcy — pleciesz głupstwa bez sensu. My mamy prawo wyrzucić go z trumny, bo nas oszukał. Winien nam pieniądze i umarł, żeby nie zapłacić długu. Ale nie darujemy: jak pies będzie leżał za progiem kościoła!

— Mam tylko pięćdziesiąt talarów — rzekł Janek — ale oddam je wam chętnie, jeśli mi przyrzeczecie zostawić tego biedaka w spokoju. Jestem zdrow i miody, mogę obejść się bez pieniędzy, zresztą Bóg mi dopomoże, a bezbronno krzywdzić nie pozwolę.

— Dobrze — odrzekli źli ludzie — jeżeli nam zapłacisz dług nieboszczyka, możesz być spokojny, że mu nie wyrządzimy żadnej krzywdy.

Janek natychmiast oddał im pieniądze i poszli sobie, śmiejąc się z jego hojności. Ale poczciwy chłopiec nie uważał na to, sani ułożył napowrót w trumnie nieboszczyka, złożył mu ręce, pożegnał i poszedł dalej przez las wąską drogą.

Księżyc prześlicznie świecił przez gałęzie, a w jego jasnych, srebrzystych promieniach widać było drobne elfy, igrające między drzewami, na zielonych listkach. Nie uciekały przed Jankiem, — wiedziały, że to jest chłopiec niewinny i dobry, a tylko dla złych ludzi te śliczne, maleńkie duchy leśne stają się niewidzialnymi. Niektóre były mniejsze, niż szerokość palca, a na główkach miały złociste grzebyki, którymi pospinały długie, jasne włosy. Jedne bujały się na kroplach rosy albo ździebełkach trawy, inne tańczyły, skakały; czasem rosa spadała na ziemię, jak kula, a z nią i mały figlarz. Wtedy wybuchał chór śmiechu i wrzawa w tym małym, wesołym świątku. Wszystko to było śliczne! Elfy śpiewały cieniutkimi głosy i Janek poznawał z radością piosenki, których się uczył niegdyś, będąc dzieckiem. Wielkie pająki w srebrzystych koronach przerzucały wiszące mosty między gałęziami, budowały pałace z kryształowych nici; a kiedy rosa skropiła je lekko i błysnął promyk księżyca, jaśniały te budynki fantastyczne brylantowemi blaski.

Wszystko to trwało aż do wschodu słońca. Kiedy rozpierzchnęły się nocne ciemności, płóche elfy zasnęły w kielichach kwiatowych, a wiatr pozrywał ich

wiszące mosty i tęczowe pałace.

Janek wyszedł z lasu i szedł teraz drogą, kiedy usłyszał za sobą wołanie:

— Hej, towarzyszu, dokąd, jeśli łaska?

— Przed siebie — odparł Janek. — Jestem sam na świecie, więc idę szukać szczęścia przy Boskiej pomocy.

— To możemy iść razem — odparł obcy. — Jeśli się zgodzisz?

Janek zgodził się chętnie i poszli dalej razem, a wkrótce polubili się szczerze. Nieznajomy był człowiek dobry, a przytem o wiele mądrzejszy od Janka, który podziwiał jego doświadczenie. Musiał on wiele podróżować w życiu, bo wszystko znał i wiedział, a opowiadać umiał bardzo zajmująco.

W południe znaleźli rozłożyste drzewo i usiedli, aby odpocząć i posilić się trochę. Rozmawiając, spostrzegli wychodzącą z lasu staruszkę jakąś, drżącą, pochyloną, wspartą na kiju. Na plecach niosła wiązkę suchych gałązek na opał, które zebrała w lesie, a z fartucha wyglądały jej trzy różdżki. Szła, opierając się na krzywym kiju, krokiem niepewnym; wtem poślizgnęła się, krzyknęła głośno i upadła. Biedna staruszka złamała nogę.

— Musimy ją odnieść do domu — rzekł Janek, zwracając się do towarzysza.

Lecz ten rozwiązał swój mały węzełek, wyjął z niego słoik niewielki i powiedział, iż posiada taki balsam, pod którym złamana noga może się zrosnąć natychmiast i będzie jeszcze mocniejsza, niż przedtem. Ale za takie cudowne lekarstwo żądał trzech różeg, które stara niosła w fartuchu.

— Mądryś! — rzekła babina i pokiwała głową z dziwnym uśmiechem. Nie miała ochoty pozbyć się różeg, lecz noga bolała ją bardzo i co robić, zanim się zrosnie zupełnie, zanim będzie mogła znowu na niej chodzić?

Więc po namyśle oddała trzy różdżki, a podróżny wyjął balsam ze słoika i zaledwie dotknął nim złamanej nogi, kości się zrosły i starowina mogła iść dalej bez bólu, a nawet znacznie prędzej, niż poprzednio.

— Dobre masz lekarstwo — rzekła też z uśmiechem — znam się na tem cokolwiek. Wiem też, iż w aptecce dostać go nie można.

I poszła dalej, trzęsąc starą głową i uśmiechając się do siebie.

— Co ci po tych różgach? — spytał Janek towarzysza.

— Bardzo mi się podobały, a że jestem trochę dziwakiem i lubię osobliwości, więc sobie pomyślałem, że mogą mi się przydać.

Janek niebardzo mądry był z tej odpowiedzi, ale poszli dalej razem.

— Patrz — odezwał się Janek po jakimś czasie — jakie okropne chmury! Pewno będzie burza.

— Nie — odrzekł nieznajomy — to wcale nie chmury, to góry, mój kochany. Wspaniałe, wielkie góry, które wznoszą się ponad obłoki! Tam dopiero odetchniesz cudownym powietrzem! Stamtąd zobaczysz wielki kawał świata! Ale nieprędko się tam dostaniemy.

Rzeczywiście wędrowali cały dzień następny, nim dosięgli podnóża gór, pokrytych płaszczem czarnego lasu i składających się ze skał olbrzymich, jak całe miasta. Wszystko tu było wielkie, wspaniałe i groźne, i sił potrzeba, żeby się pięć śmiało po stromych urwiskach na te wysokości. To też nasi podróżni zatrzymali się na noc w oberży, aby wypocząć przed jutrzejszą drogą.

W największej izbie zajezdnej domu wędrowny właściciel teatru maryonetek dawał wielkie przedstawienie. W jednym końcu pokoju ustawił swój mały teatrzyk, a w drugim zgromadzili się goście przejezdni, służba, sąsiedzi. Każdy był ciekawy. Na samym środku stanął gruby rzeźnik z buldogiem, który warczał, pokazywał zęby i wytrzeszczał straszne ślepie na teatrzyk. Musiało to być zwierzę niezmiernie złośliwe.

Przedstawienie się rozpoczęło i było bardzo zajmujące. Śliczna sztuka! Król i królowa siedzieli na tronie, w złotych koronach i sukniach z długimi trenami. Widać zaraz, że musieli być bardzo bogaci. Inne maleńkie lalki z wąsami i szklanymi oczyma, stały przy drzwiach, poruszając nimi bezustannie, zapewne aby utrzymać w pokoju świeże powietrze i przyjemny powiew. Śliczna to była sztuka!

Wtem królowa wstała i postąpiła kilka kroków na przód sceny. Niewiadomo, co sobie pomyślała o tem buldog, dość, że warknął groźnie, poskoczył, schwycił nieszczęsną królową w swoją straszliwą paszczę — trzasnęła — Ach!...

Biedny właściciel teatru rozpacział: pies odgryzł głowę najpiękniejszej jego lalce! Wszyscy byli zmartwieni Przerwano przedstawienie.

Gdy się ludzie rozeszli, nieznamy towarzysz Janka zbliżył się do strapionego dyrektora teatru maryonetek i powiedział, że mu naprawi tę szkodę. Wyjął swój stoik z cudownym balsamem, wziął lalkę, która była strasznie pokaleczoną, i opatrzył jej rany, posmarował, a w tejże chwili wszystko się zrosło znowu, zagoiło, a nawet maryonетка mogła teraz sama poruszać swobodnie rękami, nogami i głową i nie trzeba było ciągnąć jej za sznurek.

Można sobie wyobrazić radość lalki! Była jak żywy człowiek, tylko mówić nie mogła. Właściciel teatrzyku cieszył się także niezmiernie: królowa mogła chodzić sama! Naturalnie, żadna inna jego lalka tego nie potrafiła.

Ale późno w nocy, kiedy wszyscy spali, dały się słyszeć takie okropne westchnienia, że wszyscy się pozrywali przestraszeni. Dyrektor pośpieszył zaraz do swoich maryonetek, gdyż z wielkiego pudła dochodziły te smutne jęki. Otworzono je i ujrzano wszystkie lalki poprzewracane i wzdychające rozpaczliwie; wszystkie patrzyły szklanymi oczami na swego pana, gdyż wszystkie pragnęły być posmarowane cudownym balsamem, ażeby mogły poruszać się same.

Królowa padła na kolana i podniosła w górę złocistą koronę.

— Zabierz ją! — zawołała — ale posmaruj maścią mojego małżonka i dwór mój cały!

Właściciel teatrzyku nie mógł się wstrzymać od płaczu, tak mu żal było lalek. Ofiarował nieznanemu cały swój zarobek z ostatniego przedstawienia, byle mu

jeszcze kilka maryonetek posmarował. Ale poczciwy człowiek odpowiedział, że jeśli mu dyrektor odda starą szablę, którą nosił u boku, to i bez pieniędzy posmaruje jeszcze sześć lalek.

Rozumie się, że umowa stanęła natychmiast, słoik znowu wyjęto, uszczęśliwione maryonетки przewracały się z radości, aż sobie pootłukały końce nosów, lecz nieznamy i na to zaradził, a wkrótce potem wszystkie sześć tańczyły same tak prześlicznie, że dziewczęta z oberżynie mogły patrzeć na to obojętnie i zaczęły także tańczyć razem z nimi. Stangret tańczył z kucharką, lokaj z pokojówką, wszyscy goście i obcy ludzie, nawet obcęgi z żelazną łopatką od węgla. Ale ta para przewróciła się przy pierwszym skoku.

W każdym razie noc była niezmiernie wesoła.

Nazajutrz rano Janek z swoim towarzyszem udali się w dalszą drogę. Szli przez sosnowe lasy coraz wyżej, aż stanęli na wierzchołku góry tak wysoko, że kościelne wieże wydawały im się w dole niby ciemne jagody na tle zieloności. I widzieli dokoła miasta, wsie i kraje, w których nie byli nigdy, daleko, daleko! Janek nie miał pojęcia, że świat jest tak wielki, tak wspaniały i piękny! Jasne słońce świeciło na błękicie, powietrze było czyste i orzeźwiające, z lasów dolatywał głos rogów myśliwskich tak prześlicznie, że Jankowi łzy w oczach stanęły.

— O dobry Boże! — zawołał z miłością. — Jakżebym cię gorąco pragnął ucałować za to, żeś taki dobry, żeś stworzył dla nas ten świat taki piękny!

Nieznamy złożył ręce do modlitwy i w milczeniu patrzył na lasy i miasta, kąpiące się w ciepłych słonecznych promieniach.

Nagle nad ich głowami rozległ się śpiew dziwny, jakiego nigdy w życiu nie słyszeli i zobaczyli w górze pod błękitem nieba płynącego wolno łabędzia. Łabędź śpiewał prześlicznie, ale coraz ciszej, coraz ciszej... Pochylił piękną głowę, skrzydła poruszały się słabo i wreszcie upadł u nóg ich martwy.

Janek litościwie pochylił się nad nim, ale w królewskim ptaku śladów życia już nie było.

— Skrzydła mu teraz niepotrzebne — rzekł podróżny — a nam przydać się mogą; takie ogromne i silne! Widzisz, jak dobrze, że mam z sobą szablę dyrektora teatryku.

Jednym uderzeniem odciął łabędzie skrzydła i schował je do tłomoczka.

Minęli góry i szli bardzo długo po drugiej stronie przez nieznanne kraje, aż na koniec przybyli do wielkiego miasta. Setki wież i kościołów błyszcząło jak srebro w blasku słonecznym, pośrodku stał biały pałac marmurowy ze szczerozłotym dachem. W pałacu król mieszkał.

Obaj podróżni zatrzymali się w małej oberży pod miastem, bo nie chcieli zakurzeni i zdrożeni wejść do pięknej stolicy. Gospodarz, człowiek rozmowny, natychmiast zaczął im opowiadać bardzo ciekawe rzeczy. Król w tym państwie był stary, ale bardzo dobry, nikt się na niego nie uskarżał, bo nigdy żadnej krzywdy nie wyrządził nikomu. Ale za to córeczka! Boże zachowaj od takiej królowny. Piękna, jak nikt na świecie, ale zła czarownica, która już wielu książąt życia pozbawiła.

— Jakże to? — pytał Janek. — Za cóż?

Każdemu pozwalała starać się o swoją rękę, wszystko jej było jedno: król czy żebrak. Ale musiał odgadnąć trzy razy jej myśli. Jeżeli mu się uda, zostanie jej mężem, a po śmierci jej ojca, panem całego kraju; ale jeżeli nie zgadnie trzy razy, co ona pomyślała, pójdzie na śmierć; zetną mu głowę i kwita.

Stary król martwił się tem niesłychanie, lecz nic poradzić nie mógł. Raz jej pozwolił wybrać sobie męża, jakiego będzie chciała, i nie mógł cofnąć słowa; a na zgryzotę jego córka nie zważała. Bardzo złe miała serce. Ile razy zjawił się nowy konkurent, królowna przyjmowała go uprzejmie, a że nie umiał odgadnąć jej myśli, to nie jej wina; wiedział przecież, o co chodzi i na co się naraża; po cóż był taki śmiały?

Biedny król każdego roku jeden dzień poświęcał na modły, aby królownie zmiękczyło się serce. Od poranka aż do nocy klęczał wtedy ze wszystkimi rycerzami, ale to nic a nic nie pomagało. Cały naród zresztą bardzo nad tem ubolewał i nawet stare babcie, które lubiły wódeczkę, na znak żałoby dolewały do niej czarnej farby. Cóż więcej zrobić mogły?

— O szkaradna królowna! — zawołał Janek oburzony. — Gdybym był starym królem, dałbym jej porządne różgi! Zasłużyła na to doskonale.

Wtem na drodze usłyszeli okrzyk ludu:

— Wiwat! wiwat!

To królowna przejeżdżała. Była tak piękną, twarz miała tak dobrą i smutną, że ludzie zapominali o jej złości i nie mogli jej wierzyć, patrząc na nią. Otaczało ją dwanaście najpiękniejszych panien, w białych sukniach, na czarnych prześlicznych wierzchowcach, każda ze złotym tulipanem w rękę. Rumak królowny był biały, kosztownie przybrany w dyamentowe i rubinowe ozdoby. Suknię miała złocistą, a w rękę szpicrutę, podobną do promienia słonecznego. Na głowie dyadem, niby szereg drżących gwiazd w czarnych włosach, a płaszcz z motyliich skrzydeł.

Twarz jej jednak była piękniejszą od stroju.

Janek spojrział na nią i oniemiał ze zdziwienia: była to bowiem ta sama królowna, którą widział we śnie, gdy zasnął przy łożku zmarłego ojca.

Nie, nie, to nieprawda! ona nie może być tak złą, jak mówią — pomyślał zaraz. Nie uwierzę temu. Jest piękną i dobrą, a ponieważ każdemu pozwala się starać o swoją rękę, spróbuję i ja szczęścia. Przekonamy się zresztą, co to wszystko znaczy, ojciec nade mną czuwa i nie lękam się niczego.

Oznajmił zaraz o swoim zamiarze, ale wszyscy mu odradzali: zginie, jak tylu innych. Towarzysz podróży odradzał mu także, lecz to nic nie pomogło. Janek wierzył w swe szczęście i w dobroć królowny, przypuszczał, że jej okrutne postęпки muszą mieć jakąś ukrytą przyczynę i uparł się przy swoim.

Oczyścił sobie buty i ubranie, umył się czysto, uczesał i poszedł do pałacu królewskiego.

Zapukał do drzwi śmiało.

— Proszę wejść — dal się słyszeć głos starego króla, który wyszedł zaraz na jego spotkanie w szlafroku i wyszywanych pantoflach; na głowie miał koronę, berło w jednej ręce, a złote jabłko w drugiej.

— Zaczekaj — rzekł i czemprowadziej włożył złote jabłko pod pachę, aby podać Jankowi prawicę.

Lecz skoro się dowiedział, że jest nowym konkurentem do ręki jego córki, zaczął tak mocno płakać, że upuścił berło i jabłko na ziemię i ocierał oczy połami szlafroka, gdyż nie miał z sobą chustki.

Biedny, dobry król stary!

— Daj temu pokój — rzekł wreszcie, kiedy się uspokoił tak, że mógł przemówić. — Nie chcę już więcej patrzeć na te okropności! Zresztą chodź i sam zobacz.

I zaprowadził Janka do ogrodu królowny. Okropny widok! Na każdym drzewie wisały po dwa i trzy szkielety zamordowanych książąt, którzy się ubiegali o rękę księżniczki. Za każdym powiewem wiatru uderzały ich kości o siebie, a wystraszone ptaki nie śmiały się gnieździć w tym prawdziwym ogrodzie śmierci. W doniczkach nawet stały trupie główki zamiast świeżych, pachnących kwiatów. Rzeczywiście dziwny był ogród królowny.

— Sam widzisz — rzekł król stary, — tak i z tobą będzie. Daj lepiej pokój. Dostyc mam już zgryzoty i zmartwienia, bo nie mogę o tem nie myśleć.

Janek pocałował w rękę dobrego króla i prosił go, żeby nie martwił się wcale, bo wszystko dobrze będzie.

Właśnie na dziedziniec zamkowy wjechała piękna królowna ze swemi damami, więc pośpieszyli, aby ją powitać. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Janka i podała mu rękę z tak dobrem spojrzeniem, że od tej chwili ani myślał wierzyć, aby była złą czarownicą. Wszyscy następnie zasiedli do stołu, paziowie roznosili konfitury i migdałowe ciastka, ale król nie mógł nic jeść ze zmartwienia. Zresztą makaroniki były dla niego za twarde.

Postanowiono, że nazajutrz z rana Janek się stawi w królewskim pałacu, aby odgadnąć pierwszą myśl królowny. Sędziowie i rada stanu będą świadkami tego, i jeśli mu się uda, musi dwa razy jeszcze powtórzyć taką próbę. Ale nie zdarzyło się dotąd nikomu przeżyć dnia podobnego.

Janek nie troszczył się o to zupełnie. Pan Bóg mi dopomoże — myślał sobie — a księżniczka taka piękna, że obawiać jej się nie umiem. I szedł wesoło przez ulice miasta aż do oberży, gdzie na niego oczekiwano z niepokojem.

Przez cały wieczór nie mógł się naopowiadać, jaką dobrą była dla niego księżniczka, jakie ma smutne i prześliczne oczy i jak mu pilno przekonać świat cały, że wcale nie jest ona tak okrutną, jak ludzie opowiadają.

Towarzysz jego smutnie potrząsał na to głową.

— Coś w tem być musi jednak — mówił z niepokojem — żalby mi było stracić cię tak wcześnie, przywiązałem się do ciebie. No, ale zobaczymy. Próżna trwoga nic nie pomoże, bądźmy weseli, dopókiśmy razem. Jutro sobie zapłacę, gdy pójdziesz do zamku.

Wieść o nowym konkurencie rozeszła się w mgnieniu oka po stolicy, w której zapanowała obawa i smutek. Teatry pozamykano, w cukierniach zasłonięto ciastka czarną krepą, król klęczał przed ołtarzem, księża odprawiali żałobne nabożeństwa. Bo dla czegoż temu jednemu miałoby powieść się lepiej niż innym?

Lecz w oberży nieznajomy przygotował wazę pończu i rzekł do Janka:

— Pijmy za zdrowie królowny i bawmy się wesoło. Zaledwie jednak chłopiec wypił parę szklanek, ogarnęła go senność, nie mógł otworzyć oczu i zapadł w sen głęboki. Wówczas nieznajomy położył go ostrożnie na łóżku, rozebrał i nakrył kołdrą, a kiedy się zupełnie ściemniło, przywiązał sobie mocno skrzydła łabędzia do ramion, wybrał największą różgę z tych, które dostał w lesie od staruszki za to, że uleczył jej złamaną nogę, otworzył okno i wyleciał. Wśród ciemności unosił się ponad domami i kierował prosto do okna królowny. Tu, przytulony do muru, czekał, co nastąpi.

Cisza głęboka panowała w mieście, tylko zegary od czasu do czasu odzywały się, wydzwanając poważnie godziny. Gdy wybiło trzy kwadranse na dwunastą, okno królowny otworzyło się cichutko, a ona sarna wyleciała z niego na wielkich czarnych skrzydłach, w białym płaszczu i popłynęła szybko w stronę wielkiej góry. Lecz towarzysz podróży Janka w tej samej chwili stał się niewidzialnym i lecąc za nią, smagał ją różgą tak mocno, że krew płynęła jej z pleców. To była podróż! Wiatr unosił w górę biały płaszcz księżniczki, jak żagiel wielki, i miotał nim na wszystkie strony, a księżyc świecił dziwnie.

— A to grad! Okropny grad! — narzekła księżniczka przy każdym uderzeniu i starała się lecieć coraz prędzej. Nakoniec doflynęła do ogromnej góry i zapukała trzy razy. Rozległ się grzmot przeciągły, góra otworzyła się szeroko i królowna z niewidzialnym swoim towarzyszem dostali się do środka.

Tutaj szli najpierw długim korytarzem, którego ściany dziwne wydawały światło: pełzało po nich we wszystkich kierunkach mnóstwo ogromnych, świecących pajaków, przez co wyglądały jak z żywego ognia. Następnie weszli do olbrzymiej sali, zbudowanej wspaniale ze srebra i złota. Ogromne kwiaty, niby słoneczniki, świeciły na jej ścianach purpurowym albo błękitnym blaskiem, ale nikt dotknąć ich nie mógł, ponieważ łodygi stanowiły wstrętne, jadowite żmije, które zionęły z paszczy ogień w kształcie kwiatów. Sufit też okrywały błyszczące robaczki świętojańskie i sine nietoperze, które wciąż biły cienkimi skrzydłami.

Wszystko to było straszne.

Prawie na środku sali stał tron ze szkła mlecznego, oparty na szkieletach końskich, wysadzanych ogniście błyszczącymi pajakami. Poduszki stanowiły małe czarne myszy, gryzące się nawzajem w cieniutkie ogonki. Ponad tronem wznosił się kosztowny baldachim z purpurowej pajęczyny, przybranej zielonemi skrzydełkami, które jaśniały jak drogie kamienie.

Na tronie siedział stary, szkaradny czarownik w koronie, z berłem w ręku. Gdy ujrzał królownę krwią oblana, z oczyma łez pełnemi, pocałował ją w czoło, posadził na kosztownym tronie obok siebie i skinął na muzykę. Natychmiast odezwały się chóry szarańczy, umieszczone w rogu sali, a wielka sowa biła się po brzuchu,

zastępując tem odgłos bębna. Szczególny to był koncert! Małe czarne koboldy i karzełki z błędnymi ognikami na spiczastych czapkach, rozpoczęły nadzwyczajny jakiś taniec, a we drzwiach ukazali się dworzanie, w szatach wspaniałych, dumni i dystyngowani. Zresztą musieli oni trzymać się bardzo prosto, gdyż były to kije od mioteł z osadzonemi na nich głowami kapusty, które czarownik przybrał w piękne suknie i obdarzył pozornem życiem, aby się przyczyniali do świetności dworu.

Nieznajomy ukrył się zaraz za tronem i nikt go widzieć nie mógł, on sam zaś wybornie widział i słyszał wszystko, co mówili czarnoksiężnik i królowa. Ta ostatnia uspokoiła się od chwili, kiedy władca tego państwa podziemnego pocałował ją w czoło. Uśmiechała się nawet, opowiadając mu o nowym konkurencie, a potem zapytała, o czem ma pomyśleć, gdy nazajutrz przed nią stanie.

— Słuchaj uważnie — rzekł do niej czarownik, mierzając ją straszonym, pałającym wzrokiem, jak gdyby chciał w nią przelać tem spojrzeniem własne uczucia i myśli.

— Kiedy stanie przed tobą, powinnaś pomyśleć o czemś najprostszym, na przykład o swoim trzewiczku. Tego nigdy nie zgadnie. Potem każesz uciąć mu głowę i przyniesiesz mi jutro jego oczy. Ha! tak dawno nie jadłem już tego przysmaku! Więc pamiętaj o wszystkim i spełnij dokładnie.

Królowa wstała z tronu i schyliła głowę, oddając mu pokłon długi i głęboki, a oczy jej w tej chwili były znowu smutne. Czarownik skinął, góra otworzyła się przed nią i wyleciała razem z nieznajomym, który tak samo bił ją całą drogę giętką i mocną różgą. Skarżyła się więc znowu na grad i śpieszyła, jak tylko mogła do swojego okna, które natychmiast zamknęło się za nią.

Wtedy podróżny wrócił do zajazdu, gdzie Janek spał spokojnie, odpiął łąbedzie skrzydła i zmęczony z przyjemnością rzucił się na łóżko.

Janek obudził się wcześniej i zaczął wybierać w drogę. Nieznajomy wstał także, opowiadając wesoło, iż śniło mu się, że królowa pomyślała o swoim trzewiczku. Radził też Jankowi taką dać odpowiedź na dzisiejsze jej zapytanie.

— Dobrze — rzekł Janek — posłucham cię chętnie, może to ojciec natchnął cię tą myślą? Wierzę mocno, że mię Pan Bóg nie opuści, lecz na wszelki wypadek żegnam cię serdecznie i dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla mnie. Może być, iż nie zobaczymy się więcej.

Uścisnęli się mocno, potem Janek pobiegł do zamku królewskiego.

W tronowej sali pełno było ludzi. Sędziowie zasiedli na wielkich fotelach i wsparli głowy o puchowe poduszeczki, gdyż bardzo wiele mieli dzisiaj do myślenia. Stary król wstał i otarł zapłakane oczy białą chustką od nosa. (Dziś miał ją przy sobie, nie zapomniał). Wtem weszła królowa. Wydała się Jankowi piękniejszą niż wczoraj, choć oczy miała dziwne, jak gdyby uśpione. Podała mu uprzejmie rękę i powiedziała dzień dobry.

Teraz Janek miał zgadnąć, o czem pomyślała. Patrzała nań spokojnie, lecz kiedy wymówił słowo: trzewiczek, zbladła, zachwiała się jakby zbudzona, a na jej pięknej twarzy odmalowała się okropna trwoga.

Ale to wszystko jedno. Król z wielkiej radości podskoczył prawie do sufitu, aż złote jabłko upadło na ziemię i potoczyło się pomiędzy sędziów, że go musieli berłem wygarnąć z pod fotela. Wszyscy klaskali w dłonie, cieszyli się i wieszowali Jankowi, któremu pierwszy raz tak się powiodło.

I nieznajomy się ucieszył, kiedy mu Janek wszystko opowiedział. Potem obydwaj dziękowali Bogu za okazaną pomoc, a Janek był już teraz zupełnie spokojny, choć wiedział, że nazajutrz ma znowu zgadywać.

Wieczór upłynął jak dnia poprzedniego. Gdy Janek zasnął, towarzysz podróży poleciał na skrzydłach łabędzia za księżniczką do czarownika, ale tym razem bił ją jeszcze mocniej, gdyż wziął z sobą dwie różgi. Nikt go nie widział, a on słyszał wszystko. Księżniczka miała jutro myśleć o rękawicze. Powtórzył to Jankowi, niby sen, i naturalnie chłopiec szczęśliwie odgadł po raz drugi.

Cały dwór skakał z radości i wywracał koziołki za przykładem starego króla, który położył na fotelu berło, koronę i jabłko, żeby mu nie przeszkadzały w chwili tak wielkiego szczęścia. Księżniczka tylko omdlała prawie z przerażenia; złożono ją na sofie, ale słowa przemówić nie mogła. Nikt się nią zresztą dzisiaj bardzo nie zajmował, bo wszyscy myśleli o tem, że jeżeli Janek po raz trzeci wyjdzie zwycięsko z tej próby, to zostanie mężem królowej, a po śmierci jej ojca, panem całego kraju.

No, ale jeśli omyli się jutro — wszystko przepadło. A szkoda byłoby takiego zucha!

Wieczorem Janek wcześniej odmówił pacierze i udał się na spoczynek, ale przyjaciel jego przypasał do boku starą szablę, zabrał wszystkie trzy różgi i na łabędzich skrzydłach pośpieszył znowu do pałacu.

Noc była ciemna. Wicher dął tak przeraźliwie, iż zrywał dachy z domów, a drzewa w ogrodzie królowej jak trzcina zginały się do samej ziemi. Błyskawice krzyżowały się na czarnym niebie, grom huczał bezustanny, zdawało się, że chyba świat pęka na drobne szczątki.

Przed północą otworzyło się okno księżniczki i wyleciała z niego smutna, blada jak płaszcz biały, który natychmiast wicher porwał w górę i z wściekłością szamotał nim na wszystkie strony. A nieznajomy, lecąc tuż koło niej, bił ją różgami tak mocno, że krople krwi padały niby deszcz na ziemię. Osłabła też nakoniec i już prawie lecieć nie mogła, gdy stanęła przed górą.

— Straszna burza i grad — rzekła, otrząsając się w progę — jak żyję, nie dokuczyła mi tak niepogoda.

— I dobrego bywa za wiele — odparł tajemniczo czarnoksiężnik..

Wtedy opowiedziała mu o drugiej szczęśliwej próbie Janka. Jeśli jeszcze raz zgadnie, zostanie jej mężem, a wtedy... kto wie, co z nią zechce zrobić...

— Nie zgadnie — rzekł czarownik — już moja w tem głowa. Chyba, że mocniejszym jest ode mnie. Ale tego się nie obawiam. Bawmy się więc wesoło.

Wziął królową za ręce i zaczęli tańczyć pośród małych koboldów i karzełków z błędnymi ognikami na czapeczkach. Cały dwór tańczył także, ogniste pająki podskakiwały wesoło na ścianach, z kąta brzmiała szarańcza, sowa biła się po

brzuchu, nietoperze uderzały cienkimi skrzydłami, słowem bal był, co się zowie.

Nakoniec oznajmiła królowna, że czas na nią wracać do domu. Czarownik postanowił sam ją dzisiaj odprowadzić dla większego bezpieczeństwa.

Lecieli więc przez burzę i pioruny, a przyjaciel Janka bił ich tak gorliwie, że połamał wszystkie trzy różgi. Jeszcze takiego gradu nie kosztował i czarnoksiężnik.

Przed samem oknem pożegnał nakoniec księżniczkę i szepnął jej do ucha: Myśl o mojej głowie.

Lecz nieznamy usłyszał te słowa i gdy księżniczka zniknęła za oknem, pochwyił czarownika z całej siły za brodę i szablą uciął mu głowę tak prędko, że niegodziwiec sam nawet nie miał czasu spostrzedz, kiedy się to wszystko stało. Szkaradny tułów rzucił potem w głąb jeziora rybom na pożarcie, a głowę opłukał w wodzie, związał w chustkę od nosa i zabrał z sobą do oberży, gdzie spokojnie spać się położył.

Nazajutrz oddał węzełek Jankowi i zapowiedział, aby go nie rozwiązywał, dopóki go królowna nie zapyta, o czym sobie pomyślała.

W królewskiej sali było dziś tak pełno, że dygnitarze państwa deptali sobie po odciskach i mimowolnie popychali się nawzajem. Radcy siedzieli na swoich fotelach z miękkimi poduszczkami pod głowę, król sam miał nową suknię, a złote berło i korona były świeżo wyczyszczone i błyszcząły z daleka.

Wszystko też wyglądało uroczyście, tylko królowna była strasznie blada i ubrała się w szaty żałobne.

— O czym myślę? — spytała Janka głosem drżącym.

On rozwiązał chusteczkę i sam się przestraszył szkaradnej głowy czarownika. Cały dwór zadrżał i zasłonił oczy, a księżniczka, jak skamieniała, długo jednego słowa przemówić nie mogła.

Podniosła się nakoniec i podała rękę Jankowi.

— Zgadłeś — rzekła dziwnym głosem — jesteś moim panem. Dziś wieczorem nasze wesele.

— Dzięki Bogu — zawołał stary król uszczęśliwiony. — Dożyłem przecie tego dnia upragnionego!

Wszyscy krzyknęli: — Wiwat!

Na ulicach dała się słyszeć muzyka, odezwały się dzwony kościelne, cukiernicy pozdejmowali czarną krepę z ciastek, wszędzie panowała radość i wesele. Na rynek wyniesiono trzy pieczone woły, nadziewane kurczętami i kaczkami, i każdy mógł sobie odkrajać kawałek i zjeść albo zabrać do domu. Fontanny napełniono winem, a piekarze każdemu, kto kupował bułkę za dwa grosze, dodawali sześć sucharków i ciastko z rodzynekami.

Wieczorem całe miasto oświetlono, żołnierze strzelali z armat, a mali chłopcy z kapiszonów. Na zamku jedzono, pito, trącano się pucharami, skakano i tańczono. Damy księżniczki i piękni dworzanie śpiewali naprzemiany, nikt rozmawiać nie mógł spokojnie z powodu wielkiego hałasu.

Ale królowna nie kochała Janka, choć została jego żoną, i przyjaciel jego zauważył zaraz, że czary z niej dotąd nie zostały zdjęte. Więc dał Jankowi kilka kropel płynu w kryształowej buteleczce i trzy małe piórka ze skrzydeł łabędzich.

— Każ przygotować przed jej łóżkiem dużą wannę z wodą — rzekł przytem — włóż w nią piórka i wlej ten płyn przezroczysty, a kiedy rano żona twoja się obudzi, pchnij ją tak zręcznie, żeby wpadła prosto do wody. Niech się w niej z głową trzy razy zanurzy, a władza czarownika nad nią zniknie i będziecie oboje szczęśliwi.

Janek wykonał wszystko, co mu przyjaciel poradził. Królowna krzyczała głośno i po pierwszym zanurzeniu zamieniła się w czarnego łabędzia z oczyma błyszczącymi jak płomień. Po drugim zanurzeniu łabędź stał się biały i tylko czarna obrączka pozostała mu na szyi. Janek przeżegnał się i po raz trzeci zanurzył ptaka w wodzie, a wtedy łabędź zmienił się w księżniczkę, stokroć piękniejszą, niż była poprzednio.

Ze łzami w oczach dziękowała ona Jankowi, że ją wybawił od czarów i powiedziała, że kocha go nad wszystko w świecie.

Nazajutrz ustanowiono dzień przyjęcia i państwo młodzi od samego rana przyjmowali życzenia i powinszowania. Pierwszy złożył je stary król ze swoim dworem, potem przychodzili urzędnicy, obywatele, wojsko, kupcy i przemysłowcy, słowem, nie było końca tej procesji.

Towarzysz podróży Janka przyszedł także z małym tobołkiem i kijem podróżnym, widocznie w dalszą drogę się wybierał. Ale Janek wzruszony, rzucił mu się na szyję, prosząc, aby z nimi pozostał na zawsze, gdyż nigdy nie zapomni, ile mu zawdzięcza.

— Nie mogę — odrzekł wtedy nieznajomy, łagodnie potrząsając głową — czas mój minął. Spłaciłem dług i muszę powracać do siebie. Czy pamiętasz w kapliczce tego nieboszczyka, którego chcieli skrzywdzić dwaj niedobrzy ludzie? Oddałeś wszystko, coś miał, by zapewnić mu spokój w grobie. Ja tym nieboszczykiem jestem.

I w tejże chwili zniknął.

Wesele królowny trwało cały miesiąc. Młodzi byli szczęśliwi i kochali się bardzo, a stary król dożył wielu dni przyjemnych, huśtając na kolanach małe wnuki i pozwalając im bawić się berłem i jabłkiem. Czasem tylko miał wielki kłopot, kiedy się napierały koniecznie korony.

Ale tego nie wolno było się dotykać.

A potem Janek został królem i panował szczęśliwie, długo, razem z żoną.

KRÓLOWA ŚNIEGU.

1. O CZARODZIEJSKIM ZWIERCIADLE.

No, a teraz baczność!

Zaczynam! a jak dojdziemy do końca bajeczki, więcej będziemy wiedzieli, niż na początku!

Był sobie pewien czarownik, i to nie lada jaki, jeden z najgorszych, krótko mówiąc, dyabeł wcielony!

Otóż pewnego dnia ogromnie się ucieszył, sporządził bowiem lustro, które było takie dziwne, że wszystkie dobre i piękne rzeczy, co się w nim odbijały, nikły prawie zupełnie, a przeciwnie wszystkie złe i brzydkie stawały się jeszcze gorszymi. Najpiękniejsze łąki, pola i lasy wyglądały w lustrze, jak talerze z gotowanym szpinakiem, a z najlepszych ludzi robiło się poprostu coś obrzydliwego; albo stawali na głowach bez kadłubów, albo mieli twarze tak wykrzywione, że ich niepodobna było poznać; najmniejszy pryszczyk albo pieg wyglądał w lustrze, jak ogromna plama na nosie lub na czole.

Dyabeł utrzymywał, że to bardzo śmieszne.

Wszyscy zaś słudzy jego i przyjaciele nie mogli się naopowiadać o wielkim cudzie, który pojawił się na świecie. Zaczęli odbywać z tem lustrem podróże po wszystkich lądach i morzach, aż wreszcie nie było już na ziemi ani kraju, ani człowieka, coby w niem nie został wykrzywiony i zeszpecony. Nakoniec, postanowili dostać się także do nieba, żeby dokuczyć aniołkom, które tam mieszkają. Im wyżej jednak wznosili się ku niebu, tem bardziej trzęsło się lustro, tak, iż zaledwie zdołali utrzymać je w rękach, aż wreszcie zadrgało tak silnie, że spadło na ziemię, gdzie rozbiło się i rozprysło na mnóstwo setek tysięcy i jeszcze więcej kawałków. Teraz dopiero zaczęło się prawdziwe nieszczęście, niektóre bowiem z tych kawałków, drobne, jak najmniejsze ziarnko piasku lub maku, rozleciały się po całym świecie i gdy komu wpadły do oka, to już w niem zostawały na zawsze; więc ludzie wszystko widzieli na opak i w każdym, choćby najpiękniejszym przedmiocie, dostrzegali tylko to, co było najgorszego, bo najmniejsza nawet skorupka tego lustra była równie szkodliwa, jak i całe zaczarowane zwierciadło. Innym nieszczęśliwym ludziom odrobinka lustra wpadała do serca, a z tego wynikały najstraszniejsze i najsmutniejsze rzeczy, serce bowiem takich biedaków robiło się odrazu zimnem, niby bryła prawdziwego lodu. Z większych skorup porobiono gdzieniegdzie szyby do okien, ale przez te szyby przykro było patrzeć nawet na swoich najlepszych przyjaciół. Inne kawałeczki osadzano w okularach, więc źle się działo, kiedy kto takie okulary włożył na nos, chcąc się czemuś dobrze przypatrzeć, bo właśnie widział wtedy źle i fałszywie.

Dyabeł zaś śmiał się z tego tak silnie, aż mu się ogromne brzuszysko trzęsło, bo

te wszystkie smutne wypadki i nieszczęścia ludzkie łechtały go mile po jego szatańskim sercu. A tam, na świecie, małe cząsteczki niedobrego szkła unosiły się ciągle w powietrzu... A teraz posłuchajmy innej bajki;

2. O JANKU I MARYSI.

W pewnym wielkim mieście, gdzie tyle jest domów i tylu mieszkańców, że brak miejsca na to, by każdy człowiek mógł posiadać choćby najmniejszy ogródek, i gdzie z tego powodu po większej części ludzie zadawalniać się muszą kwiatkami w wazonikach, mieszkało dwoje ubogich dzieci, które miały ogródek nieco większy od zwyczajnej doniczki. Nie były one rodzeństwem, ale tak się kochały, jak brat i siostra. Rodzice ich mieszkali na jednej z wąskich uliczek miasta, tuż obok siebie, w dwóch izdebkach pod strychem; dach jednego domu dotykał prawie do dachu drugiego, rynna zaś łączyła oba budynki. W każdym z tych domów, przy samym dachu, było małe okienko, a ktoby miał dosyć odwagi, mógł przejść po rynnach z jednego okna do drugiego.

Rodzice tych dzieci mieli duże, drewniane skrzynie, w których rosły różne warzywa, kwiaty, oraz dwa krzaczki róż. Raz przyszła tym ludziom myśl do głowy, żeby owe skrzynie postawić na gzypsach, tak, iż z jednego okna dochodziły prawie do drugiego i wyglądały, niby zagony, obsiane kwiatami. Łodygi groszku i powoju wisały po obu stronach skrzyni, a krzaczki róż bujały w długich gałązkach, otaczając okna i pochylając się ku sobie. Ponieważ skrzynie stały bardzo wysoko, a dzieci wiedziały, że im włązić na nie niewolno, siadały więc tylko na małych stołeczkach w oknie i bawiły się z sobą, oddychając wonią róż i patrząc na malutki ogródek wiszący.

Kiedy nadeszła zima, robić już tego oczywiście nie mogli. Okna częstokroć zupełnie zamarzały; wtenczas jednak dzieci grzały przy piecu trzygroszniaki i tak rozgrzane przykładaly do białej szyby, na której powstawały równe, okrągłutkie otworki, a przez nie widać było piękne, wesołe oczy, po jednym z każdego okna.

To mały chłopczyk i mała dziewczynka spoglądali na siebie zdaleka. On nazywał się: Janek, a ona: Marysia. W lecie od razu przez okno mogły się dostać jedno do drugiego, w zimie zaś musiały to schodzić na dół, to wdrapywać się na górę, co było dosyć męczące.

Na dworze walił śnieg.

— To są białe pszczoły, które się teraz właśnie wyroiły z ula! — rzekła stara babka.

— Czy i one mają swoją królowę? — zapytał mały chłopczyk, bo wiedział, że prawdziwe pszczoły mają królowę.

— A jakże! — odpowiedziała babka. — Królowa tam lata, gdzie rój najgęstszy! Jest ze wszystkich największa i nigdy nie spada na ziemię, lecz wlatuje znów do czarnej chmury. Nieraz o północy fruwa po ulicach miasta i zagląda do okien, które natychmiast jakoś dziwnie zamarzają, jakby je posiano kwiatami.

— A tak! tośmy nieraz widzieli! — rzekły dzieci i uwierzyły, że to prawda.

— A czy Królowa Śniegu może wejść do pokoju? — zapytała dziewczynka.

— Niech tylko przyjdzie! — zawołał chłopczyk, — zarazbym ją posadził na

piecu, toby się stopiła.

Ale babunia pogłaskała go po głowie i zaczęła opowiadać inną bajeczkę.

Wieczorem, gdy mały Janek był już nawpół rozebrany, wlaź na krzesło i wyrzał przez mały trzygrośniakowy otwór. Na ulicy zaczął padać śnieg, a jeden największy płatek zawisł na brzegu skrzyni kwiatowej. Płatek ten rósł coraz bardziej, zmieniając ciągle kształty, aż w końcu stał się kobietą, ubraną w najcieńszy biały muślin, utkany z mnóstwa śnieżystych gwiazdeczek. Była ona delikatna i piękna, nawet bardzo piękna! całe jej ciało jednak składało się z lodu, z gładkiego, iskrzącego się, lecz zimnego lodu! A mimo to żyła. Oczy jej lśniły, niby dwie jasne gwiazdy, ale patrzyły tak jakoś dziwnie, martwo i smutno, że aż się Jankowi zimno zrobiło. Nachyliła się do okna i dała znak ręką. Mały chłopczyk zląkł się okropnie, zeskoczył z krzesła, i zdawało mu się, że w tej samej chwili jakiś olbrzymi biały ptak przeleciał koło szyby.

Nazajutrz mróz był trzaskający — a potem przyszła odwilż i zjawiała się wiosna: słońce świeciło, drzewa puściły liście, jaskółki lepily sobie gniazdka, ludzie otwierali okna, a nasze dzieci siedziały znów w swoim wiszącym ogródku, wysoko ponad wszystkimi piętrami.

Róże tego lata kwitły przepysznie; mała dziewczynka nauczyła się na pamięć pieśni, którą czasami nuciła babka, a w której także była mowa o różach, więc, myśląc o własnych swoich kwiatach, śpiewała małemu chłopczykowi

O, sercu najmilsza, różyczko kochana,
Pól, sadów, ogrodów ozdobo!
Barw krasą jaśniejesz i wonią-ś owiana —
Kwiat żaden nie zrówna się z tobą!

Ach! róży, ach! róży!
Wśród ziemi rozłogów,
W tej życia podróży,
Tak wiele jest głogów!
Ach! róży, ach! róży!

Młodzieniec po górach, przepaściach, dolinie,
Przebiega po kwiaty na wianki,
Lecz z kwiatów najmilszą jest róża dziewczynie,
Różyczką wieńcz skronie kochanki!

Ach! zerwij ją świeżą
I miłą i ładną,
Nim gromy uderzą,
I listki opadną,
Ach! zerwij ją świeżą!

I dziatki trzymały się za ręce, całowały różyczki, patrzyły w jasne słońce i śmiały się do niego.

Prześliczne to były dni letnie; a jak tam pięknie pachniały świeżo rozwinięte kwiatki róży!

Pewnego dnia Janek i Marysia siedzieli i oglądali książkę z obrazkami, w której były same zwierzęta i ptaki; wtem — na zegarze kościelnym wybiła właśnie godzina piąta — Janek zawołał: "Aj! Aj! Zakłuło mnie strasznie w sercu i coś mi wpadło do oka."

Mała dziewczynka objęła go za szyję, on mrugnął parę razy oczami; nie! nic nie było widać!

— Mnie się zdaje, że już wyleciało! — powiedział. — Ale nie, nie wyleciało, gdyż była to właśnie jedna z owych szkaradnych skorupki szklanych, co się rozprysły po świecie z brzydkiego czarodziejskiego, dobrze wam pewno jeszcze pamiętnego, zwierciadła, które wszystko piękne i dobre robiło złem i brzydkim, a w którym tylko rzeczy okropne i wstrętne widać było wyraźnie. Biednemu Jankowi wpadły takie dwa drobne ułamki lustra: jeden w oko, a drugi prosto w sarno serce. Otóż serce chłopczyka stało się odrazu zimną bryłą lodu. Bólu już wprawdzie nie czuł, ale kawałek obrzydliwego szkła tkwił w środku serca.

— Czego beczysz? — zapytał szorstko Marysi. — O, jakże teraz nieładnie wyglądasz! Mnie już nic nie jest. Pfe! — zawołał odrazu — ta róża robaczywa! Patrz no! ta znów zupełnie zwiędła! Właściwie te róże są bardzo brzydkie! Podobne do skrzyni, w której rosną. — To mówiąc, kopnął nogą skrzynkę i zerwał obie róże. — Janku! co ty robisz? — zawołała Marysia; on zaś, widząc, jak się dziewczynka złęka, zerwał jeszcze jedną różę i wskoczył do swojego okna, zostawiając małą, ładną Marysię, drżącą z przestachu.

Gdy później przyszła do niego z książeczką, on jej powiedział, że te obrazki dobre są chyba dla dzieci przy piersi, a kiedy babunia opowiadała bajeczkę, on zawsze we wszystkim znalazł jakieś "ale." Jeżeli miał sposobność, to, wykrzywiając się, szedł za pocziwą babcią, kładł okulary na nos i udawał jej mowę. Robił to nawet dość zabawnie, więc z początku ludzie się śmieli, ale wnet nauczył się przedrzeźniać wszystkich mieszkańców z sąsiedztwa, naśladowując to tylko, co było w nich śmiesznego i brzydkiego, a ludzie wtedy mówili: to bardzo zły chłopiec, ten Janek. I rzeczywiście zrobił się z niego niedobry chłopiec. A im był starszy, tem stawał się gorszym. Nie kochał nikogo, prócz siebie, ani ojca, ani matki, ani babuni, ani dobrej małej Marysi. Nie lubił także swoich towarzyszy szkolnych i sąsiadów. Taka obojętność na wszystko, co człowiek kochać powinien, jest rzeczą bardzo naganną i brzydką, Janek więc stał się naprawdę niedobrym chłopakiem, ale w gruncie rzeczy nie on był temu winien, tylko owe zaczarowane szkieleto, które mu wpadło w oko, i to drugie, co mu się wgryzło w serce. Dlatego też lubił często robić na złość małej Marysi, która go jednak z duszy serca kochała.

Pewnego razu, w zimie, przyszedł Janek w dużych rękawicach, z saneczkami na plecach i zdaleka już wołał do Marysi: "Mama mi pozwoliła pojeździć sobie po rynku, gdzie się bawią chłopcy!" i, mówiąc to, zbiegł ze schodów.

Na rynku najśmielsi chłopcy przywiązywali swoje saneczki do sanek włościańskich, lub do innych pojazdów, i jechali potem z nimi spory kawałek drogi. Była to bardzo piękna zabawa. Gdy się tak w najlepsze bawili, nadjechały duże, białe sanie, w których siedział ktoś otulony w sute białe futro i w białej czapce na głowie. Sanie dwa razy objechały dokoła rynku, a Janek przywiązał do nich z tyłu swoje małe saneczki i pojechał za nimi. Konie zaczęły biegnąć coraz szybciej i skręciły w boczną ulicę, a osoba, jadąca w saniach, odwróciła się i uśmiechnęła uprzejmie do Janka, jakby go znała oddawna, a ile razy chłopczyk chciał odwiązać saneczki, tyle razy podróżny uśmiechał się znowu i, — Janek zostawał na swoim miejscu. Tak przejechali przez całe miasto do mostu, a przez most za rzekę i za rogatki. ' Kiedy już byli na polach za miastem, zaczął padać tak gęsty śnieg, że Janek nie mógł dojrzeć własnej ręki. Teraz już puścił sznurek i chciał się odczepić, ale napróżno, bo małe jego saneczki były jakby przymarznięte do dużych sani i sunęły naprzód pędem wichru. Przestraszony chłopiec zaczął głośno wołać, ale nikt go nie słyszał; śnieg walił coraz gęstszy, a sanie ciągle pędziły i pędziły. Przerażony Janek chciał zmówić pacierz, lecz ze strachu zapomniał go zupełnie, i ciągle tylko przychodziła mu na myśl tabliczka mnożenia.

Płaty śniegu zwiększały się coraz bardziej, aż w końcu wyglądały, jak duże białe kury. Raptem sanie stanęły, a jadąca w nich osoba powstała. Futro jej i czapka składały się całkiem ze śniegu; była to kobieta wysoka, wysmukła i lśniąco biała — była to "Królowa Śniegu!"

— Ostrośmy jechali! — rzekła — ale po co masz marznąć. Otul się w moje białe niedźwiedzie.

To mówiąc, posadziła Janka obok siebie w saniach i przykryła go futrem, a jemu się zdawało, że zapada w miękką, śnieżną górę.

— Czy ci jeszcze zimno? — spytała i pocałowała go w czoło. Pocałunek ten był zimniejszy od lodu i zaraz wniknął mu w sam środek serca, które przecież, jak wiemy, już się przedtem zmieniło do połowy w lodową bryłę. Janek był pewnym, że umiera, trwało to jednak tylko chwilę, bo zaraz jakoś zrobiło mu się lepiej i nie czuł wcale zimna wkoło siebie.

— Moje saneczki! — zawołał — zabierz także moje saneczki. — O ulubionej swojej zabawce pamiętał bardzo dobrze, reszta go niewiele obchodziła. Przywiązano więc saneczki do jednego z białych kurcząt, które leciało tuż za dużymi saniami z ciężarem na grzbiecie. Królowa Śniegu raz jeszcze pocałowała Janka w same usta, i w tej chwili zapomniał on o małej Marysi, o babce i matuli, i o domu, w którym się urodził i wychował, i o całym mieście wraz ze wszystkimi jego pocziwymi mieszkańcami i wesołymi ulicami.

— Już cię więcej całować nie będę, — rzekła Królowa, — bobym cię zacałowała na śmierć!

Janek spojrzał na nią, była niezmiernie piękna; nikt na świecie nie miał chyba rozumniejszej i gładszej twarzy. Teraz już nie wydawała mu się tak straszną, martwą i zimną, jak wówczas, kiedy siedziała za oknem i kiwała na niego ręką. Dzisiaj podobała mu się bardzo, i nie bał jej się wcale. Opowiadał Królowej, jaki jest

mądry, i jak dobrze umie czytać i rachować. Królowa zaś patrzyła na niego swojemi błyszczącemi jak lód oczyma, i uśmiechała się ciągle. Wreszcie wzięła go na ręce i wzleciała z nim razem wysoko, wysoko... I tak przelatywali oboje ponad górami i lasami, morzami i lądami, a pod nimi zimny wicher huczał i szumiał, wyły głodne wilki i błyszczał biały śnieg, nad którym znowu unosiły się, kracząc, czarne, jak węgiel, wrony i kruki, a wysoko w górze jaśniał duży okrągły księżyc...

3. O OGRÓDKU U STAREJ KOBIETY.

Co się działo z małą Marysią po ucieczce Janka?

Gdzie on zginął? Nikt tego nie wiedział i nikt też nie umiał dać zadawalniającej odpowiedzi na liczne pytania stroskanych rodziców i domowników. Chłopcy tylko mówili, że widzieli, jak Janek przywiązał swoje saneczki do ogromnych białych sani, które wjechały w jedną z bocznych uliczek i stamtąd podążały do żelaznego mostu. — Ile tam też wylano w małych izdebkach pod strychem!

Marysia płakała i płakała bez ustanku; potem wszyscy mówili, że Janek już pewno nie żyje, że spadł z mostu i utonął w rzece. Smutneż to były, smutne dni zimowe!

Wreszcie nastąpiła wiosna i słońce zaczęło znów świecić nieco mocniej.

— Niema Janka, niema! już nie żyje! — wołała mała Marysia.

— Ja temu nie wierzę! — odpowiadało światło słoneczne.

— Niema go! już nie żyje! — mówiła do jaskółek.

— My temu nie wierzymy — odpowiadały jaskółki, aż w końcu przestała temu wierzyć i Marysia.

— Włożę dziś nowe, jasne buciki, których Janek nigdy jeszcze nie widział, a potem pójdę do rzeki i jej się o niego zapytam.

Było to bardzo rano, więc pocałowała starą babunię, śpiącą jeszcze w łóżku, i zeszła na dół do rzeki, która właśnie, z powodu wiosennych roztopów, wezbrała bardzo wysoko.

— Czy to prawda, żeś mi zabrała mojego Janka? — zapytała. — Jeżeli mi go oddasz, podaruję ci moje jasne buciki.

I zdawało się jej, że bystre nurty wody dziwnie się do niej jakoś uśmiechają; zdjęła więc swoje ulubione jasne buciki i cisnęła je do wody. Upadły tuż przy samym brzegu, i fale znów je na ląd wyrzuciły. Rzeka nie chciała przyjąć ofiary małej dziewczynki, nie mogąc jej zwrócić wzamian Janka, którego, jak wiemy, wcale w swych głębiach nie miała. Marysi jednak się zdawało, że pewno wrzuciła buciki za blisko lądu, wlaźła więc do czótenka, co się opodal bujało na falach, i stamtąd z całej siły cisnęła trzewiczki do wody. Czótenko atoli było bardzo lekko przywiązane, gdy się więc mocniej chybotać zaczęło pod krokami Marysi, oderwało się nagle i odbiło od brzegu. Kiedy mała dziewczynka to spostrzegła i chciała na ziemię wyskoczyć, było już zapóźno, czótno bowiem o łokieć przeszło odbiegło od lądu i, porwane silnym prądem wezbranej rzeki, płynęło coraz szybciej i dalej.

Mała Marysia przeleżała się okropnie i zaczęła płakać, ale nikt jej, prócz wróbli, nie słyszał, a wróble przecież nie mogły wynieść dziewczynki z czótenka, latały więc tylko wzdłuż brzegu i śpiewały, by ją pocieszyć: "tuśmy, tu! tuśmy, tu! nie bójże się ni-i-i-i-ie!" Czótno pędziło z wodą, a mała Marysia siedziała już spokojnie; za nią płynęły jasne buciki, ale nie mogły dogonić lekkiego czótenka, które bardzo prędko mknęło po fali.

Pięknie było po obu brzegach rzeki: śliczne kwiaty, stare drzewa i puszyste łąki, na których pasły się krowy i owce, ale nigdzie ani śladu człowieka.

Może mnie woda poniesie do mojego Janka, pomyślała Marysia i spojrzała weselej dokoła siebie, przypatrując się pięknym zielonym brzegom. Wtem dopłynęła do dużego ogrodu, pełnego drzewek wiśniowych, ocieniających mały domek z dziwnymi czerwonymi i niebieskimi okienkami. Czółno płynęło coraz wolniej, wolniej, aż wreszcie przybiło zupełnie do lądu.

Marysia zaczęła wołać, a z domku, stojącego w ogrodzie, wyszła staruszcza z kijkiem w ręku, w dużym, słomianym, pomalowanym w kwiaty kapeluszu na głowie.

— Biedna dziecino! — rzekła staruszka—jakim sposobem dostałaś się na tę wielką, bystrą rzekę, co cię tak daleko od domu uniosła?

Potem staruszka weszła do wody, zakrzywionym kijem uchwyciła czółno, przyciągnęła je do brzegu i pomogła Marysi wyjść na ląd. Marysia ucieszyła się bardzo, czując znów twardą ziemię pod nogami, ale bała się trochę nieznajomej staruszki.

— Chodźże i powiedz mi, kto jesteś i jakim sposobem tutaj się dostałaś? — zapytała stara. Marysia zaczęła jej opowiadać wszystko po kolei, a staruszka kiwała tylko głową i mruzczała: Hm! hm! Gdy Marysia skończyła opowiadanie, zapytała staruszki, czy czasem nie widziała gdzie małego Janka. Staruszka odrzekła, że dotąd wprawdzie jeszcze tędy nie przejeżdżał, ale niezawodnie prędzej, czy później, przyjedzie, żeby się więc Marysia nie smuciła, a lepiej skosztowała wisienek i obejrzała kwiatki. Potem wzięła dziewczynkę za rękę i zaprowadziła do małego domku, którego drzwi starannie za sobą zamknęła.

Okienka były bardzo wysokie o szybach czerwonych, żółtych i niebieskich, przez które światło dzienne dziwnie jakoś zabarwione wchodziło do izby, gdzie na stole leżały najpiękniejsze wiśnie. Marysia jadła ich tyle, ile jej się podobało, bo staruszka wyraźnie na to pozwoliła. Podczas gdy dziewczynka jadła, staruszka rozczesała jej włosy złotym grzebieniem i rzekła: "Od dawna już pragnęłam mieć taką małą, kochaną dziewczynkę, teraz przekonasz się, jak ci tu u mnie będzie dobrze!" A w miarę tego, jak rozczesywała włosy Marysi, maleńka coraz bardziej zapominała o Janku, staruszka bowiem czesała ją zaczarowanym grzebieniem. Skończywszy czesanie, poszła do ogrodu i uderzyła swym kijem wszystkie kwitnące cudownie krzaki z różami, które też zaraz zapadły głęboko pod ziemię, tak, że nawet ślad nie pozostał na miejscu, gdzie stały przed chwilą. Stara robiła to dlatego, bo się bała, że, jak Marysia zobaczy róże, przypomni sobie swoje własne kwiaty, swój dom, babunię i małego Janka, zatęskni za nim znowu i ucieknie od niej, by szukać ukochanego chłopczyka po świecie.

Wprowadziła potem Marysię do ogrodu. Jak tam pachniało i błyszczało wszystko! Co za kolory, wonie i kształty! Kwiaty wszystkie, o jakich tylko pomyśleć można, kwitły tu jednocześnie. Marysia z radości podskoczyła do góry i bawiła się, dopóki słońce nie zaszło za czerwieniejacerni drzewkami wiśniowymi, a na noc dała jej staruszka piękne łóżeczko z czerwoną aksamitną kołderką i z powłoczkami na

poduszkach, haftowanemi w różnokolorowe fijołki. i dziewczynka leżała na nich i spała, jakby jaka królewna.

Nazajutrz znowu bawiła się kwiatkami w ciepłym świetle słonecznym, i tak mijały dni, jedno po drugim. Marysia знаła już prawie każdy kwiatek, lecz, aczkolwiek ich było bardzo, bardzo dużo, zdawało jej się ciągle, że brak pomiędzy nimi jednego, chociaż nie wiedziała właściwie jakiego? Pewnego dnia przypatrywała się słomkowemu kapeluszu staruszki, na którym były wymalowane kwiaty, a wśród nich najpiękniej wyglądała wielka czerwona róża, stara bowiem, chowając wszystkie żywe róże, nie zakryła przez zapomnienie malowanych kwiatów na kapeluszu. Ale tak to się zwykle zdarza roztargnionym!

— Cóż to znaczy? dlaczego tu niema żadnej róży? — zawołała Marysia, — pobiegła do ogródka i zaczęła szukać a szukać i — nic nie znalazła, choć szukała bardzo długo i pilnie.

Zmęczona i smutna usiadła na ziemi i rzewnie zapłakała, a gdy jej łzy gorące padły na miejsce, gdzie rósł poprzednio krzaczek różany, zroszona niemi ziemia, nie mogąc dłużej utrzymać kwiatu w swojej głębi, rozsunęła się nagle, i róża, śliczna, czerwona, woniejąca róża, wydobywszy się z gruntu, stanęła niespodzianie przed oczyma zdziwionej i uradowanej dziewczynki. Marysia uścisnęła i ucałowała ją serdecznie i — przypomniała sobie swoje własne róże, swój dom i małego Janka.

— Ach! jakże ja długo tu siedzę! — rzekła dziewczynka — toć przecież wyszłam po to, by szukać Janka! Czy nie wiecie, gdzie on się podział? — zapytała róż — Może już nawet, broń Boże, umarł?

— Umrzeć, nie umarł — Odpowiedziały róże. — Wracamy przecież z głębi ziemi, gdzie leżą wszyscy umarli, ale Janka tam nie było!

— Dziękuję wam! — rzekła mała Marysia i poszła do innych kwiatów, zajrzała im w kielichy i spytała: — Czy wy nie wiecie, gdzie się podział mały Janek?

Ale wszystkie kwiatki stały na słońcu i myślały, każdy o swojej bajeczce, których się dużo od nich nasłuchiwała mała Marysia, żaden jednak nie wiedział, co się stało z małym Jankiem.

— Biedna moja babunia! — westchnęła Marysia. — Ach! pewno tęskni za mną i martwi się o mnie, tak samo, jak ja się martwiłam o mojego Janka. Ale niedługo powrócę do domu i Janka przyprowadzę ze sobą. Na nic się nie zdało pytać kwiatów, wiedzą one tylko o swoich własnych pieśniach i wcale nawet nie odpowiadają na moje pytania.

To mówiąc, podwiązała sobie wyżej kostek sukienkę, żeby jej było łatwiej uciekać.

Drzwi domku były zamknięte, lecz Marysia póty przyciskała zardzewiałą klamkę, dopóki się same nie otworzyły, a mała dziewczynka boso wybiegła w świat szeroki. Obejrzała się trzy razy, lecz nikt jej nie gonił; nakoniec, nie mogąc już dalej biec, usiadła na wielkim kamieniu, spojrzała dokoła siebie i spostrzegła, że się już lato skończyło i nadeszła późna jesień, czego w cudownym ogródku staruszki nie można było zauważyć, bo tam ciągle świeciło słońce i kwitły kwiaty ze

wszystkich pór roku.

— Mój Boże! jakżem się zapóźniła — rzekła Marysia. — Toć już teraz mamy jesień! O! już więcej odpoczywać nie będę!

I wstała, wybierając się w drogę.

Ach! jakże się jej małe, bose nóżki kaleczyły i męczyły! Wszystko dokoła wyglądało strasznie surowo i zimno. Długie liście wierzbowe całkiem już pożółkły, a rosa kapiała z nich w dużych kroplach, i jeden listek po drugim opadał na ziemię; na dzikiej śliwie był jeszcze wprawdzie owoc, ale tak cierpki, że się aż usta ściągały od kwasu. Szaro było, ciężko i smutno na szerokim świecie!...

4. O KSIĘŻNICZCE I JEJ MĘŻU.

Kiedy się Marysia znowu zmęczyła drogą i usiadła pod drzewem, aby odpocząć, jakaś duża, szara wrona zaczęła skakać po śniegu dokoła drzewa, pod którym siedziała dziewczynka. Popatrzawszy bacznie na Marysię, wrona kiwnęła czarnym łebkiem, a w końcu wskoczyła na gałąź i zawołała:

— Kra, kra! kra, kra! — bo wiele więcej powiedzieć nie umiała, ale życzyła dobrze Marysi, i zapytała jej, gdzie to i po co wędruje tak sama jedna daleko w świat szeroki.

Mała Marysia zrozumiała bardzo dobrze te dwa smutne wyrazy: "sama jedna"! Ze łzami w oczach więc opowiedziała wronie całe swoje życie i przygody, i spytała jej, czy czasem nie widziała gdzie małego Janka.

Po pewnym namyśle, wrona kiwnęła łebkiem i rzekła:

— Taaak, taaak! To może być! to może być!

— Co? czy naprawdę? — zawołała mała dziewczynka i tak zaczęła ścisnąć i całować wronę, że jej o mały, co nie zadusiła.

— Powolil powoli! — rzekła wrona. — Mnie się zdaje, że wiem... być może, iż tak jest... mały Janek... tak, tak... teraz jednak niezawodnie zapomniał już o tobie dla księżniczki.

— Alboż on mieszka u księżniczki? — spytała Marysia.

— Tak jest, posłuchaj tylko! — rzekła wrona. — Ale trudno mi jakoś rozmawiać twoim językiem. A może ty znasz wroni język? toby było bardzo dobrze.

— Nie uczyłam się jeszcze po wroniemu — odrzekła Marysia — babka moja bo umiała, a nawet wcale nieźle mówiła. Szkoda, wielka szkoda, żem się tego nie uczyła.

— No, no, nie masz się czem martwić — odpowiedziała wrona — będę gadała, jak umiem, choć pójdzie trochę tępo. — I zaczęła opowiadać Marysi wszystko, co wiedziała, a mianowicie: że w tem królestwie, tu obok, te mieszka jedna księżniczka ogromnie mądra. Pewnego dnia postanowiła ona wyjść za mąż; tylko, że chciała mieć męża, coby umiał odpowiadać na wszystkie pytania, a nie takiego, któryby jeno stał, jak słup, i udawał, że słucha, a wyglądał z miny na wielkiego i uczonego pana. Zebrali się więc różni zalotnicy, młodzi i starzy, ale wszyscy, jak tylko weszli do złotego pałacu i ujrzeni księżniczkę na tronie, zapominali języka w gębie, i dopiero wyszedłszy na ulicę, odzyskiwali przytomność i gadali znowu tak pięknie, obficie, łatwo i głośno, że aż uszy bolały. Jeden tylko młody chłopiec, podobny z postawy do Janka, nie zląkł się ani nadętych jak pęcherze lokajów, ani sztywnych jak kije żołnierzy gwardyi, ani samej nawet pięknej jak malowanie i mądrej jak Salomon księżniczki, lecz odpowiadał śmiało i rozsądnie na jej zapytania, i został przez nią wybrany.

— O, to niezawodnie Janek! — zawołała znowu Marysia — on zawsze był bardzo mądry, rachunki to robił bez namysłu, nawet bardzo trudne. Moja najdroższa,

najmilsza wrono! zaprowadź ty mnie do tego pałacu!

— Hm, hm! to niełatwe rzeczy! — odpowiedziała wrona. — Jakżeby to zrobić? Chyba się najprzód rozmówię z moim przyjacielem krukiem, który ma tam stałą posadę" nadwornego kruka;" ten nam może poradzi, bo trzeba ci wiedzieć, że takiej małej, bosej dziewczynki, jak ty, nie puszcza do pałacu.

Wrona poleciała i dopiero późno wieczorem powróciła.

— Kra, kra! — zawołała — mój kruk kazał ci się kłaniać i przysłał tu dla ciebie mały bocheneczek chleba, który zabrał z kuchni, gdzie chleba jest dosyć, boś ty zapewne głodna. Już to do pałacu trudno ci będzie wejść, jesteś bowiem obdarta i bosa, a gwardziści ze srebrnymi galonkami i lokaje ze złotymi napewnoby cię wyrzucili za drzwi, bo to hardy naród, ho, ho! Ale nie płacz! nie płacz! Już ty się tam dostaniesz! Mój przyjaciel kruk zna pewne boczne schodki, prowadzące do sypialni, i wie także, gdzie będzie mógł znaleźć od niej kluczyk.

Poszły więc do ogrodu, do wielkiej alei, gdzie już jeden listek po drugim spadał z lip i z kasztanów, a kiedy w pałacu pogaszono światła, wrona poprowadziła małą Marysię do tylnych drzwi, zlekka tylko przymkniętych.

Ach! jak silnie drżało z obawy i z tęsknoty serduszko Marysi. Myślałby kto, że ona chce zrobić coś złego, a jej przecież szło tylko o to, by się dowiedzieć, czy to jest mały Janek, czy kto inny. On, on, niezawodnie! myślała, przypominając sobie żywo jego rozumne oczy i długie włosy. To się dopiero uraduje, gdy ją zobaczy i gdy się dowie o tem, jak daleką i ciężką dla niego odbyła drogę, o tem, że w domu tak się wszyscy o niego martwią. Marysia cieszyła się i obawiała czegoś zarazem.

Teraz już byli na schodach, gdzie paliła się mała lampka. Na samym środku sieni stał kruk i na wszystkie strony wykręcał łebkiem, przypatrując się Marysi, która się grzecznie skłoniła, jak ją uczyła babunia.

— Moja przyjaciółka wiele mi mówiła dobrego o panience — rzekł kruk — losy panienci także mnie bardzo rozrzewniły. Racz panienka wziąć lampkę, to ja pójdę naprzód. Pójdziemy tutaj prostą drogą, bo na niej nikogo nie spotkamy. Ale mam nadzieję, że gdy panienka dojdzie do godności i bogactwa, zechcesz okazać mi wdzięczne serce.

— To się sarno przez się rozumie — przerwała wrona.

Weszli nareszcie do sypialni. Tu sufit podobny był do korony dużej palmy ze szklanymi liśćmi, a na środku pokoju, na grubej łodydze ze złota, wisały dwa łóżeczka, z których każde wyglądało, jak lilia: jedno białe, a w niem leżała księżniczka, drugie czerwone, w którym Marysia szukać miała małego Janku. Odgięła tedy jeden z listków lilii i ujrzała opaloną szyję.

— Ach! to Janek! — zawołała głośno po imieniu, poświeciła lampką w oczy. śpiący chłopczyk przebudził się, odwrócił głowę, ale niestety! — nie był to Janek! Tylko szyje mieli podobne, chociaż i mąż księżniczki był młody i przystojny. A z białej lilii mrugnęła oczkami księżniczka i spytała, co się tam stało? Więc mała Marysia zaczęła płakać i opowiedziała jej całą historię swego życia, nie zanedbując także wspomnieć o tem, jaką przysługę chciały jej wyrządzić kruk i

wrona. Księżniczka i jej mąż bardzo się litowali nad biedną Marysią.

Nazajutrz odziano ją od stóp do głów w paradne odzienie i zapytano, czyby nie chciała zostać w pałacu na zawsze i żyć sobie po pańsku, lecz Marysia prosiła tylko

O mały wózek z konikiem i o parę małych bucików, bo się znowu wybiera w świat szeroki, szukać małego Janka.

Jakoż dano jej buty, rękawiczki i mufkę, ubrano ją ciepło i ładnie, a gdy się już pożegnała i wyszła do bramy, zobaczyła nową karetkę, pięknie wyłożoną. Stangret zaś i poganiacz byli ubrani jak prawdziwi panowie.

Wrona odprowadziła Marysię przez pierwsze trzy mile, usiadłszy obok niej w karecie. Kruk został w domu i we drzwiach trzepotał skrzydełkami, gdyż od czasu, jak miał stałą posadę przy dworze, jadał za dużo i często cierpiał na ból łebka. Tak odbyła się podróż przez trzy mile, a potem i wrona pożegnała dziewczynkę, poleciała na drzewo przydrożne i póty trzepotała czarnymi skrzydłami, dopóki dojrzeć mogła karetę, która zdaleka świeciła jasno w blasku słońca.

5. O MAŁEJ ROZBÓJNICZE.

Jechali ciemnym borem — lasem, ale złocista karetka świeciła jak ogień, a to kłuło w oczy rozbójników, którzy na taki blask spokojnie patrzeć nie mogli.

Złoto! złoto! krzyknęli, wypadli z gęstwiny, schwycili konie za cugle, zaczęli bić małych poganiaczów, zwlekli stangreta i lokajów z kozła, a małą Marysię wyciągnęli z karety.

— Tłuściutka, zgrabniutka, orzechami wypasiona! — rzekła stara rozbójnica, która miała długą szczeciniastą brodę i brwi zwisłe nad oczyma. Mięso ma zupełnie takie same, jak tłusty baranek, a jak ona doskonale smakować będzie! aj, aj! To mówiąc, wydobyla świecący nóż, taki ostry, że aż strach było patrzeć. "A jej!" krzyknęła nagle baba, bo własna jej córeczka, którą dźwigała na plecach, a która była bardzo rozpustna i niegrzeczna, ugryzła ją w lewe ucho. Ty niegodziwy bachorze! zawołała matka, i już nie miała czasu zarznąć Marysi.

— Ja chcę, żeby się ona ze mną bawiła! — rzekła mała rozbójniczka, chcę, żeby mi dała swoją karetę i ładną sukienkę, oraz żeby ze mną spała w moim łóżku! — Siadła do karety i spytała Marysi, czy to ona jest księżniczką. Nie! odparła Marysia i opowiedziała wszystko, co się jej dotąd wydarzyło; przyznała się, że bardzo kocha małego Janka i chciałyby go odnaleźć.

Wtem karetka stanęła, zajechała bowiem na dziedziniec zbójckiego zamku, którego mury były pęknięte od góry do dołu. Z otwartych szpar i szczelin w ścianach wylatywały wrony i kruki, a ogromne psy buldogi, z których każdy wyglądał, jak jaki potwór, połykający ludzi, podskakiwały wysoko, nie czekały jednak wcale, bo im to było wzbronione.

W ogromnej, brudnej, okopconej izbie palił się na środku kamiennej posadzki jasny ogień; pod pułapem wił się gęsty dym, szukając ujścia przez okna i szpary, przy ogniu zaś gotował się rosół w ogromnym kotle, a zające, króliki i sarny piekły się na rożnach.

— Będiesz dziś spała ze mną przy wszystkich moich zwierzętach, — rzekła rozbójniczka. Potem dostały obie jeść i pić i poszły sobie w kącik, gdzie leżała słoma, przykryta wzorzystemi kobiercami. Nad nią, na łątach i na grzędach, siedziało przeszło sto gołębi, które wszystkie udawały, że śpią, wykręcały jednak łebki i otwierały ciekawie ślipki, ujrzawszy dwie małe dziewczynki. Rozbójniczka jedną ręką objęła szyję Marysi, a w drugiej trzymała ostry nóż, przytem spała, chrapiąc tak silnie, że aż się rozlegało po izbie. Marysia za to nie mogła oczu zmrużyć, bo nie wiedziała napewno, czy będzie jutro jeszcze żyła, czy też ją zabiją. Rozbójnicy siedzieli wkoło ognia, pili i śpiewali, a stara baba, pijana już dobrze, fikała koziołki. Doprawdy, strach było patrzeć biednej, małej dziewczynce na takie dzikie i okropne rzeczy!

Wtem gołębie na grzędzie zaczęły gadać:

— Gru, gru! widziałyśmy małego Janka! Białe kurczątko dźwigało jego saneczki, a on siedział w saniach Królowej Śniegu, które przejeżdżały tuż pod lasem,

kiedyśmy jeszcze były wraz z innymi młodemi gołąbkami w gniazdeczku. Królowa tchnęła na nas swym lodowatym oddechem i, prócz nas obojga, wszystkie młodziaki pozdychały. Gru, gru! gru, gru!

— Co wy tam mówicie? — zawołała Marysia, — dokąd pojechała Królowa Śniegu? Czy wiecie co o niej?

— Niezawodnie musiała pojechać na północ, do krainy lodów, bo tam wiecznie zimno i wieczne trwają śniegi i mrozy. Zapytaj się o to rena (1), co tu stoi przywiązany do kołka.

Tam są śniegi i lody, tam pięknie i miło! — rzekł ren. Tam po wielkich świecących równinach skakać sobie można swobodnie! Tam Królowa Śniegu ma swój pałacyk letni, a właściwy jej zamek stoi jeszcze dalej na północy.

Nazajutrz Marysia opowiedziała małej rozbójniczce wszystko, co mówiły gołębki, ta zaś zrobiła poważną minkę, kiwnęła główką i rzekła: To wszystko jedno! to wszystko jedno! — Czy ty wiesz, gdzie jest kraina lodów? zapytała się rena.

— Któżby lepiej wiedział ode mnie? — odpowiedziało zwierzę, a oczy aż mu się zaiskrzyły. Wszakżem tam się urodził i wychował, tam sobie skakałem po równinach śnieżystych.

— Słuchaj no! — rzekła rozbójniczka do Marysi, — widzisz, że wszyscy mężczyźni odeszli, tylko matka została, ale około południa napija się ona zwykle z dużej flaszki, a potem zasypia; wtenczas postaram się zrobić coś dla ciebie.

A gdy rzeczywiście koło południa stara baba napiła się z dużej flaszki i, odurzona trunkiem, zasnęła, mała rozbójniczka poszła do rena i rzekła:

— Żądam od ciebie, byś wziął nogi za pas i zaniósł tę małą dziewczynkę do pałacu Królowej Śniegu, gdzie jest mały Janek. Niezawodnieś słyszał wszystko, co mi opowiadała, bo mówiła dość głośno, a tyś strzygł ciekawie uszama!

Ren aż podskoczył z radości. Mała rozbójniczka pomogła wsiąść małej Marysi na rena i, przywiązawszy ją mocno do grzbietu zwierzęcia, rzekła:

— Masz tu oto dwa bochenki chleba i jedną szynkę, to nie będziesz głodna?

Przywiązano tedy chleb i szynkę na grzbiecie rena, mała rozbójniczka otworzyła drzwi i przywołała wszystkie psy, spuszczone z łańcuchów, potem ostrym nożem przecięła powróż i rzekła do zwierzęcia:

— Ruszajże w drogę! Ale dobrze pilnuj małej dziewczynki.

Marysia wyciągnęła do rozbójniczki małe rączki i pożegnała się z nią serdecznie, a potem ren zaczął pędzić przez płoty i rowy, przez straszny bór, przez bagna, stepy i zamarznięte morza, co tylko sił starczyło. Wilki wyły, kruki wrzeszczały, a całe niebo iskrzyło się i błyszczało czerwono, jakby krwią oblane.

— To moje poczciwe zorze północne! (2) rzekł ren, — patrzno, jak pięknie świecą!

Potem zaczął biec jeszcze prędzej i biegi tak dniem i nocą. Kiedy już nie było chleba, ani szynki, zaleciał właśnie z Marysią do krainy lodów.

(1) Ren, albo renifer, gatunek jelenia, żyjącego w krajach północnych i

używanego do zaprzęgu.

(2) Zorzą północną nazywa się mocne i piękne światło, pojawiające się na niebie w krajach północnych.

6. O STARUSZCE I JEJ KUMIE.

Nareszcie ren z małą dziewczynką na grzbiecie stanął przed nędznym domkiem, którego dach opuszczał się do samej ziemi, a drzwi były tak niskie, że mieszkańcy, chcąc niemi wchodzić lub wychodzić, musieli pełzać na brzuchu. Mieszkała tam stara Eskimoska (1), która przy lampie, napełnionej tłuszczem rybim czyli tranem, gotowała ryby na obiad.

Ren, nie zwlekając długo, opowiedział starej całą historię Marysi.

— Oj! biedne wy, biedne istoty! — rzekła staruszka, porządny jeszcze macie kawał drogi przed sobą, może z jakie sto mil w prostej linii do bieguna północnego (2), bo aż tam mieszka Królowa Śniegu i co wieczór pali sobie z zórz północnych piękne ognie. Napiszę wam kilka słów na suszonej rybie sztokfiszu, bo papieru nie mam, i dam wam adres mojej kумы, która was lepiej ode mnie o wszystkim objaśni.

Kiedy się już Marysia rozgrzała, a później najadła i napiła, staruszka napisała kilka słów na suchej rybie, powierzyła ten niezwykły list szczególnej opiece Marysi, potem zaś znów ją przywiązała do rena, który wesoło puścił się w drogę na północ. Wysoko w powietrzu iskrzyły się jaskrawe błyski, i przez całą noc gorzały przepięknie rumiane zorze północne. Dojechali wreszcie do mieszkania kумы i zastukali do jej komina, bo tam nawet drzwi nie było.

Wewnątrz chaty panował upał okropny, więc też kuma Eskimoski, kobieta niskiego wzrostu i niesłychanie brudna, chodziła w lekkiej odzieży. Zaraz też obluźniła małej Marysi sukienkę i zdjęła buciki i rękawice, gdyż inaczej byłoby jej za gorąco, renowi zaś kawał lodu położyła na głowie, a potem zabrała się do przeczytania listu, pisanego na suchej rybie; odczytała pismo trzy razy z rzędu i, umiając je już na pamięć, włożyła rybę do garnka, boć ta się jeszcze zdała na obiad, a kuma była bardzo oszczędna!

Potem ren znowu opowiedział historię małej Marysi, a kobieta tylko pomrukiwała małemi, rozumnioczkami, lecz nie mówiła ani słowa.

— Tyś bardzo mądra — odezwał się znowu do niej ren, — możebyś dała małej dziewczynce taki napój, żeby dostała siły dwunastu mężczyzn i pokonała Królową Śniegu?

— Siły dwunastu mężczyzn? — rzekła kuma — toby się nie na wiele zdało! Potem, włożywszy na nos okulary, zdjęła z półki dużą skórę, zwiniętą w kształcie trąbki, i rozwinęła ją jak papier. Na skórze tej napisane były dziwne jakieś i duże litery i wyrazy, które kobieta zaczęła czytać tak gorliwie, że aż jej krople potu ściekały z czoła. Skończywszy czytanie, położyła skórę na miejscu i, rzuciwszy smutne spojrzenie na przybyszów, zamyśliła się głęboko.

Ren jednak tak usilnie i gorąco się wstawiał za małą Marysią, a dziewczynka tak błagającym, łzawym i serdecznym wzrokiem patrzyła na kobietę, że ta wstała z ławki i, pomrugując oczyma, zaciągnęła rena w kąt, gdzie, kładąc mu znowu lód na głowę, szepnęła po cichu:

— Istotnie, mały Janek jest na biegunie północnym, czyli na najdalszym i najzimniejszym miejscu krainy lodów, u Królowej Śniegu, ale jemu się tam wszystko niezmiernie podoba, sądzi on nawet, że jest to najlepszy i najpiękniejszy kraj na świecie. A wszystko to pochodzi stąd, że ma ździebełko zaczarowanego szkła w oku. i także same ziarnko szklane w sercu. Potrzeba więc najprzód owe niedobre cząsteczki szkła z niego wydobyć, gdyż inaczej nie stanie się on nigdy takim jak inni ludzie człowiekiem, i nie pokocha nic i nikogo, a Królowa Śniegu wieczną nad sercem i myślą jego posiadać będzie władzę.

— A nie mogłabyś zrobić tak, żeby Marysia otrzymała władzę nad wszystkim?

— Większej władzy i mocy nad tę, którą już posiada, dać jej nie mogę. Alboż nie rozumiesz, jaka to już ogromna potęga? Czyż nie widzisz, że jej wszystkie istoty i żywioły służą? że jej pomagają i źli i dobrzy ludzie i głupie zwierzęta nawet? Boso, bez żadnych środków, bez sił, bez doświadczenia, przebiegła przecież pół świata, czyż to nie dziwne? Nie, my jej żadnej władzy dać nie możemy, bo ona ma już władzę największą w swoim poczciwym sercu. Władza ta pochodzi stąd, że Marysia jest dobrą i niewinną dzieciną; że, nie troszcząc się o siebie, gotowa jest poświęcić życie za bliźnich, że jest wierną i stałą w miłości i przyjaźni, i więcej myśli o tych, których kocha, niż o swojej osobie. Jeżeli się sama nie dostanie do Królowej Śniegu i nie wydobędzie zaczarowanego szkła z oka i serca małego Janka, to już my jej nic nie poradzimy! O dwie mile stąd zaczyna się ogród Królowej Śniegu, zanieś więc tam małą dziewczynkę, zsadź ją przy dużym krzaku z czerwonymi jagodami, co stoi na śniegu, ale już w żadne nie wdawaj się gawędy, tylko wracaj co prędzej do mnie.

Mówiąc to, kuma wsadziła Marysię na rena, który zaczął biedz naprzód, co tylko miał siły.

— Ach! nie wzięłam bucików! nie mam rękawic, — zawołała mała Marysia, gdy jej mróz ostry dokuczać zaczął; ale ren nie śmiał już stanąć, tylko biegł dalej aż do krzaku z czerwonymi jagodami. Tutaj zsadził Marysię na ziemię i pocałował ją w usta, a dwie grube łzy ściekły mu z oczu, upadły na zimny śnieg i zamarzły; potem zerwał się na nogi i odbiegł galopem.

Tak więc w okropnym, zimnym jak lód kraju biedna Marysia została sama, bez bucików i bez rękawic. Pobiegła naprzód, jak mogła najprędzej, gdy wtem spotkała cały pułk płatów śnieżnych, które jednak nie spadały z nieba, gdyż niebo było zupełnie jasne i świeciło się krwawo od zórz północnych. Płaty śniegu latały nad samą ziemią, a im bardziej się zbliżały, tem się wydawały większemi. Były to przednie strażę wojska Królowej Śniegu, a postacie ich dziwnemi się odznaczały kształtami. Jedne z tych płatów wyglądały, niby ogromne jeże, inne znowu, jak węży, splecione z samych wężów, wyszczerzających jadowite zęby; niektóre miały formę małych, grubych niedźwiedzi ze sterczącą sierścią, wszystkie zaś świeciły się biało i poruszały szybko, bo to były żywe płaty śniegu.

Mała Marysia zaczęła mówić pacierz, ale mróz był tak wielki, że oddech jej, wychodząc z buzi, zamieniał się w parę. Para ta gęstniała coraz bardziej i przemieniła się w końcu w gromadkę drobniutkich aniołków, mających na głowach

błyszczące hełmy, a w rączkach ostre włócznie i miecze. Z każdym słowem Marysi przybywało ich więcej, a gdy dziewczynka skończyła pacierz, otaczał ją już cały pułk tych zbrojnych aniołków, które włóczniami swemi żgały, a mieczami siekły paskudne płaty śniegu, rozbijając je i rozkruszając na tysiączne kawałki; a mała Marysia szła ciągle naprzód śmiało i ochoczo.. Aniołki głaskały ją po gołych rączkach i bosych nóżkach, a dziewczynka coraz mniej czuła zimna i biegła szybko do pałacu Królowej Śniegu.

Teraz jednak należy nam zobaczyć, co robi Janek, który, prawdę mówiąc, nie myślał wcale o małej Marysi i ani się spodziewał, że biedaczka stoi przed pałacem na śniegu i mrozie.

- (1) Eskimosi — mieszkańcy krain północnych.
- (2) Biegun północny — miejsce ziemi najdalej położone na północ.

7. O PAŁACU KRÓLOWEJ ŚNIEGU, ORAZ O WSZYSTKIM, CO SIĘ TAM PÓŹNIEJ WYDARZYŁO.

Ściany pałacu Królowej zbudowane były ze śniegu i lodu, drzwi zaś i okna z przejmujących wiatrów; znajdowało się tam przeszło sto sal i izb olbrzymich, a wszystkie takie, jakie zwiął śnieg; największa z nich miała sześć mil długości. Wszystkie te wysokie sale oświetlała zorza północna, a były one takie ogromne, puste, błyszczące i mroźne! Nigdy nie wyprawiano tu żadnych tańców i zabaw; pusto, chłodno i cicho jak w grobie, było w pałacu Królowej Śniegu. Zorze północne paliły się tak dokładnie, że można było z góry obliczyć, kiedy staną najwyżej, a kiedy najniżej. Na środku największej sali lodowej leżało zamrożone jezioro, popękane na tysiączne kawałki, jeden zupełnie podobny do drugiego. Na samym środku tego jeziora siadywała zawsze Królowa Śniegu, ile razy przebywała w domu.

Mały Janek był cały siny, a nawet czarny od zimna, on sam jednak tego nie czuł, bo mu Królowa wyczuwała mroźne dreszcze, a serce jego podobne było do marwey bryły lodu. Dźwigał on ostrokańczone i płaskie kawały lodu, starając się wszelkimi siłami spoić je ze sobą, zupełnie tak samo, jak małe dzieci na wsi układają koło siebie kamyczki, lub patyczki. Robił nawet z tych kawałków figury, będące całym wyrazem pisany, lecz nigdy mu się nie udawało złożyć tego jednego słowa, które koniecznie złożyć pragnął, a mianowicie słowa: "Miłość." A Królowa Śniegu powiedziała mu kiedyś tak: "Jeżeli potrafisz ułożyć to słowo, będziesz panem swojej woli, a ja daruję ci cały świat i nowe, piękne łyżwy." Ale Janek ani razu nie mógł ułożyć "miłości." — "Teraz polecę do ciepłych krajów! — rzekła Królowa Śniegu — zajrzę tam do moich czarnych garnków!" Czarne garnki, to były góry, ziejące ogniem, czyli wulkany. "Pobielę je cokolwiek śniegiem!"

I odleciała Królowa Śniegu, a Janek został sam jeden w ogromnej, długiej na sześć mil, wysokiej jak najwyższa góra, a pustej zupełnie sali; przypatrywał się kawałkom lodu i myślał, siedząc tak spokojnie i nie ruszając się wcale, że mógłby kto przypuścić, iż chłopiec zmarł na dobre.

Wówczas to właśnie mała Marysia weszła przez dużą bramę do pałacu. Wiały tu przejmujące wiatry, lecz dziewczynka zmówiła modlitwę wieczorną i wiatry ucichły, jakby chciały zasnąć. Weszła więc do ogromnej, wysokiej, pustej a zimnej sali lodowej i ujrzała Janka. Poznała go natychmiast, rzuciła się ku niemu i uścisnęła go serdecznie, wołając:

— Janku! mój kochany, najdroższy mój Janku, nareszcie cię znalazłam!

Janek jednak siedział nieruchomy, spokojny i zimny jak lód, więc Marysia przycisnęła go do siebie i zapłakała gorącymi łzami, które, padając na piersi zaczarowanego chłopczyka, przeniknęły do jego serca, roztopiły lodową bryłę i spłukały z niej kawałek szatańskiego lustra. Janek się poruszył i przyjrzał uważniej Marysi, a ona zaśpiewała wtedy drżącym ze wzruszenia głosem:

O, sercu najmiłsza, różyczko kochana,
Pól, sadów, ogrodów ozdobo!
Barw krasą jaśniejesz i wonią-ś owiana —
Kwiat żaden nie zrówna się z tobą! i t. d.

Wtenczas Janek przypomniał sobie rodziców i babcię, i domek z izdebką pod strychem, i całe miasto rodzinne, i szarą rzeczukę, w której falach kąpał się w lecie, a po której lodach ślizgał się w zimie, i towarzyszków, z którymi się bawił i śpiewał piękne a rzewne piosenki, i wszystko, wszystko po kolei! A wtedy taka go ogarnęła tęsknota, tak mu się zrobiło smutno, tak smutno, że wybuchnął płaczem i płakał, płakał, tak długo, aż zaczarowana drobinka szkła wy płynęła wraz ze łzami z jego oka. Spojrzał wtedy po raz drugi na Marysię i poznał ją naprawdę:

— Marysiu droga, kochana Marysiu, gdzieżeś tak długo bawiła? A gdzie ja siedziałem? — I spojrzął dokoła. — Jakże tu zimno — rzekł — jak pusto, przestrono i głucho!

Zadrżał z zimna i przytulił się znów do Marysi, ona zaś na przemiany śmiała się i płakała z radości, a wszystko to było tak piękne, że nawet zimne kawałki lodu ucieszone, skakały do góry, a gdy się zmęczyły i znowu pokładły, utworzyły kształt tych liter i tego wyrazu, o którym powiedziała Jankowi Królowa Śniegu, że jeśli go wynajdzie, wówczas zostanie panem swojej woli, a ona daruje mu cały świat i nowe, piękne łyżwy. I pocałowała Marysia Janka w twarz, a twarz jego zarumieniła się jak zorza; pocałowała go w oczy, a oczy jego zaślniły jak gwiazdy; pocałowała go w ręce i w nogi i — powstał Janek wesóły, zdrowy i dobry, jak niegdyś. Niechby teraz nawet Królowa Śniegu powróciła do pałacul toć ona sama obiecała mu wolność, jeżeli wyraz "Miłość" zostanie ułożony z kawałków lodu, a tak się przecie stało: "Miłość" jaśniała wielkimi literami na powierzchni lodowatego jeziora.

Wzięli się tedy oboje za ręce i wyszli z wielkiego lodowatego pałacu, rozmawiając o babce, o rodzicach, o różach, kwitnących wysoko na dachu, i o wszystkim, co się działo w ukochanem mieście. A gdzie stąpnęli nogą, tam wiatry uspakajały się i świeciło słońce. Kiedy zaś doszli do krzaku z czerwonymi jagodami, ujrzeli rena, który przyprowadził z sobą młodą renicę z wymionami pełnymi mleka.

Dzieci ugasiły mlekiem pragnienie i siadły na reny, które zaniósł je najprzód do mieszkania kumy, gdzie się wygrzeli w ciepłej izbie i dowiedzieli o najbliższej drodze do domu; potem zaś do starej Eskimoski, która uszyła im nowe suknie i przygotowała wszystko do podróży.

Ren i renica biegły obok nich do samej granicy tego kraju, gdzie pierwsza zieloność wychodziła z ziemi: tu się pożegnali z dziećmi.

— Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi! — wołali wszyscy. Niedługo też zaczęły świergotać drobne ptaszki, w lesie zaś pełno było zielonych pączków, a Janek i Marysia szli, trzymając się za ręce, a im dalej szli, tem piękniejszą stawała się wiosna, tem więcej widać było kwiatów. Zbliżyli się wreszcie do miasta. Jankowi znowu się łyzy zakręciły w oczach, były to jednak łyzy radości. Teraz mu było dobrze, tak dobrze, że wypowiedzieć tego nie umiał, a tylko ścisnął mocno w swej dłoni

rączkę małej Marysi i przyglądał się miastu.

Niedługo weszli do domu, gdzie mieszkali rodzice i babunia, i wstąpili po schodach do dobrze znajomej izdebki pod strychem. Wszystko tam jeszcze stało na tem samym miejscu, co dawniej; zegar ścienny ciągle jeszcze powtarzał: tik! tak! a skazówki obracały się w kółko, jak przedtem. Dopiero, gdy weszli we drzwi, przekonali się oboje, jak przez ten czas urosli. Przez otwarte okno róże zaglądały do pokoju, gdzie stały jeszcze dwa małe krzeselka dziecinne, na których usiedli Janek i Marysia, każde na swoim, trzymając się za ręce, jak dawniej, bo o całym przepychu u Królowej Śniegu najzupełniej oboje zapomnieli. Babunia siedziała, grzejąc się na słońcu, i czytała w książce do nabożeństwa, a czasem zanuciła coś półgłosem.

Janek i Marysia zajrzeli sobie w oczy i zaśpiewali dawną, dziecinną piosenkę:

O, sercu najmiłsza różyczko kochana,
Pól, sadów, ogrodów ozdobo!
Barw krasą jaśniejesz i wonią-ś owiana —
Kwiat żaden nie zrówna się z tobą! i t. d.

I tak siedzieli oboje dorośli, a jednak dzieci, bo poczciwemi dziećmi byli w duchu, i kochali się wzajem, kochali babunię, rodziców i wszystkich dobrych ludzi, — a na dworze złociste słońce rozlewało dokoła dobroczynne strumienie światła i ciepła.

Opracował Ig. Matuszewski.

Table of Contents

Strona tytułowa	2
KWIATY IDALKI.	4
KRASNOLUDEK.	10
ROPUCHA.	14
LEN.	20
MATKA.	25
BAK I PIŁKA.	29
HISTORIA ROKU.	31
MOTYLEK.	38
DZIECIĘ ELFÓW.	40
POLNY KWIATEK.	49
BRZYDKIE KACZAŃKO.	53
DZIEWCZYNNKA Z ZAPALKAMI.	62
CZERWONE BUCIKI.	64
Z JEDNEGO GNIAZDA.	69
SOSNA.	72
ANIOŁ.	80
SYRENA.	82
COŚ.	99
LISTEK Z NIEBA.	105
U KRÓLA OLCH.	108
WSZYSTKO NA SWOJEM MIEJSCU!	114
SŁOWIK.	120
ŚLIMAK I RÓŻA.	128
CIEŃ.	130
DZWONY.	139
POD STARĄ WIERZBĄ.	144
ŚPIEWAK: Z POD STRZECHY.	154
TOWARZYSZ PODRÓŻY.	157
KRÓLOWA ŚNIEGU.	170
1. O CZARODZIEJSKIM ZWIERCIADLE.	170

2. O JANKU I MARYSI.	172
3. O OGRÓDKU U STAREJ KOBIETY.	177
4. O KSIĘŻNICZCE I JEJ MĘŻU.	181
5. O MAŁEJ ROZBÓJNICZE.	184
6. O STARUSZCE I JEJ KUMIE.	187
7. O PAŁACU KRÓLOWEJ ŚNIEGU, ORAZ O WSZYSTKIM, CO SIĘ TAM PÓŹNIEJ WYDARZYŁO.	190

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).